



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK 5 (94) 2006

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



16 września br. na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie odbyła się uroczystość poświęcenia granitowej płyty położonej na grobie Wandy Mazanowskiej, prezeski Straży Mogił Polskich Bohaterów we Lwowie. Płytę z herbem miasta „Semper Fidelis” ufundowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. W uroczystości uczestniczyły poczty sztandarowe Zarządu Głównego TMLiKPW i Gimnazjum nr 1 w Krakowie.

Fot. Marian Gryniiewicz

Spis treści

Stanisław Srokowski – Czy polskie KRESY jeszcze coś znaczą? Czy pamiętamy, czym były dla nas i dla Europy?	1
Jerzy Duda – Nauczyciele z Kresów Wschodnich RP – pionierzy oświaty na Śląsku Opolskim	3
Piotr Franków – Kresoviana 2006	8
Alfred Janicki – Rocznicowy rok zakończenia ekspatriacji	10
Kazimierz Wesołowski – Lwowski Chrystus Frasobliwy w tarnowskiej świątyni NSPJ	11
Maria Pawłowiczowa – Księga Pamiątkowa I Gimnazjum Państwowego im. Mieczysława Romanowskiego w Stanisławowie (II)	12
Jan Woźniak – Awantura o Basię	15
Wincenty Zdzitowiecki – Powidoki (I)	17
Zbigniew Grata – Czternasty zjazd brodzian	20
Fragmenty wystąpienia prezesa Zygmunta Muszyńskiego na uroczystościach z okazji X-lecia Towarzystwa w Koźuchowie	23
Józefa Sady – Zauroczeni Lwowem	23
Eugeniusz Zychowicz – <i>Sonet fidelis...</i> – wiersz	25
Andrzej Kaminski – Wanda Mazanowska (11.6.1874 Lwów – 7.1.1951 Kraków)	25
Leszek Sawicki – Studnia w Gawareczyźnie (dokończenie wspomnień z nr. 4 (93) „Semper Fidelis”)	30
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	35
Mira Bodak – Medal wdzięczności	39
Łukasz Wylęgała – Gródek Jagielloński	40
Bolesław Broś – Wspomnienia o lwowskim harcerstwie (szkic historyczny) (I)	42
Mieczysław Kowal – Wspomnienia Heleny Kotowicz	45
Częstochowa cześci wielką rocznicę	47
Feliks Cały – Mój rok 1939	47
Maciej Oziębłowski i Małgorzata Oziębłowska – Ziemia Przemyska. Ludność parafii rzymskokatolickiej w Niżankowicach w okresie międzywojennym	50
Leszek Sawicki – Stanisław Lem, lwowianin	54
Zofia Żółkiewicz – Moje odwiedziny Lwowa po dwudziestu latach	54
Nowe książki	56
Lista Ofiarodawców	57
Errata do nr. 4 (93) / 2006	57

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631
 Nowe konto:

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



Fot. Marek Rogalski

Pomnik Katyński we Wrocławiu

Stanisław Srokowski

Czy polskie KRESY jeszcze coś znaczą?

Czy pamiętamy, czym były dla nas i dla Europy?

Zacznę od wydarzenia, które – być może – zabrzmi jak anegdota, ale anegdotą nie jest. Jest niezaprzeczalnym faktem, potwierdzonym przez wielu świadków.

Otóż, żeby zdjąć ciężar stanu wojennego z serca, pisałem w 1982 roku dużą powieść kresową „Repatrianci”. Najpierw chciałem dać tytuł „Wygnań”, ale nikt na taki tytuł nie przystał. Toteż wybrałem inny, „Repatrianci”, ponieważ pojęcie to zostało wkute w pamięć wygnańców z Kresów Wschodnich Polski i pod nim miliony rodaków widziało drogę swojej gehenny wojennej.

Maszynopis złożyłem w najlepszym wówczas wydawnictwie „Czytelnik” w Warszawie. Książka z bardzo dobrymi recenzjami (Sadkowski, Bolecki) została szybko przyjęta do druku, ale przez sześć lat nie mogła się ukazać. Kulisy tego nadzwyczajnego zwlekania zostały mi przekazane później.

Otóż okazało się, że nie polska cenzura powstrzymała powieść, tylko radziecki ambasador. Na początku lat osiemdziesiątych ówczesny członek Biura Politycznego PZPR, Józef Czyrek, prowadził posiedzenie sekretariatu partii, na którym omawiano sprawy kultury.

Kierownikiem Wydziału Kultury KC był wtedy prof. Witold Nawrocki. Wśród obecnych znajdował się, a jakże by inaczej, ambasador sowiecki. Przy analizie spraw wydawniczych nagle zabrał głos i zadał pytanie: – Czy to prawda, że macie zamiar wydać antyradziecką powieść? Zapadło głuche milczenie. Nikt nic nie wie-

dział, naturalnie, poza ambasadorem, o żadnej antyradzieckiej powieści. Wtedy sowiecki ambasador dokładnie zrelacjonował, kto tę powieść napisał, gdzie się znajduje, jaka jest jej treść, jakie miała wewnętrzne recenzje i kiedy planowane jest jej wydanie. Zebrani zbawiali. Nic o tym nie wiedzieli. A ambasador sypał datami, faktami, nazwiskami. Wiedział wszystko.

Okazało się, że ambasada sowiecka miała swoje wtyczki w wydawnictwie. I nie tylko w tym. Ambasador kategorycznie zażądał zablokowania książki. Toteż książka została zablokowana do 1988 roku. Tą książką byli właśnie moi „Repatrianci”.

Dlaczego o tym wspominam?

Dlatego, że problem pisania o Kresach, a szczególnie o dramacie Polaków wygnanych z naszych ziem kresowych i pomordowanych przez, jak powiadali kresowianie, bandy UPA od lat był problemem wielce skomplikowanym. W komunizmie, rzecz jasna, całej sprawy nie można było pokazać. Ale i teraz, okazuje się, że temat, gdy się go potraktuje poważnie i głęboko, staje się wielce podejrzany. Bo oto, po dwudziestu kilku latach od tamtego wydarzenia z „Repatriantami”, spotyka mnie podobna historia, tyle, że w innych uwarunkowaniach.

Napisałem nową powieść kresową i znowu mam kłopoty.

Wtedy, gdy pisałem „Repatriantów”, wszystkiego, jak wiadomo, nie dało się wydrukować. Było wiele białych

plam w historii i literaturze. Postanowiłem teraz część z nich wypełnić obrazami literackimi. Tym razem cenзором nie jest już ambasador sowiecki. Tym razem cenзором jest poprawność polityczna rozłożona na dziesiątki instytucji, organizacji, biur, wydawnictw, czasopism i urzędowych osób. Teraz cenzor działa w białych rękawiczkach. I zwykle bywa niewidzialny lub ma niepojętą zdolność maskowania się. Często jest bardzo miły i serdeczny, tyle że niby nieobecny. Uśmiecha się ze współczuciem lub każe przyjść za pięć lat, gdy, jak powiada, „sytuacja się unormuje”, bo, jak tłumaczy, „nie możemy pogarszać naszych stosunków z Ukrainą”, albo „z Rosją”. Owszem – powiada np. znany obecnie polski wydawca, „Pana powieść jest bardzo dobra, ma świetne recenzje, tyle że mamy wątpliwości, czy ktokolwiek jeszcze interesuje się Kresami i ich dawnymi problemami. A poza tym, wie pan, chcemy dobrze żyć z Ukraińcami, Rosjanami, Litwinami. Lepiej ich nie dotykajmy”. Po wielokroć słyszałem tę śpiewkę. Mimo że Rosjanie, czy Ukraińcy robią u siebie co chcą. Wznoszą np. pomniki dawnym mordercom polskich kobiet i dzieci, np. Banderze.

Sprawa staje się bardzo poważna, wręcz dramatyczna. I nie chodzi tutaj o mój indywidualny przypadek. Bo gdyby to tylko jednej książki i jednego wydawcy dotyczyło, można by to uznać za dziwny zbieg okoliczności. Ale to zjawisko nagminne.

Tu chodzi o coś znacznie głębszego i większego, o nasz stosunek do tradycji, o stosunek do wartości narodowych, do historii. Jeśli pisarz ma odwagę pokazać złożoną prawdę o Kresach, a szczególnie o mordach dokonywanych przez UPA na Polakach na Wołyniu, Podolu i Pokuciu, zaczynają się schody. I białe plamy zamiast zniknąć zostają utajone albo zaklajstrowane bieżącą propagandą. Wprawdzie znalazłem pewnego przyzwoitego i rzetelnego wydawcę, który nie uląkł się tematu i chce mi, jak powiada, wydać inną książkę kresową, ale dopóki to nie nastąpi, dmucham na zimne i nie ujawniam jego nazwy. Nie zmienia to jednak ogólnego obrazu.

Zastanawiam się więc, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego polskie Kresy stają się dla wielu decyzyjnych ośrodków kulturowych i politycznych sprawą kłopotliwą, niewygodną, czy wręcz wstydliwą? Czy nie jest przypadkiem tak dlatego, że w ciągu ponad czterdziestu lat komunizmu i 17 lat relatywnej wolności, ze świadomości zbiorowej Polaków została usunięta duchowa wspólnota z polskimi Kresami. Jakby tamte ziemie i ich bogate życie intelektualne, duchowe, naukowe i religijne przestało mieć dla nas jakiegokolwiek znaczenie. Jakby wielkie dzieła nauki, literatury, sztuki, religii, polityki i przemian dziejowych nie stanowiły i nie stanowią żadnego kapitału w dorobku Polaków jako historycznego bytu – żadnej wartości.

Jesteśmy świadkami amputacji ogromnego kawałka polskiej pamięci i duszy. Wystarczy spytać młode pokolenie, czy Lwów, Wilno, Stanisławów, Tarnopol, Drohobycz, Grodno, czy Krzemieniec mają w ich życiu duchowym jakieś znaczenie, a przekonamy się, że nie mają żadnego albo bardzo niewielkie. I nie chodzi tutaj o jakieś fizyczne próby odzyskania tych ziem. Chodzi jedynie o ciągłość kulturową w myśleniu i odczuwaniu, o intelektualną zdolność do ogarnięcia fenomenu Rzeczypospolitej wielu narodów.

Na swój użytek zrobiłem ankietę, pytając studentów i uczniów szkół średnich, czy my, Polacy, jako naród, zawdzięczamy coś Kresom i usłyszałem tylko, jak co niektórzy bąknął, że zawdzięczamy Mickiewicza, no, może jeszcze Słowackiego. I tyle. Słabo jest z wiedzą, jak żywo na Kresach przebiegał dialog między kulturami. Jak przenikały się wartości i symbole. Jak symbioza i współpraca kulturowa oznaczała równocześnie poszanowanie odrębności, godności i wyjątkowości poszczególnych wzorców duchowych. Tygiel kilkunastu narodów wytworzył na Kresach niemal prawzór dla wielu modeli budowania dzisiejszej wspólnoty europejskiej. Niestety, polskie przedwojenne Kresy stały się dziś mgłą albo wielką białą plamą w świadomości młodego, a nawet średniego pokolenia rodaków. Nie wytworzyliśmy tak bardzo potrzebnej dumy narodowej z osiągnięć, jakie miała Polska historyczna na Kresach w dziedzinie nauki i kultury.

Przypomnijmy zatem w wielkim skrócie, jak bardzo winniśmy być dumni, iż jesteśmy spadkobiercami nie tylko intelektualnych i duchowych wartości wytworzonych przez największych kresowian, Mickiewicza i Słowackiego, ale także przez legiony innych twórców, którzy w jakimś okresie swego życia byli związani z Kresami i których wkład w naukę i kulturę oraz w myśl polityczną polską i europejską jest nie do przecenienia. Już niemal od zarania polskich dziejów na Kresach jawiły się nietuzinkowe postaci. Stamtąd wywodzi się ojciec polskiej mowy, Mikołaj Rej. Tam się rodziła, wyrostali, bądź działali i tworzyli wielcy poeci, prozaicy, uczeni, politycy, mężowie stanu, wodzowie, czy kardynałowie. Zaznaczali swoje miejsce bądź to na Kresach północnych, bądź południowych. Jakże uboższa byłaby nasza tradycja literacka bez takich postaci, by wymienić tylko najważniejsze, jak dawni pisarze: Franciszek Karpiński (np. kolędy, modlitwy, sielanki, wiersze miłosne, dumy i elegie – „Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły”, „Kiedy ranne wstają zorze”, „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, „Bóg się rodzi, moc truchleje”...), Julian Ursyn Niemcewicz, autor wielu wierszy, powieści i dramatów, późniejszy sekretarz Tadeusza Kościuszki, Mikołaj Sęp Sarzyński, poeta, Józef I. Kraszewski, autor niezliczonych powieści, Jan hr. Potocki, autor słynnego, m.in. z wielkiego filmu Wojciecha Hasa, utworu pt. „Rękopis znaleziony w Saragossie”, Aleksander Fredro, Eliza Orzeszkowa, Zofia Nałkowska, Jan Kasprówicz, Bolesław Leśmian, Leopold Staff, Jan Brzechwa, Maria Rodziewiczówna, Tadeusz Breza, Leopold Buczkowski, Melchior Wańkowicz, Stanisław Wincenz, Bruno Schulz, Artur Sandauer, Kazimiera Iłakowiczówna, Marian Hemar, Jan Parandowski, Kornel Makuszyński, Anna Kowalska, Andrzej Kuśniewicz, Stanisław Lem, Mieczysław Jastrun, czy dziesiątki znakomitości literackich bliźszych naszej epoce: Czesław Miłosz, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Herbert, Tymoteusz Karpowicz, Adam Zagajewski i wielu, wielu innych, tutaj niewymienionych, a ważnych. Jakby wyglądała polska literatura bez tych nazwisk? A Ossolineum? A Panorama Racławicka?

A przecież to nie całe Kresy. Dawne Kresy to też nauka, stowarzyszenia naukowe, uniwersytety, kościoły, bożnice, cerkwie, rozkwit wielu dziedzin poznania naukowego. Np. uniwersyteckie tradycje Lwowa sięgają

kolegium jezuickiego z XVI wieku. Uczeń lwowski stanowią po Krakowie najpotężniejszą grupę w kształtowaniu Akademii Umiejętności powstałej w 1872 roku. Lwów stanowił poważny i silny ośrodek nauk historycznych. W 1886 roku powstało Towarzystwo Historyczne, które wydawało bezcenny wówczas „Kwartalnik Historyczny”. Rodziły się rozliczne muzea. Słynne Muzeum Lubomirskich w 1827 roku przeniesione zostało z Przeworska do Lwowa. Rozwojowi sztuk sprzyjało Muzeum Przemysłowe otwarte w 1874 r. Powstały: Muzeum Historyczne, Muzeum Przyrodnicze.

Trzeba pamiętać o wielkiej roli polskiego ziemianstwa w ochronie zabytków kultury. To właśnie na dworach szlacheckich, w pałacach i zamkach magnackich przetrwały w trudnych czasach wojen i bitew bogate zbiory polskiego i europejskiego malarstwa, portrety sarmackie, militaria, rzemiosło artystyczne, kobierce, itd., itp. Stamtąd w różnych okresach najważniejsze skarby polskiej kultury przenoszono do muzeów we Lwowie. Powstawała służba konserwatorska. Rozwijały się katedry sztuki, np. Katedra Historii Sztuki Uniwersytetu Lwowskiego powstała w 1869 roku, czy Katedra Sztuki Polskiej i Wschodnioeuropejskiej ustanowiona w 1919 r. Píše o tym pięknie prof. Adam Mankowicz.

Wyjątkową rolę odegrała w skali światowej słynna Lwowska Szkoła Matematyczna, na czele której stał wielki uczony, Stefan Banach, zwany geniuszem Lwowa, wywodzący się zresztą z dość ubogiej rodziny, twórca „teorii przesłania liniowych”, o którym krąży legenda, ale pewnie w tych legendach tkwi i ziarno prawdy. Jedną z nich powiada, że gdy jego teorie dotarły do europejskich i światowych centrów wiedzy i zrewolucjonizowały naukę, pewien amerykański uczony zaprosił na stałe Banacha do Stanów Zjednoczonych, a Banach miał spytać, za jaką sumę. Wtedy przedstawiono mu czek, na którym widniała cyfra „1” i Banach mógł sobie dopisać tyle zer, ile chciał. Ale Banach kwaśno się uśmiechnął i odpowiedział, że nie da się kupić i pozostał we Lwowie, bo to jego miasto i dla Lwowa chce pracować. Co za postawa?! Jakże dzisiaj już rzadka. A kosztowało go to wiele, zdrowie i życie. Bo poddany został faszystowskiej eksterminacji. Ale stworzył nową dziedzinę nauki, zwaną „analizą funkcjonalną”. I był porównywany do Freuda matematyki albo Nielsa Bohra. Kontynuował potem pracę Banacha, już we Wrocławiu,

prof. Hugon Steinhaus, przenosząc tu w części ocalałą Lwowską Szkołę Matematyczną.

A przecież uczonych wielkiej miary było na Kresach wielu, zarówno w naukach ścisłych, przyrodniczych, jak i humanistycznych. A odważni przywódcy, mężowie stanu, wodzowie, tacy jak Sobieski, Kościuszko, Żółkiewski, Koniecpolski, Piłsudski, czy z młodszych generacji generał Kleeberg, albo Bór Komorowski to też kresowiaczy.

Do skarbcza duchowego Kościoła katolickiego wliczyć należy kresowych kardynałów Dunajewskiego, Puzyń czy Sapiehę. A przecież pozostaje architektura, zabytki, cmentarze, wszelkie dobra i wartości ludzkiej myśli. Wyliczać by można długo. Jakiegokolwiek dziedziny byśmy nie dotknęli, jawią się wybitne postaci z Kresów. Czy ten dar, ów skarbiec nauki, ducha i wrażliwości jest wystarczająco dobrze nam znany? Czy szkoła i uniwersytet polski dbają o to? Czy prasa, radio, telewizja i wydawnictwa spełniają w tym względzie wystarczająco swoją rolę? Jak chronimy tradycję? Jak chronimy pamięć narodową?

Cycero powiedział: „Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci”. Tadeusz Kotarbiński zaś wyznał: „Przeszłość zachowana w pamięci staje się teraźniejszością”. A kardynał Stefan Wyszyński pisał: „Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie”.

Co zrobić, by nie mówiły tylko kamienie?

Na tym tle może widać wyraźniej, co oznacza amputacja pamięci. Co znaczy blokowanie dzieł, książek, opowieści, wspomnień, obrazów, książek historycznych, opisów, czy zapisów naszej tradycji i historii, w jakiegokolwiek postaci.

A co Państwo sądzą o amputacji pamięci? O wymazywaniu z naszej historii i tradycji wartości, które kształtowały pokolenia? O wymazywaniu z programów szkolnych lektur, które tę tradycję budowały? Czy Kresy nadal należą do wielkiej tradycji polskiej świadomości zbiorowej? Czy stanowią o tożsamości Polaków? Czy też wykruszają się z niej? I co to oznacza dla przyszłości? I wreszcie, czy jesteśmy jeszcze w stanie zrozumieć i identyfikować się z tą poważną i wielką częścią naszej historii i kultury?

Stanisław Srokowski
<http://free.art.pl/srokowski>

Jerzy Duda

Nauczyciele z Kresów Wschodnich RP – pionierzy oświaty na Śląsku Opolskim

„... Zwrócił mi uwagę prof. Niciejka, że w aktualnym wydaniu »Kto jest kim w Polsce« co trzecie nazwisko jest rodem ze Lwowa. Kiedym to powtórzył Hanuszkiewiczowi, odparł, że jeszcze w encyklopedii Olgebranda występowała dokładnie taka sama proporcja...”

Wprowadzenie

Początki oświaty i szkolnictwa były na Opolszczyźnie, tuż po zakończeniu II wojny światowej, wyjątkowo

trudne. Zatrzymanie się linii frontu na Odrze w styczniu 1945 roku nie pozwoliło polskiej administracji na przejęcie władzy, pozostawała ona w rękach komendatury wojennej Armii Czerwonej, stacjonującej w Opolu. Formalne przekazanie Śląska Opolskiego władzom polskim nastąpiło w kwietniu 1945 roku. Do tworzenia grup operacyjnych, które miały być skierowane na tę ziemię przystąpiono w marcu 1945 roku, pracami tymi kierował Sztab Organizacyjny Grup Operacyjnych „Śląsk Opol-

ski", powołany przez ówczesnego wojewodę śląsko-dąbrowskiego, gen. Aleksandra Zawadzkiego. Odprawiając w dniu 23 marca 1945 roku złożoną z siedemdziesięciu osób grupę starostwa opolskiego mówił: „... Wracamy na stary szlak piastowski... W tym doniosłym momencie historycznym, kiedy ziemię opolską obejmuje polska administracja, musimy sobie powiedzieć, że wchodzimy tam raz na zawsze...”.

W skład tej pierwszej, pionierskiej grupy wchodził także organizatorzy oświaty oraz nauczyciele, korzystając ze wsparcia Kuratorium Okręgu Szkolnego Śląskiego w Katowicach przystępowali do pracy, efekty przysły szybko: „... W lecie 1945 roku zorganizowano już szkolnictwo na terenie całej Opolszczyzny, aczkolwiek z powodu braku nauczycieli i budynków szkolnych wiele jeszcze szkół było nieczynnych...”. W świetle dostępnych danych w dniu 26 maja 1945 roku czynnych było na Opolszczyźnie 120 szkół powszechnych, w których zatrudniono 198 nauczycieli, równocześnie uruchomiono 21 gimnazjów, pracę tam znalazło 165 pedagogów. Powstały pierwsze szkoły zawodowe w: Kluczborku, Nysie, Opolu i Raciborzu. Problem kadry pedagogicznej dla tworzonych od podstaw przedszkoli, szkół powszechnych, gimnazjów, liceów i szkół zawodowych był sprawą najważniejszą i najtrudniejszą jednocześnie bo: „... Na Śląsku Opolskim były miasteczka, osiedla fabryczne, wsie, w których nie było ani jednego inteligenta Polaka. Znaczna część inteligencji polskiej po dojściu Hitlera do władzy i w okresie II wojny światowej znalazła się w obozach koncentracyjnych. Straty wojenne wśród tej warstwy polskiej na Śląsku Opolskim były bardzo poważne, a szczególnie wśród nielicznego nauczycielstwa. W tej sytuacji konieczny był napływ inteligencji na tę ziemię...”.

W pierwszych latach po II wojnie światowej na całym obszarze ziem zachodnich i północnych włączonych do Polski miał miejsce olbrzymi ruch ludności. Był on w pierwszej kolejności rezultatem działań wojennych, a następnie międzynarodowych ustaleń. W konsekwencji doszło do wymiany poważnej części mieszkańców tych ziem. W głównym nurcie owych lawinowo następujących przemieszczeń znalazła się Opolszczyzna i jej stolica Opole. W Archiwum Państwowym w Opolu znalazły się dokumenty, które dostarczają pierwszych wiadomości o ludziach, którzy zamieszkali w Opolu po ustaniu wojny. Spis powszechny przeprowadzony w 1950 roku wykazał, że w Opolu liczącym 38464 mieszkańców aż 26654 (86,2%) przybyło z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, najwięcej z dawnych województw: lwowskiego – 10971, tarnopolskiego – 6215 osób i wołyńskiego – 4299 osób.

Nauczyciele kresowi pionierami oświaty na Śląsku Opolskim

Wraz z kolejnymi transportami repatriantów z Wschodu przybywającymi na teren Opolszczyzny przybywali nauczyciele. Komisja Historyczna przy Zarządzie Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Opolu, wykorzystując związkowe zasoby archiwalne, a następnie przeprowadzając środowiskową kwerendę, przygotowała i wydała w latach 1995-2002 sześć tomów „Słownika biograficznego nauczycieli Śląska Opolskiego”. Opracowano łącznie 1027 biogramów, wśród nich

341 sylwetek pionierów oświaty rodem z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Ta druga liczba dotyczy tych, którzy już w 1945 roku włączyli się aktywnie do organizowania przedszkoli, szkół i placówek oświatowych w powiatach, które w 1950 roku weszły w skład województwa opolskiego. Największe grupy kresowych pedagogów w tym pierwszym okresie trafiły odpowiednio do powiatów: opolskiego – 92 osoby, prudnickiego – 48 osób, głubczyckiego – 42 osoby, kluczborskiego – 39 osób. Nauczyciele ci swoje wykształcenie i przygotowanie do pracy szkolnej zdobyli tam, na Wschodzie. „... Na ogół życiorys nauczyciela szkoły powszechnej w naszych stronach ma następujący przebieg: seminarium, matura – i młody człowiek, najczęściej, choć nie zawsze, pełen zapału idzie w życie. Wydaje mu się, że osiągnął wszystko. »Naładowany« – jak sądzi – wiedzą idzie w teren. Dostaje szkółkę. Początkowo zapał jego wyraża się we wzorowo prowadzonych lekcjach, długich rozmowach z miejscową ludnością, a wieczorem, gdy legnie w swoim pokoiku, marzą mu się przyszłe czyny, wielka a piękna praca nad tymi, wśród których żyje. Po głowie snują się projekty... projekty...” Wprawdzie 51 kresowych nauczycieli podejmujących w 1945 roku pracę na Opolszczyźnie miało ukończone studia wyższe, to jednak większość to byli absolwenci seminarium nauczycielskich, które działały praktycznie w każdym powiatowym mieście na wschodnich rubieżach. Po ukończeniu seminarium drogą samokształcenia, zorganizowanego doskonalenia i poprzez składanie państwowych egzaminów nauczyciele ci zdobywali kolejne uprawnienia do nauczania, a wraz z nimi stabilizację zawodową. Poza Lwowem – stolicą Kresów Wschodnich – w którym działało kilka seminarium, kolejnym, najbardziej znanym było Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie im. Henryka Sienkiewicza w Tarnopolu, założone w 1871 roku, swoją pracę zakończyło w 1937 roku, kiedy to w wyniku zmiany systemu kształcenia nauczycieli seminarium przekształcono w licea pedagogiczne.

Ostatni dyrektor tarnopolskiego Seminarium Leopold Hołubowicz w 1945 roku przybył na Śląsk Opolski, mimo zaawansowanego wieku i statusu nauczyciela emeryta stanął w szeregu pionierów oświatowych, współtworząc zręby narodowego systemu oświatowego na ziemiach, które po II wojnie światowej weszły w skład państwa polskiego. Dzięki zachowanym sprawozdaniom z pracy Seminarium w Tarnopolu udało się odtworzyć dzieje tej wielce zasłużonej dla oświaty – nie tylko kresowej – placówki kształcenia nauczycieli, która w latach 1871-1937 przygotowała do pracy 2517 pedagogów. W końcowym sprawozdaniu o pracy w roku szkolnym 1935/1936 dyrektor Leopold Hołubowicz napisał: „... Seminarium więc jako placówka kulturalna na Kresach Wschodnich wychowało i wykształciło tysiące ludzi inteligentnych, którzy rozsiani po całej Polsce spełniają zaszczytną swą misję nauczycielską, krzewiąc kulturę i wiedzę po najdalszych krainach Polski, wśród szerokich rzesz społeczeństwa i młodzieży...”. Absolwenci Seminarium rekrutowali się w zdecydowanej większości z rodzin urzędniczych, ale wielu pochodziło ze wsi, z rodzin chłopskich i rzemieślniczych, miało zatem swój znaczący udział Seminarium także – obok przygotowania kadr nauczycielskich – w kreowaniu

pierwszego w wielu rodzinach pokolenia inteligencji polskiej. Niezwykle, dla czytających roczne sprawozdania seminaryjne, wydaje się również zgodne współzycie przedstawicieli różnych wyznań, był to czas, że wyznanie religijne oznaczało deklarację przynależności narodowej, a jednak nikomu nie przeszkadzało to, że początek i zakończenie roku szkolnego wychowankowie uroczystie obchodzili w trzech różnych świątyniach – kościele, cerkwi i synagodze – by potem spotkać się wspólnie na uroczystości, na terenie Seminarium. To jest także dowód wielkości Seminarium w Tarnopolu.

Organizatorem szkół średnich w Opolu był dr Franciszek Petela, absolwent Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, urodzony w Pograniczach, w powiecie samborskim, województwie lwowskim. Do Opolu przybył w marcu 1945 roku. Pierwsze spotkanie z przyszłym miejscem pracy zrelacjonował w swoich wspomnieniach następująco: „... Zgłosiłem się w Inspektoracie Szkolnym w Opolu... Inspektor szkolny porwał mnie w objęcia... bardzo się cieszę, że przyjechaliście, gdyż nikt tu jeszcze nie organizuje szkolnictwa średniego... Udaliśmy się na ulicę Gosławicką. Posesja pod nr. 22 obejmowała kilka budynków oddzielonych od reszty otoczenia murem. Przylegała do nich baszta wieży zamku piastowskiego. Nigdzie nie było żywego ducha. Obeszliśmy budynek główny, salę gimnastyczną i inne pomieszczenia gospodarczo-administracyjne. Meble szkolne porzucone były w korytarzach i salach. Tu i ówdzie na słomie leżały jeszcze koce, gazety, garnki, talerze, a nierzadko i różne pomoce naukowe. Nazajutrz w korytarzu na śmieciach i słomie zacząłem wypisywać na maszynie ogłoszenie o wpisach do wszystkich klas Pierwszego Państwowego Gimnazjum i Liceum w Opolu przy ul. Gosławickiej 22, wpisy rozpoczęły się 12 kwietnia 1945 roku o godzinie ósmej...”.

A pierwsze zajęcia w tejże szkole miały miejsce 16 maja 1945 roku. Równolegle w gościnnych murach budynków szkolnych przy ul. Gosławickiej 22, przy życzliwym wsparciu dr. Franciszka Peteli podjęły działalność: II Gimnazjum i Liceum, Gimnazjum i Liceum Żeńskie oraz szkoły zawodowe: Publiczna Doksztalająca Szkoła Zawodowa i Państwowe Koedukacyjne Gimnazjum Kupieckie im. Tadeusza Kościuszki. Placówki te kolejno przemieszczały się do innych, stopniowo udostępnianych obiektów oświatowych, a następnie drogą kolejnych przekształceń dały początek czternastu średnim szkołom ponadpodstawowym w mieście Opolu. Nie darmo przeto popularna „Szkoła na Górze” obecnie przy ul. Osmańczyka 22 nosi dumne miano „Magna Porta Scholarum Opoliensium”.

Jednym z nauczycieli – pionierów oświatowych, wchodzących w skład pierwszego zespołu pedagogicznego Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum Kupieckiego im. Tadeusza Kościuszki w Opolu był – urodzony w Starym Siole, w powiecie Bóbrka, w województwie lwowskim – Józef Krajewski, nauczyciel muzyki, kompozytor, założyciel chóru „Lutnia”. Największą sławę przyniosła mu pieśń „Skarbie polskich ziem”, napisana w 1946 roku, przez wiele lat była też sygnalem opolskiej rozgłośni Polskiego Radia. Śpiewana na uroczystościach, rozpoczynała apele szkolne, obozowe,

często rozbrzmiewała w radiu i do dzisiaj żywiej biją serca starszych mieszkańców Opolszczyzny na dźwięk tej pięknej melodii. Pieśń tę wydano jako pierwszy po wojnie opolski druk muzyczny.

O tym jak było ciężko, a jednocześnie z jakim zapałem do swoich obowiązków przystępowali nauczyciele w tym pierwszym, powojennym okresie mówią spisane przez nich wspomnienia. Oto dwa wybrane fragmenty, pierwszy autorstwa Edwarda Tomaszewskiego, rodem ze Lwowa, współorganizatora Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum Kupieckiego w Opolu, w późniejszych latach dyrektora opolskich szkół: Liceum Handlowego i Technikum Finansowego: „... Początki naszej szkoły były skromne, zresztą odpowiednie ówczesnemu położeniu miasta, na którego ulicach walał się gruz, opadły ze zrujnowanych domów. Na polecenie Kuratorium Okręgu Szkolnego Śląskiego w Katowicach powstała ta szkoła jako Gimnazjum Kupieckie i Kursy Maturyczne dla Dorosłych. Organizatorem i dyrektorem jej był Władysław Ziobro, dyplomowany komercjalista. Szkoła liczyła sześć oddziałów, z tego trzy oddziały młodzieżowe o pełnym wymiarze godzin i trzy dla dorosłych o nauce skróconej. Razem we wszystkich oddziałach 168 uczniów. Warunki nauczania były bardzo trudne. Przede wszystkim szkoła nie posiadała jeszcze własnego lokalu. Wprawdzie ówczesny Zarząd Miejski przydzielił szkole budynek przy ul. Kościuszki 39, ale był on zajęty dla celów wojskowych i dopiero w 1946 roku został przekazany szkole. Tymczasem trzeba było gnieździć się w budynkach przy ul. Gosławickiej 22, bez możliwości używania pomocy naukowych i organizowania gabinetów przedmiotowych. Oczywiście jak przystało na sublokatora nauka odbywała się w godzinach popołudniowych i wieczornych. Te trudności były jeszcze niczym w porównaniu ze stanem naukowym uczniów. Niektóre przedmioty, takie jak historia czy geografia, były młodzieży zupełnie nieznane. Z innymi było też nie całkiem dobrze. Młodzież klas pierwszych rekrutowała się z absolwentów szkół powszechnych, a wiemy, że poziom ich podczas okupacji był mniej niż dostateczny. Do klas wyższych przyjmowana była młodzież z ukończoną jakąś klasą szkoły handlowej, oczywiście przedwojennej. Można sobie wyobrazić, co zostało w umysłach tej młodzieży po czterech czy pięciu latach przerwy w nauce. Trzeba było po prostu zaczynać od początku...”.

Cecylia Czopeńko, rodem z Kołomyi, tak pisze o pierwszych dniach w swojej szkole: „... Po zakończeniu działań wojennych z transportem nauczycieli repatriantów z Kołomyi i okolic, po dwutygodniowej podróży w wagonach towarowych 7 października 1945 dotarliśmy do Głubczyc. Otrzymałam skierowanie do pracy w tutejszym Gimnazjum i Liceum. Pierwsze kroki prowadziły do szkoły. Była piękna i prawie pusta. Uczniów było niewielu, grono nauczycielskie – miniaturowe – cztery osoby. Tu przez 24 lata uczyłam biologii i geografii, a w niektórych latach również astronomii i higieny. Praca w pierwszych latach była bardzo trudna. Nie było gabinetów, brakowało pomocy naukowych. Pierwsze mapy spod gruzów wydobywali uczniowie. Dzięki uczniom i woźnemu p. Mieczysławowi Zarzyczemu wróciły do szkoły eksponaty mineralogiczne. Porządkowano pomoce do biologii, urządzono gabinet biologiczny i minera-

logiczny. Przez dobrych kilka lat korzystaliśmy tylko z jednego mikroskopu, złożonego z części przez nauczyciela fizyki prof. Pawła Kiczkę. Tablice poglądowe do biologii i geografii wykonywała nasza młodzież – każdy uczeń rysował jedną planszę. Mimo prymitywnych warunków nauczania młodzież pochłaniała wiedzę, garnęła się do nauki i pracy. Chciała jak najwięcej wiedzieć o ojczystym kraju, o bohaterskiej walce narodu polskiego. Ona dobrze pamiętała okupację i ciężkie lata II wojny światowej, kiedy nauka była zbrodnią...”

Wielu kresowych nauczycieli najpiękniej wpisało się w pamięć pokoleń młodych mieszkańców Śląska Opolskiego, nie sposób wymienić wszystkich. To jest niemożliwe, ale koniecznie trzeba wspomnieć bodaj kilkanaście nazwisk, tych którzy stali się wartością społeczno-historyczną w określonych środowiskach społecznych, w określonych miejscowościach, przeszli do legendy przekazywanej dzieciom przez rodziców i do dzisiaj żyją we wspomnieniach, są to m.in. Adolf i Bolesław Korngutowie, Maria Keffermuller (Kluczbork), Antoni Kmicikiewicz, Albina Pieczka, Stanisława Bilińska, Maria Piwońska, Karol Różycki, Józef Mikula, Zygmunt Sajdak, Edward Szybiński, Ludwik Panz (Opole), Józef Baraniuk, Kazimierz Marcinkiewicz, Leon Tkacz (Prudnik), Maria Bilwin (Głuchołazy), Władysław Wilczyński (Nysa), Albina Bajsarowicz, Maria Frej, Maria Frankiewicz (Głubczyce), Kazimierz Boruta, Zbigniew Letza (Brzeg) i wielu, wielu innych. Mieli za sobą traumatyczne przeżycia, niektórzy syberyjskie zesłania, inni noce rozświetlane łunami pożarów i grozą mordów dokonywanych przez zwyradniałych ukraińskich nacjonalistów, a wszyscy bez wyjątku byli ofiarami trzech bezwzględnych okupacji. A mimo to po przybyciu na Śląsk Opolski natychmiast włączali się aktywnie do pracy oświatowej, tę służbę traktowali w sposób niezwykle odpowiedzialny, jako spełnienie powinności obywatelskiej wobec Ojczyzny, tak zostali wychowani w kresowych seminariach nauczycielskich, uniwersytetach i wyższych uczelniach. I w równie zaangażowany sposób obowiązki swoje wykonywali, podobnie jak tam, na Kresach Wschodnich, wiernie służąc Polsce i młodym pokoleniom Polaków.

Wybrane sylwetki nauczycieli kresowych – pionierów oświaty na Śląsku Opolskim

Pośród kilkuset zamieszczonych w „Słowniku biograficznym Śląska Opolskiego” – biogramów nauczycieli rodem z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, tam wykształconych, tam rozpoczynających służbę nauczycielską, kontynuowaną potem na Opolszczyźnie warto przedstawić bodaj kilka w jakimś sensie najbardziej reprezentatywnych. Oto one:

Cecylia Czopeńko

Urodziła się 20 maja 1913 roku w Kołomyi.

W 1932 roku ukończyła Prywatne Gimnazjum SS Urszulanek w Kołomyi. W 1937 roku uzyskała dyplom magistra filozofii w zakresie geografii na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Pracę nauczycielską rozpoczęła w 1938 roku w XIV Państwowym Gimnazjum i Liceum we Lwowie. Lata 1939-1944 to praca w Szkole Średniej w Kosowie (woj. stanisławowski) oraz kierowanie Szkołą Powszechną w Kosowie.

Tam też organizowała i prowadziła tajne nauczanie. Rok szkolny 1944/45 to nauczycielska praca w Szkole Średniej nr 3 w Kołomyi. W okresie 1945-1969 pracowała jako nauczycielka geografii i biologii w Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Mickiewicza w Głubczycach. Zasłużona działaczka organizacji turystyczno-krajoznawczych.

Odnaczona jest Krzyżem Kawalerskim OOP, Medalem KEN, Złotą Odznaką ZNP, Odznaką ZNP „Za tajne nauczanie 1939-1945”.

Leopold Hołubowicz

Urodził się 7 września 1879 roku w Wasylkowie (pow. Kopyczyńce, woj. tarnopolskie).

W 1902 roku po zdaniu egzaminu dojrzałości w Tarnowie podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a kontynuował je na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Studia ukończył w 1908 roku uzyskując uprawnienia do nauczania matematyki i fizyki w szkołach średnich. Pracę nauczycielską rozpoczął w 1908 roku we Lwowie w II Gimnazjum Realnym, a od 1912 roku pracował w III Gimnazjum Realnym w Tarnopolu. W 1919 roku otrzymał nominację na stanowisko dyrektora Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Tarnopolu. Od 1937 roku aż do przejścia na emeryturę w 1939 roku był dyrektorem Liceum Pedagogicznego w Tarnopolu. W okresie II wojny światowej pracował w szkołach miasta Tarnopola. Na Śląsk Opolski przybył w 1945 roku. Został nauczycielem Gimnazjum i Liceum w Prudniku. Na ponowną emeryturę przeszedł w 1950 roku. W niepełnym wymiarze godzin – do 1956 roku – pracował w Szkole Przysposobienia Odzieżowego w Prudniku i w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Białej.

Zmarł w grudniu 1960 roku. Pochowany jest w Prudniku.

Antoni Kmicikiewicz

Urodził się 25 lutego 1888 roku w Czaplach (pow. Sambor, woj. lwowskie).

W 1910 roku ukończył II Szkołę Realną we Lwowie, po czym wstąpił na Uniwersytet im. Jana Kazimierza we Lwowie – Wydział Matematyczno-Fizyczny. Lata 1914-1918 to służba w charakterze oficera rachunkowego w Ministerstwie Wojny w Wiedniu. W 1921 roku rozpoczął pracę nauczycielską w Szkole Realnej w Tarnowie, równocześnie był nauczycielem w Żeńskim Gimnazjum SS Urszulanek i Prywatnym Seminarium Nauczycielskim im. Bł. Kingi również w Tarnowie. W 1929 roku po uzyskaniu dyplomu nauczyciela matematyki i fizyki w szkołach średnich ogólnokształcących zostaje przeniesiony do I Miejskiego Gimnazjum w Częstochowie. Od września 1930 roku do lipca 1940 roku prowadził w Częstochowie Prywatną Szkołę Powszechną. Po jej zamknięciu organizuje tajne nauczanie w zakresie szkoły podstawowej i średniej. W dniu 1 sierpnia 1945 roku został nauczycielem matematyki i fizyki w I Państwowym Gimnazjum i Liceum Męskim w Opolu. Równolegle był nauczycielem w następujących średnich szkołach Opola: II Państwowym Gimnazjum i Liceum Męskim, Liceum dla Dorosłych, Państwowym Gimnazjum i Liceum Żeńskim oraz Liceum Felczerskim. W latach 1951-1957 – jako założyciel – kierował Punktem Konsultacyjnym Studium Zaocznego Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu.

Odnaczony był Krzyżem Kawalerskim OOP, Medalem KEN, tytułem „Zasłużonego Nauczyciela PRL”, Złotą Odznaką ZNP.

Zmarł w 1986 roku. Pochowany jest w Opolu.

Adolf Stanisław Korngut

Urodził się 14 stycznia 1907 roku w Samborze (woj. lwowskie).

W 1930 roku ukończył studia na Wydziale Filologii Klasycznej Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Pracę nauczycielską rozpoczął w 1931 roku w Państwowym Gimnazjum Humanistycznym w Buczaczu. W 1932 roku uzyskał stopień doktora filologii klasycznej na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. W okresie okupacji prowadził tajne nauczanie w miejscowościach, gdzie był zmuszony do ukrywania się. W czerwcu 1945 roku przystąpił do organizowania Państwowego Gimnazjum i Liceum w Kluczborku. W szkole tej pracował aż do przejścia na emeryturę w 1968 roku, będąc też jej dyrektorem w latach 1959-1968. Współpracował z Polską Akademią Nauk jako tłumacz dzieł starożytności. Swoją wielką księgozbiór przekazał w darze Uniwersytetowi Wrocławskiemu.

Odnaczony był Krzyżem Kawalerskim OOP, Medalem KEN, Złotą Odznaką ZNP, Odznaką ZNP „Za tajne nauczanie 1939-1945”.

Zmarł 3 lutego 1973 roku. Pochowany jest w Kluczborku.

Edward Tomaszewski

Urodził się 26 lipca 1902 roku we Lwowie.

Po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego we Lwowie pracował w szkołach powszechnych tego miasta. Pracując studiował historię na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie. Studia ukończył w 1936 roku. W 1939 roku został dyrektorem szkoły powszechnej, następnie średniej we Lwowie. W tym okresie publikuje artykuły o tematyce historycznej. Książnica „Atlas” we Lwowie wydała jego powieść „Widmo niedźwiedzia”. Po przyjeździe w 1945 roku do Opola został nauczycielem w Gimnazjum i Liceum Handlowym w Opolu, a potem zastępcą dyrektora tej szkoły. W latach 1947-1949 prowadzi prywatną bibliotekę i wypożyczalnię książek. Potem wraca do pracy szkolnej, w 1951 roku obejmuje stanowisko dyrektora Technikum Finansowego w Opolu. Od 1954 roku pracuje w świetlicy szkolnej i w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Opolu, uczy języka łacińskiego w III Liceum Ogólnokształcącym w Opolu. Prowadził kursy języka esperanto.

Odnaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką ZNP.

Władysław Wilczyński

Urodził się 17 marca 1912 roku w Chojłowie (pow. Radziechów, woj. tarnopolskie).

Po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Tarnopolu rozpoczął w 1933 roku służbę nauczycielską pracując kolejno w Szkołach Powszechnych powiatu dubieńskiego w: Baszczówce (1933), Nosowicy Nowej (1934), Zahorcach Dużych (1935-1938). Podczas wojny uczył w rodzinnym Chojłowie, a od 1943 roku w Górkach (pow. Brzozów). W tej miejscowości prowadził tajne nauczanie. W 1945 roku osiedla się w powiecie nyskim, uczy w Szkole Powszechnej w Kamienicy. W 1950 roku

zostaje kierownikiem Szkoły Podstawowej nr 3 w Nysie. W dwa lata później zostaje powołany na stanowisko dyrektora Technikum Mechanicznego w Nysie. Pozostał na tym stanowisku do przejścia na emeryturę w 1972 roku. Do 1985 roku był zatrudniony w macierzystej szkole w niepełnym wymiarze godzin. W latach 1951-1953 prezes Zarządu Powiatowego ZNP w Nysie.

Odnaczony został Krzyżem Kawalerskim OOP, tytułem honorowym „Zasłużonego Nauczyciela PRL”, Medalem KEN, Złotą Odznaką ZNP, Odznaką ZNP „Za tajne nauczanie 1939-1945”.

Nie żyje. Pochowany jest w Nysie.

Zakończenie

Wydaje się, że obywatelskim obowiązkiem nas, którzy tu jesteśmy, jest dotarcie do archiwów, dokumentów, także tych najbardziej rodzinnych, są one bowiem materialnym świadectwem i dowodem wielkiego wkładu kresowych nauczycieli w tworzenie tych wartości nieprzemijających, które były i są siłą sprawczą wielkich narodowych dokonań. Szczególnie tu na Śląsku Opolskim, bo przecież już w marcu 1945 roku, tuż za woją, prędo przybyły na Opolszczyznę pierwsze polskie grupy operacyjne. W każdej z nich trzon stanowili nauczyciele. Przystępowali oni natychmiast do organizowania polskich szkół. Na własnych plecach znosili z płonących jeszcze domów sprzęt niezbędny do prowadzenia zajęć szkolnych, odkrywali w sobie talenty szklarzy, zdunów, murarzy. Tego jak radzić sobie w najtrudniejszych nawet warunkach i sytuacjach nauczyli się w kresowych uczelniach i seminariach nauczycielskich. Bo zanim ogłosili zapisy do szkół najpierw musieli stworzyć dla przyszłych wychowanków niezbędną bazę szkolną.

Pierwszy rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Franciszek Marek, rodowity Ślązak, tak mówił w 1995 roku na sesji naukowej poświęconej powojennemu półwieczu oświaty i nauki na Śląsku Opolskim: „... Od prawie dwustu już lat Zachód góruje pod względem ekonomicznym nad Wschodem, ale awans kulturowy dla Śląska i jego ludu przyszedł nie z bogatego Zachodu, lecz z biednego Wschodu. To nie zamożni Niemcy przynieśli ludowi śląskiemu światło nauki i wiedzy, lecz ubodzy Polacy, ograbieni i wypędzeni przez Rosjan. To zdziśiatkowani przez hitlerowskiego najeźdźcę i okupanta profesorowie lwowscy nie tylko przejęli Uniwersytet i Politechnikę we Wrocławiu, ale założyli także Śląską Akademię Medyczną w Rokitnicy, Politechnikę Śląską w Gliwicach i Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach. Dziełem kresowych teologów były w dużej mierze Seminarium Duchowne w Opolu i w Nysie. Profesorowie wrocławscy, przeważnie lwowskiego pochodzenia, założyli także Wyższą Szkołę Pedagogiczną, która w 1954 roku przeniesiona została z Wrocławia do Opola, a po czterdziestu latach awansowała do rangi Uniwersytetu Opolskiego. Zaiste tylko własne państwo, nawet bardzo biedne, jest w stanie uchronić swych obywateli przed kulturową dyskryminacją...”. I to rektorskie, piękne przesłanie powinno być dla nas rodem z Kresów, dla naszych dzieci, wnuków już tu na Śląsku Opolskim urodzonych powodem do dumy, do wiecznej pamięci o tym, że Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej Polski to święta i wielka rzecz! □

Kresoviana 2006

W bieżącym roku Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich już po raz czternasty był organizatorem Regionalnych Spotkań Wykonawców Piosenki Kresowej „Kresoviana 2006”.

W tegorocznym festiwalu piosenki kresowej wzięły udział łącznie 42 zespoły: chóry, zespoły śpiewacze, zespoły wokalo-instrumentalne, kapele, duety i soliści.

Patronat honorowy nad imprezą objął Marek Ast – Wojewoda Lubuski, patronat medialny – tygodnik regionalny „Ziemia Gorzowska”.

Festiwal piosenki odbył się, podobnie jak w latach poprzednich, w sali koncertowej Miejskiego Centrum Kultury.

Imprezę rozpoczął występ chóru „Ta joj” Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.



Chór „Ta joj” Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW

Otwierając dwudniową imprezę Prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotr Franków powitał przybyłych na festiwal zaproszonych gości:

- Jana Kochanowskiego – posła Ziemi Lubuskiej na Sejm RP,
- Władysława Czyżewskiego – przedstawiciela Wojewody Lubuskiego,
- Grażynę Wojciechowską i Zbigniewa Żbikowskiego – wiceprzewodniczących Rady Miasta Gorzowa Wielkopolskiego,
- Romana Bukartyka – przewodniczącego Komisji Edukacji, Kultury i Sportu Rady Miasta,
- Irenę Kuncewicz – kierownika Biura Rady Miasta,
- Józefa Żarskiego – Starostę Powiatu Gorzowskiego,
- Ewę Hornik – dyrektora Miejskiego Centrum Kultury,
- Janusza Popławskiego – prezesa Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej – Oddział w Gorzowie Wlkp.,
- Kazimierza Suproniuka – prezesa Towarzystwa Miłośników Polesia – Zarząd Główny w Gorzowie,
- Augustynę Jagiełłę – artystę malarza, kresowianina, autora prac prezentowanych w sali koncertowej.

Powitał także wszystkie zespoły biorące udział w „Kresovianie”, przedstawiciele lokalnych mediów: prasy, radia i telewizji oraz wszystkich sympatyków Kresów i piosenki kresowej.

Swoją obecnością festiwal zaszczyli także goście honorowi:

- Wilhelm Skibiński – prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Bukowińska” z Zielonej Góry,
- Jan Tarnowski – prezes Zielonogórskiego Oddziału TMLiKPW,
- Lidia Przybyłowicz – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta Gorzowa Wlkp.,

- Maria Dratwińska – prezes Koła Miejskiego Związku Sybiraków,
- Janusz Hrybac – honorowy prezes Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Gorzowie Wlkp.,
- Bogusław Mucha – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK – Oddział Lubuski w Gorzowie Wlkp.

W pierwszym dniu festiwalu wystąpiło 27 zespołów, głównie z północnej części województwa lubuskiego oraz z województwa zachodniopomorskiego.

W drugim dniu – 15 zespołów z południowej części Lubuskiego oraz honorowy gość naszego festiwalu – Zespół Pieśni i Tańca „Kwiaty Bukowiny” z Czarniowca.

Po przesłuchaniu łącznie 42 prezentacji solistów, chórów i zespołów wokalo-instrumentalnych Jury postanowiło nagrodzić i wyróżnić następujących wykonawców:

I. Za popularyzację kultury kresowej w środowisku szkolnym:

1. zespół wokalny „Stokrotki” ze Szkoły Podstawowej w Lubczynie k. Bogdańca;
2. zespół wokalny „Canzona” – nauczycieli Szkoły Podstawowej w Witnicy;
3. zespół wokalny „Czarnuszki” ze Szkoły Podstawowej im. Kresowian w Czarnowie;
4. zespół wokalny „Bemolki” ze Szkoły Podstawowej nr 14 w Zielonej Górze.

II. Za kulturę muzyczną i dobór repertuaru:

1. chór „Wrzosi” z Klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp.;
2. zespół śpiewaczy „Platerówki” z GOK Boleszkowice;
3. kapelę „Lwowskie Batiary” z Klubu Seniora w Zielonej Górze;
4. zespół śpiewaczy „Canto” Koła Gospodyń Wiejskich w Kamieniu Wielkim;
5. zespół wokalny „Canzona” z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
6. solistkę **Jadwigę Puchałę** z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
7. chór „Cantus Decus” z MGOK w Strzelcach Kraj.;



Chór „Cantus Decus” ze Strzelc Krajeńskich

8. chór „Biały Orzeł” z Sulęcina;
9. zespół śpiewaczy „Drzewiczanie” z KCK Kostrzyn;
10. zespół wokalo-instrumentalny „Trelinki” z Gimnazjum nr 1 w Szprotawie;
11. solistkę **Dorotę Czernisz** – Gimnazjum nr 1 w Szprotawie;
12. zespół wokalny „Klaster” z MDK w Gorzowie Wlkp.;
13. zespół śpiewaczy „Mycieliniani” z Mycielina, gm. Niegostawice;
14. chór „Łęczanie” z MDK w Ośnie Lub.

III. Za walory estradowe:

1. chór „Kallina” z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
2. duet „Wena” z Klubu Seniora w Zielonej Górze;
3. zespół wokalny „O.K.” z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 11 w Gorzowie Wlkp.;
4. zespół śpiewaczy „Nowiniarki” z MDK w Witnicy;
5. zespół śpiewaczy „Echo z Dębowego Lasu” z DPS w Kostrzynie;

6. solistkę **Małgorzatę Grancewicz** z MDK w Gorzowie;
7. kapelę „Zmyślanie” z MOK w Myśliborzu.

IV. Za debiut na „Kresovianie”:

1. zespół wokalo-instrumentalny „Marwiczanie” z Marwic;
2. zespół wokalny „Nowalijki” z Rzecyz, GOK Boleszkowice;
3. zespół wokalny „Jarzębinki” z Gudźsz, GOK Boleszkowice;
4. chór „Srebrny Włos” z DOK Dębno Lub.;
5. chór „Wrzosi” z Rzepina.

V. Za upowszechnianie pieśni kresowej:

1. chór „Ta joj” TMLiKPW i Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
2. solistkę **Zdzisław Dudzińskiego** z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
3. zespół wokalny „Rozśpiewana Gromada” z Klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp.;
4. chór „Kominek” z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.;
5. połączone chóry „Jagienki” i „Lubczyńnianki”, repr. Urząd Gminy Bogdaniec;
6. zespół śpiewaczy „Brzezinki” z Santocka;
7. chór „Górkowianki” z Górek Noteckich;
8. chór „Górzyczanki” z Ośrodka Pomocy Społecznej w Górzycy;
9. zespół śpiewaczy „Odrzanki” z Górzycy;
10. **Górzycą Kapelę Ludową** z GOK Górzycy;
11. chór „Uniwers” z Kostrzyńskiego Centrum Kultury w Kostrzynie n. O.;
12. zespół śpiewaczy „Pohulanka” TMLiKPW w Zielonej Górze.

Laureatami tegorocznej „Kresoviany” zostali:

I. W kategorii chórów:

- chór „Wrzosi” z Klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp.;



Chór „Wrzosi” z Klubu „jedynka” z Gorzowa Wlkp.

- chór „Biały Orzeł” z Sulęcina;
- chór „Łęczanie” z Ośna Lubuskiego;

II. W kategorii zespołów śpiewaczych:

- „Drzewiczanie” z Kostrzyna n. O.;
- „Mycieliniani” z Mycielina, gm. Niegostawice;

III. W kategorii małych form wokalnych i instrumentalnych:

- tercet „Canzona” z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp. Tercet otrzymał również Nagrodę RCAF w Zielonej Górze w postaci sesji nagraniowej w Studiu Polysound;
- zespół wokalo-instrumentalny „Trelinki” z Gimnazjum nr 1 w Szprotawie;
- zespół wokalny „Klaster” z MDK w Gorzowie Wlkp.;
- kapela „Zmyślanie” z MOK w Myśliborzu;
- kapela „Lwowskie Batiary” z Klubu Seniora w Zielonej Górze;

IV. W kategorii solistów:

- **Dorota Czernisz** – nauczycielka Gimnazjum nr 1 w Szprotawie;
- **Jadwiga Puchała** z Klubu „Pogodna Jesień” w Gorzowie Wlkp.

Jury konkursu wyróżniło głównymi nagrodami następujących wykonawców:

Pucharami Marszałka Województwa Lubuskiego:

- tercet „Canzona” z Klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp.,
- zespół śpiewaczy „Drzewiczanie” z Kostrzyna n. O.,
- chór „Biały Orzeł” z Sulęcina;

Pucharem Wojewody Lubuskiego:

- zespół wokalny „Mycieliniani” z Mycielina;

Pucharem Prezydenta Gorzowa Wlkp.:

- chór „Wrzosi” z Klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp.

Każdy zespół biorący udział w festiwalu otrzymał nagrodę i dyplom uczestnictwa.

Ponadto decyzją Jury uhonorowani zostali upominkami instruktorzy zespołów uczestniczących w tegorocznej „Kresovianie”: Zofia Raubo, Włodzimierz Czernisz, Krzysztof Sowa, Hanna Bednarczyk, Tadeusz Pencak, Jan Piśko, Franciszka Darul, Renata Baran, Jurij Tiepałow, Dariusz Rabikowski, Magdalena Janowska, Katarzyna Pękala, Tomasz Cichocki, Zbigniew Chomicki, Zbigniew Bocian, Roman Grabacik, Bernadeta Bębenek, Krystyna Stachów, Alfred Rakiej, Jerzy Okulewicz.

Występy w drugim dniu „Kresoviany” zakończył Zespół Pieśni i Tańca „Kwiaty Bukowiny” z Czarniowca (Ukraina), składający się z 40 osób, w tym 35 dzieci i młodzieży oraz 5 osób dorosłych – opiekunów.

Opiekę nad zespołem w czasie jego pobytu w Gorzowie sprawował, jak zwykle, **Władysław Olszowy** – wiceprezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW i wiceprezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Oddział Lubuski w Gorzowie Wlkp., które sfinansowało pobyt zespołu w Polsce.

Kol. Władysław Olszowy zorganizował zespołowi występy w Szczecinie, Dębnie i Gorzowie Wlkp.; w drodze powrotnej wystąpili w Zielonej Górze, gdzie opiekę nad nimi przejął Wilhelm Skibiński – prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Bukowińska”.

Ich występy w Gorzowie i innych miastach cieszyły się dużym uznaniem.

Przy okazji wyjazdu na koncert do Szczecina „Kwiaty Bukowiny” zwiedziły Muzeum Morskie, poznały uroki miasta i odbyły przejażdżkę statkiem po porcie. Natomiast w Gorzowie, obok zwiedzania zabytków miasta, największą radość sprawił zespołowi pobyt na basenach centrum rekreacyjno-sportowego „Słowianka”, gdzie trenują pływacy polskiej kadry narodowej.

Korzystając z pobytu zespołu na Ziemi Lubuskiej, Gorzowski Oddział TMLiKPW przekazał za jego pośrednictwem dar dla Polskiej Sobotniej Szkoły w Czarniowcach – trzy duże paczki podręczników do nauczania języka polskiego i historii, podarowane przez gorzowską Księgarnię S.C. z ul. Hawelańskiej.

Nad sprawnym przebiegiem „Kresoviany 2006” czuwała reżyser imprezy **Władysław Staryszak** z gronem młodych konfiansjerów z IV Liceum Ogólnokształcącego i Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Gorzowie, w których działają Kluby Młodzieżowe TMLiKPW.

Organizatorzy „Kresoviany” serdecznie dziękują za finansowe wsparcie Wydziałowi Kultury Urzędu Miasta, Województwu Lubuskiemu za patronat honorowy, „Ziemi Gorzowskiej” za patronat medialny. Dziękujemy także fundatorom nagród, m.in.: Radzie Miasta Gorzowa Wlkp., Kuratorium Oświaty w Gorzowie Wlkp., przedsiębiorstwom: INTERBUD-WEST, IZOBUD-REM, KASKAT, Wojewódzkiemu Ośrodkowi Metodycznemu, Stanisławowi Dżumadze z Kancelarii Adwokackiej, Regionalnemu

Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze oraz towarzystwom i stowarzyszeniom kresowym.

Szczególne podziękowania organizatorzy „Kresoviany” kierują do „Wspólnoty Polskiej” za sprowadzenie zespołu zagranicznego – „Kwiatów Bukowiny”.

W końcowym protokole podsumowującym tegoroczną „Kresovianę” Jury z przewodniczącą Anną Makow-

Alfred Janicki

Rocznicowy rok zakończenia ekspatriacji

Dla podkreślenia tragedii Polaków, którzy musieli opuścić swój dom rodzinny na Kresach Wschodnich II RP w 60 rocznicę zakończenia akcji ekspatriacji w Węglińcu przedstawialiśmy wystawę pt. „Gologta Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich”. Pan Szczepan Siekierka przy okazji tej wystawy wygłosił prelekcję o zbrodniczych działaniach OUN-UPA. Przez dwa tygodnie mieszkańcy Miasta i Gminy Węglińca zwiedzali wystawę. Cieszy szczególnie udział uczniów gimnazjum z Ruszowa i Węglińca w zwiedzaniu wystawy. To było w lutym br.

23 lipca w Czerwonej Wodzie odsłanialiśmy pomnik upamiętniający martyrologię i przesiedlenie ludności pol-

ską-Cieleń podkreśliło, że „... gorzowskie »Spotkania« cieszą się uznaniem i szacunkiem zespołów i placówek z wielu ośrodków”. Jest to kolejny dowód, że piosenka kresowa jest ciągle żywa i popularna, a Kresy obecne w pamięci zarówno dorosłych, jak i młodzieży. □

dzie ks. M. Panońko i ojciec Jan Szpyt, który wygłosił przepiękną homilię podkreślającą wiarę kresowian, ich patriotyzm i umiłowanie rodziny. Oprawę muzyczną Mszy św. i całej uroczystości dała orkiestra KWB „Turów” przeprowadzona przez pana Bzowskiego. Odświętności i powagi dała kompania honorowa WP z Żagania. Przy pomniku Burmistrz Gminy i Miasta Węglińca Andrzej Kutrowski podziękował wszystkim, którzy swą pracą przyczynili się do powstania pomnika. Alfred Janicki przedstawił uwarunkowania historyczne ekspatriacji i te cele upamiętniania tych ciężkich dni. Podolanie wzruszyli zebranych pieśniami „Pożegnanie z Podolem” i „Pieśnią tułacza”. W uroczystości brali udział pan Szczepan Siekierka – prezes SUOZUN-UPA oraz Tadeusz Samborski – prezes Stowarzyszenia „Krajobrazy”, oraz pan Bolesław Adamczyk z ZG TMLiKPW. Uczestniczyła też delegacja Kresowian z Żar z panem Józefem Tarniowym. Po odsłonięciu pomnika uczestnicy uroczystości udali się do miejscowego Domu Kultury, gdzie w wielkim skupieniu obejrzeli wystawę „Gologta Polaków na Kresach Wschodnich”.

Pomnik został wykonany z piaskowca z okolic Czortkowa przez rzeźbiarza Andrzeja Nastuika z Borszczowa. Fundusze na ten cel przekazała Rada Gminy i Miasta w Węglińcu.

27 sierpnia o godz. 18 w kościele parafialnym w Węglińcu odprawiona została uroczysta Msza św. w intencji ekspatriowanych Polaków. Mszę św. odprawili ks. dziekan Ryszard Wołowski z księdzem prałatem E. Franczakiem. Homilię wygłosił ksiądz dziekan R. Wołowski rozwijając pięknie trzy słowa, które były

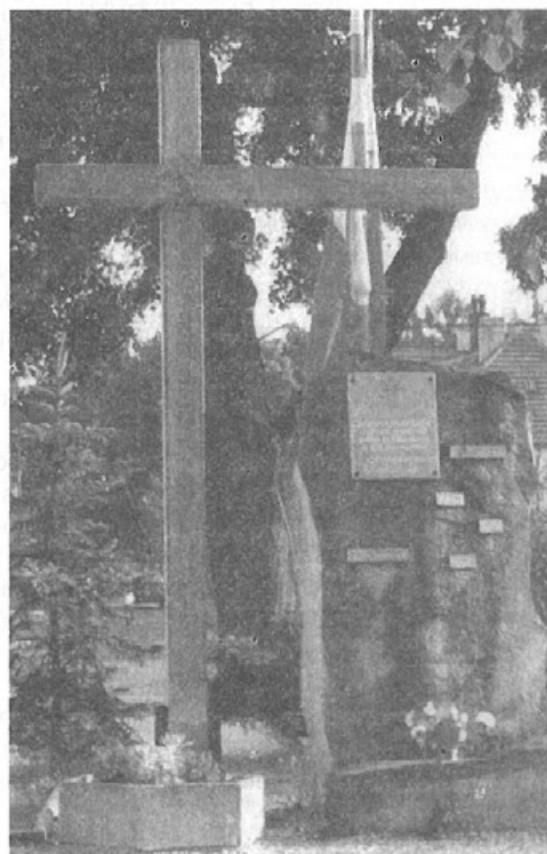


Pomnik ekspatriowanych Polaków w Czerwonej Wodzie

skiej z Kresów Wschodnich. Na podstawie pomnika jest tablica z nazwami miejscowości kresowych, z których przybyli do Czerwonej Wody okoliczni mieszkańcy. U góry niewielki cokół z herbami Lwowa, Tarnopola i Stanisławowa. Nad nimi orzeł zrywający się do lotu, starający się utrzymać całość w swych szponach. Do pomnika dochodzi się po podkładach kolejowych. Uroczystości rozpoczęły się Mszą św., którą celebrowali ks. prałat St. Zajac, proboszcz parafii w Czerwonej Wo-



Delegacja Węglińskich Bajbusów i Zarząd Oddziału przed złożeniem kwiatów w Węglińcu



Skwer Podolski w Węglińcu

mottem węglińskich uroczystości CIERPIENIE, PRZEBACZENIE, PAMIĘĆ. Po Mszy św. przeszli w procesji na Skwer Podolski, gdzie ks. prałat E. Franczak dokonał poświęcenia krzyża upamiętniającego 60 rocznicę ekspatriacji. Do uczestników uroczystości przemówił Alfred Janicki. W wystąpieniu swoim podkreślił szczególnie mocno trzecie słowo umieszczone na



Uczestnicy uroczystości odsłonięcia Krzyża 60-lecia ekspatriacji. Na pierwszym planie A. Janicki i A. Kutrowski

krzyżu: PAMIĘĆ. Zaapelował do wszystkich o pielęgnowanie wśród młodzieży pamięci rodzinnej, regionalnej, państwowej. Delegacje TMLiKPW, Węglińskie Bajbusy oraz wielu uczestników uroczystości złożyli wiązanki kwiatów i zapalili znicze pamięci. Bezinteresowny olbrzymi wkład w wykonaniu krzyża dali nadleśniczy Nadleśnictwa Węglińca pan W. Piechota, leśniczy M. Młodziński, panowie Wł. Łabinowicz, T. Buczkowski, A. Mazurkiewicz i Fr. Mazurkiewicz. Tutaj również byliśmy wspierani przez Radę Miasta i Burmistrza Węglińca A. Kutrowskiego.

Krzyż i tablicę wykonano wg projektu Alfreda Janickiego.

W świetle powyższych informacji uważam, że władze samorządowe naszej jednostki administracyjnej mogą być wzorem dla innych większych i bogatszych jednostek. Samorządowcy pamiętają skąd ich ród. □

Kazimierz Wesołowski

Lwowski Chrystus Frasobliwy w tarnowskiej świątyni NSPJ

Lwowska Bazylika Archikatedralna pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, której budowę z fundacji Kazimierza Wielkiego rozpoczęto w 1360 roku, była miejscem kultu słynnego obrazu Matki Bożej Łaskawej, czyli tak zwanej Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa, przed którym król Jan Kazimierz składał swe słynne śluby. Niezwykle cennym klejnotem lwowskiej archikatedry była też późnogotycka rzeźba Chrystusa Frasobliwego, znana i ceniona jako łaskami słynąca. Przypisywana warsztatowi Mikołaja Haberschraka działającego w Krakowie. Rzeźbę wykonano w XV wieku, jest drewniana, polichromowana, przedstawia Chrystusa w pozycji siedzącej. Całość ma 111 cm. Mikołaj Haberschrak, malarz i rzeźbiarz, był cenioną postacią na terenie Lwowa, w którym na zamówienie rajców wykonał szereg prac, m.in. pozłacał i pomalował figurę św. Marii Magdaleny do Lwowskiej Archikatedry.

Rzeźba Chrystusa Frasobliwego przez pięć stuleci była nie tylko cenną ozdobą Lwowskiej Archikatedry, ale

też świadkiem bohaterskich, patriotycznych i dramatycznych wydarzeń w historii polskiego Lwowa. Historia tego okresu odnotowała szereg bohaterskich walk pod Lwowem i na Kresach z najeźdźcami kozackimi, tatarskimi, tureckimi oraz gigantyczny pożar w 1527 roku, który strawił całą nieomal nawierzchnię Lwowa w obrębie murów. Stanęła w ogniu gotycka katedra z czerwonej cegły, spadł i stopił się ukochany dzwon Lwowa „Zuzanna”, ale ocalał Chrystus Frasobliwy, u stóp którego nadal modlili się Lwowianie, wierzyli w skuteczność modlitwy i doświadczali wielu łask. Szczególnie gorąco modlili się tu obrońcy Lwowa w 1918 i 1920 roku. Lwowianie szukali tu zawsze miłosierdzia i pomocy Bożej oraz dziękowali za otrzymane łaski.

Po II wojnie światowej, kiedy Lwów zajęły hordy bolszewickie, Chrystus Frasobliwy opuścił mury dostojnej Lwowskiej Archikatedry i bez rozgłosu został przewieziony przez opuszczających Lwi Gród Lwowian do

tarnowskiej świątyni Najświętszego Serca Pana Jezusa wybudowanej w latach 1935-1938 przez wyniesionego na ołtarze męczennika ks. inf. bł. Romana Sitkę, a wykończonej po wojnie przez ks. inf. Stefana Dobrzańskiego.

Historia figury Chrystusa Frasobliwego przez dziesięciolecia nie była znana tarnowianom. Dopiero ks. prof. dr hab. Stanisław Sojka, nasz proboszcz i postulator ds. beatyfikacji ks. Romana Sitki, obecnie postulator ds. kanonizacji 108 męczenników za wiarę „Extra Urbem” – w szczególności bł. Romana Sitki, a także autor szeregu publikacji na Jego temat doprowadził do urządzenia i poświęcenia Kaplicy Wierzytwej Adoracji Najświętszego Sakramentu, nad którym umieszczono lwowską rzeźbę Chrystusa Frasobliwego. Kaplicę tę poświęcił i dokonał uroczystej inauguracji Wierzytwej Adoracji biskup tarnowski



Wiktor Skworec. Obok poświęcono ołtarz budowniczego świątyni i rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie bł. ks. Romana Sitki oraz tablicę upamiętniającą wymordowanie polskich policjantów na terenie Rosji Sowieckiej.

Jeszcze we Lwowie Chrystus Frasobliwy zasłynął z łaskowości i cudów. W Tarnowskiej świątyni NSPJ modlą się tu ludzie o każdej porze dnia, nieraz do późnego wieczoru.

Odwiedzajcie drodzy rodacy lwowskiego Chrystusa Frasobliwego, który znalazł schronienie w tarnowskiej świątyni NSPJ i powierzcie mu swoje bóle, troski i radości z wiarą, że was wysłucha i pomoże. Przychodzą tu też lwowianie z prośbą o opiekę nad Lwowem i błogosławieństwo dla kończącego wędrówkę ziemską pokolenia urodzonego w polskim Lwowie. □

Maria Pawłowiczowa

Księga Pamiątkowa

I Gimnazjum Państwowe im. Mieczysława Romanowskiego w Stanisławowie (II)

II część *Księgi Pamiątkowej...* gromadzi *Przyczynki i wspomnienia z dziejów gimnazjum*¹⁸⁾. Autorami tekstów byli wychowankowie szkoły oraz jej historycy. Wśród 14 tekstów wyróżnić można dwie grupy. Pierwsza zawiera refleksje z okresu młodości, np. *Moje wspomnienia z lat 1872-80* pióra Jana Wierzbowskiego¹⁹⁾, *Fragment z Pamiętników Ignacego Daszyńskiego (1878-1882)*²⁰⁾, *Pamięci wielkodusznego Obywatela – rzecz o fundatorze stypendiów Wincentym de Szachlankim*²¹⁾, a także *Z szkolnych wspomnień 1883-1889* doktora Eugeniusza Barwińskiego²²⁾.

Przewagę mają poważne teksty o charakterze naukowym, wzbogacające wiedzę o kulturze regionu i losach uczniów Gimnazjum. W tej grupie znajdują się prace poświęcone szkolnemu teatrowi autorstwa dr. Reginy Schächterówny oraz dr. Aleksandra Czołowskiego o archiwum kolegiatnym²³⁾. Dr Czesław Chowaniec informował o znalezieniu w kolegiacie świadectwa chrztu Franciszka Karpińskiego, wybitnego ucznia Kolegium. Była to swego rodzaju rewelacja, ponieważ biografom dotychczas nie udało się tego szczegółu z życia poety ustalić²⁴⁾.

Kolejnym wybitnym uczniem uczęszczającym do gimnazjum w Stanisławowie był poeta Mieczysław Romanowski. Właśnie jego imię nosiło I Gimnazjum w okresie międzywojennym. Zginął on w powstaniu styczniowym w bitwie pod Józefowem. Należał do ochotników, którzy przekroczyli granice Galicji, aby

walczyć o wolną Polskę. Dr Józef Zieliński w rozprawce *Mieczysław Romanowski jako uczeń*, korzystając z zachowanej dokumentacji ukazał kłopoty szkolne przyszłego poety. Odtworzył nawet niefortunny przebieg egzaminu maturalnego, który musiał być powtórzony przed komisją we Lwowie²⁵⁾. Dr Stefania Skwarczyńska opublikowała natomiast *Notatnik Romanowskiego z 1856 roku*, w którym poeta żołnierz zapisał bruliony swych utworów. Nie wszystkie były dotychczas wydane. Autorka, analizując zachowaną korespondencję rodzinną, odtworzyła okoliczności, w jakich wiersze te powstały²⁶⁾.

O tym, że nie samą nauką żyła młodzież stanisławowska, informuje tekst Tadeusza Zagajewskiego *Tajne związki młodzieży w 1905 roku*²⁷⁾. Socjologiczne walory miała mała rozprawka profesora uniwersytetu Ludwika Jaxy Bykowskiego *Dzieje jednej klasy 1892-99*²⁸⁾. Ciekawy materiał porównawczy zawiera natomiast artykuł tego samego autora relacjonujący *Badania empiryczne nad młodzieżą*²⁹⁾.

Patriotyczny charakter ma praca Tadeusza Zagajewskiego *Virtuti Militari*. Jako motto służą słowa § 1. statutu organizacji narodowej młodzieży szkół średnich w Stanisławowie w latach 1904-1914: „Zadaniem organizacji jest praca nad sobą i kolegami w celu wykształcenia typu polskiego żołnierza-obywatela, który w czasie pokoju żyć, a w czasie wojny ginąć za Polskę potrafi”³⁰⁾. Przypomniał więc autor nazwiska tych uczniów, którzy w ciągu 260 lat istnienia szkoły stanisławowskiej oddali

życie na pobojuwiskach. Poczet bohaterów rozpoczynał pułkownik husarii Stanisław Potocki, wychowanek Akademii walczący pod Wiedniem. Kolejno wymienieni byli późniejsi bohaterowie I Rzeczypospolitej, a z okresu zaborów uczeń klasy VI – Stefan Hoszowski, który zginął w okresie Wiosny Ludów, oraz poeta żołnierz Mieczysław Romanowski, uczestnik powstania styczniowego.

Autor przypomniał następnie poległych podczas I wojny światowej, gdy na pierwszy apel stanęły dziesiątki i setki młodzieży stanisławowskiej. Uczniowie walczyli do ostatniego naboju i ginęli w rowach strzeleckich w Legionach Polskich lub w armii austriackiej pod obcymi sztandarami. Ginęli też w walkach profesorowie Gimnazjum: w 1914 roku w Karpatach Jan Koszykowski i profesor Czesław Weinert. Długa jest lista zabitych na frontach w całej Europie w latach 1914-1918.

Tragiczny jest również wykaz młodzieży stanisławowskiej ginącej podczas inwazji bolszewickiej w 1920 roku. Dwóch uczniów Gimnazjum szczególną zdobyła sławę. Jednym z nich jest bohaterski kapitan Bolesław Zajączkowski, dowódca obrony Zadwórze – placówki nazwanej „polskimi Termopilami”, który przeciął wojskom Budionnego drogę do Lwowa. „Dumni jesteśmy zwłaszcza my, że Leonidasem tych polskich Termopil był stanisławowianin” – zapisano w *Księdze Pamiątkowej...* Wojska rosyjskie napotkały zacięty opór także w innym miejscu zwanym Termopilami, gdzie walczyła „bateria śmierci” pod dowództwem byłego ucznia gimnazjum stanisławowskiego – Adama Zajęca. W bitwie pod Dytiatynem w powiecie rohatyńskim razem z dowódcą zginęli wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze baterii.

Warto też przytoczyć jeszcze te słowa tekstu Tadeusza Zagajewskiego: „Oddając w zakończeniu naszej *Księgi* cześć pamięci wszystkich jej b.[yłych] profesorów i uczniów, którzy polegli na polu chwały, spełniamy nasz wobec nich obowiązek [...]. Niechaj duch ich wlatujący nad polami Wiednia, Józefowa, Lasek i Krzywopłotów, nad mogiłami Zadwórze i Dytiatyna patronuje stale pracy uczelni nad wychowaniem młodzieży – przyszłych obywateli Państwa naszego. Cześć i sława bohaterom!”³¹⁾.

W III części *Księgi Pamiątkowej...* zreferowano przebieg dwudniowych uroczystości jubileuszowych³²⁾. Z różnych stron Polski zjechało ponad 400 byłych wychowanków Gimnazjum. Wśród nich z największymi honorami witano marszałka sejmu Ignacego Daszyńskiego oraz wojewodę dr. Aleksandra Morawskiego. W świątyniach stanisławowskich odbyły się uroczyste nabożeństwa: w kolegiacie, w kościele ormiańskim, w katedrze grekokatolickiej i w synagodze. Odsłonięto tablicę pamiątkową. Był i pochód młodzieży wszystkich szkół średnich Stanisławowa, które uczyły najstarszą. Były także liczne toasty wznoszone na przyjęciach i rautach.

Święto tak starej szkoły odbiło się głośnym echem w prasie całej Polski. Nadesłano liczne telegramy gratulacyjne³³⁾. Wypowiedzi te zgromadzono w rubryce *Pokłosie jubileuszowe*. Trwała wartość zachowała *Księga Pamiątkowa...* – zbiorowy trud byłych uczniów i profesorów złożony w hołdzie swojej Alma Mater. Drugą pamiątką jest medal projektu artysty rzeźbiarza Wojciecha Przedwojewskiego, wybitny w brązie przez mennicę państwową w liczbie 200 numerowanych sztuk. Trzecią –



Gmach I Gimnazjum Państwowego w Stanisławowie. Budowla ta pochodzi z XVIII wieku i mieściła kolegium jezuickie. Przyległy kościół, dziś cerkiew katedralna, należał do OO. Jezuitów. Z prywatnych zbiorów Marii Pawłowiczowej

ufundowanie przez stanisławowskie instytucje komunalne kilku stypendiów dla uczniów I Gimnazjum.

W zakończeniu *Księgi Pamiątkowej...* podkreślono, że gimnazjum stanisławowskie, istniejące ponad 260 lat, to jedno z najstarszych zakładów średnich w Polsce. Wychowało dziesiątki tysięcy uczniów – i to nie tylko młodzież polską, ale i ruską oraz żydowską – „którym los kazał wspólnie zamieszkać na jednej ziemi. [...] Gimnazjum [...] było najdalej na południe wysuniętym jedynym bastionem [...], który skutecznie szerzył kulturę i ducha polskiego na rubieży Rzeczypospolitej”³⁴⁾.

W podsumowaniu należy zaznaczyć, iż *Księga Pamiątkowa...* jest drukiem zabytkowym dzięki swej artystycznej formie. Bibliofiski charakter nadało jej wytoczenie części nakładu na papierze dokumentowym. Tym samym nadano jej trwałość. Ogromna troska o szatę graficzną sprawiła, że książka zaliczana jest przez badaczy do kilku najpiękniejszych druków stanisławowskich wykonanych w Oficynie Stanisława Chowańca³⁵⁾.

Księga Pamiątkowa... jest też ważnym dokumentem historycznym. Utrwaliła proces rozwoju szkoły działającej na terenie kresowego miasta przez 260 lat, w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, pod zaborem austriackim oraz w pierwszych latach istnienia II Rzeczypospolitej.

Niestety, w 10 lat po wydaniu *Księgi Pamiątkowej...* nastąpił kolejny tragiczny rozdział w dziejach Polski. Ciągłość istnienia szkoły została definitywnie przerwana, gdy 17 września 1939 roku Armia Czerwona wkroczyła na teren państwa polskiego. I Państwowe Gimnazjum w Stanisławowie po 270 latach zakończyło swą działalność. Od tej chwili ślady polskości na Kresach były gorliwie zacierane i niszczone.

Drukarnia Stanisława Chowańca, w której *Księgę Pamiątkową...* wytłoczono, działająca w Stanisławowie od 1887 roku, została upaństwowiona. Polską czcionkę – łacinkę – zamieniono na grażdankę, pismo używane tuż za Bugiem i Sanem. Czasy stalinowskiego terroru spowodowały zniszczenie wszelkiej dokumentacji, w tym i dokumentacji szkół polskich.

Gdy w 1941 roku wkroczyły na te tereny wojska niemieckie, rozpoczęła się likwidacja polskiej inteligencji. Dokonał tego gestapowiec Hans Krüger, ten sam, który przeprowadził aresztowanie profesorów Uniwersytetu w Krakowie oraz mord uczonych we Lwowie. Wśród nauczycieli wszelkiego typu szkół stanisławowskich zostało rozstrzelanych w Czarnym Lesie także dziesięciu profesorów dawnego I Gimnazjum im. Mieczysława Romanowskiego. Wraz z nowym dyrektorem Franciszkiem Junem³⁶⁾ i katechetą ks. Łucjanem Tokarskim poszli na śmierć: „pan od” fizyki i matematyki, nauczyciel geografii i rysunków, polonista i filolog klasyczny, germanista i przyrodnik. Zginęli tylko dlatego, że uczyli w polskiej szkole. Jakimś cudem ocalał historyk Józef Zieliński, który sporządził pełną dokumentację i opisał te wydarzenia tak rzetelnie, jak niegdyś dzieje I Gimnazjum w *Księdze Pamiątkowej*...³⁷⁾

Władza sowiecka, która po 1944 roku do Stanisławowa powróciła, uczciła 300-lecie założenia miasta przez Potockiego, nadając mu nazwę Iwanofrankowsk. Tak więc *Księga Pamiątkowa*... dokumentuje życie dawnego Stanisławowa – miasta, którego na mapie dziś już nie ma. Jej redaktorzy nie tylko wpisali w głęboki sens dzieła przeszłości i sprawy bieżące z początków II Rzeczypospolitej, ale też dali dokument „niezamierzony”, „dopisany” przez historię.

Dla autorki artykułu *Księga Pamiątkowa*... jest fragmentem dokumentacji rodzinnej. Do I Gimnazjum w Stanisławowie uczęszczali bowiem niegdyś dwaj Bracia Dziadka. W święcie szkoły nie uczestniczyli ze względu na podeszły wiek. Nadesłali więc tylko telegramy gratulacyjne. A podpisa-
li je: Karol Kasztelewicz, starszy radca Skarbu z Brzeska oraz Kazimierz Kasztelewicz, inspektor PKP ze Lwowa³⁸⁾. Ojciec autorki, jako uczeń wyższych klas Szkoły Realnej, był zatrudniony w Bursie im. Józefa Ignacego Kraszewskiego jako cenzor³⁹⁾. W Zakładzie Stanisławowskim uczył się Brat Matki: Tadeusz Kasztelewicz, który wymieniony jest wśród abiturientów 1913 roku⁴⁰⁾ i niemal prosto z ławy szkolnej poszedł do Legionów. Walczył w Karpatach, po wojnie ukończył studia prawnicze, a następnie był naczelnikiem Urzędu Ziemskiego w Stanisławowie. W czasie II wojny był pierwszym komendantem Armii Krajowej w Stanisławowie. Jego nazwisko umieścił profesor Zieliński wśród zamordowanych w Czarnym Lesie. Do Gimnazjum I uczęszczał również brat autorki – Kazimierz Kostecki⁴¹⁾, zamęczony przez hitlerowców.

Księga Pamiątkowa... zawsze znajdowała się na półce wśród albumów z fotografiami rodzinnymi. Nie ma obecnie Stanisławowa, jest Iwanofrankowsk. Nie ma domu przy ulicy Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego 18, nie ma etażerki z mosiężnymi ozdobami ani półki z pamiątkami. Ocalał dziwnym trafem ten stanisławowski druk, który utrwala więzy z Ziemią Utraconą. *Habent sua fata libelli*.

PS – Egzemplarz „Księgi Pamiątkowej” stanowi pamiątkę rodzinną ocalałą z domu w Stanisławowie. Do Gimnazjum Klasycznego chodzili dwaj bracia mojego Dziadka, brat mojej Matki i kolejno mój brat. Przez lata egzemplarz „Księgi” uległ znacznemu zniszczeniu. Obecnie brak w nim s. 107-110. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby znalazł się posiadacz tej zabytkowej książki i pozwolił odbić brakujące stronic, aby uzupełnić moją. W dostępnych mi bibliotekach tytułu tego nie znalazłam.

Przypisy:

- 1) Stanisławów powstał w 1662 r. jako twierdza, miasto rozwijające się w murach fortyfikacyjnych w 1663 r. otrzymało prawa magdeburskie, potwierdzone przez króla Jana Kazimierza.
- 2) *Księga Pamiątkowa I-go Gimnazjum Państwowego w Stanisławowie* wydana z okazji Uroczystości jubileuszowych i Zjazdu b[.y]łych uczniów w dniach 21-go i 22-go września 1928 roku. Stanisławów 1929. Nakładem Komitetu Jubileuszowego, s. 5.
- 3) Ibidem, s. 9-27. O przeszłości miasta i szkół zob. też C. Chowaniec: *Szkoły w twierdzy stanisławowskiej*. Stanisławów 1669-1773. Stanisławów 1929; J. Zieliński: *Kolegiata w Stanisławowie. Krótki zarys historyczny*. Stanisławów 1933.
- 4) *Księga Pamiątkowa*..., s. 29-101.
- 5) Ibidem, s. 103-120.
- 6) Ibidem, s. 21.
- 7) Ibidem, s. 23.
- 8) Budynek dawnego kolegium istnieje do dnia dzisiejszego. Władze ukraińskie pozwoliły umieścić na jego frontowej ścianie tablicę pamiątkową ku czci poety Franciszka Karpińskiego w 260. rocznicę jego urodzin.
- 9) Ibidem, s. 60.
- 10) E. Chwalewik: *Zbiory polskie. Archiwa, biblioteki, gabinety, galerie, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie* [...]. T. 2. Warszawa 1927, s. 206.
- 11) *Księga Pamiątkowa*..., s. 64.
- 12) Opiekunami Czytelnicy byli: polonista prof. Aleksander Jordan oraz historyk dr Józef Zieliński. Zob. *Księga Pamiątkowa*..., s. 65.
- 13) Ibidem, s. 65-66.
- 14) Zob. M. Pawłowiczowa: *Żołnierze Księstwa Warszawskiego w Stanisławowie i ich epigoni*. W: *Czasy Kościuszkowskie i Napoleona*. Jan Zbigniew Lubicz-Pacholński jako badacz epoki. Red. Z. Janeczek. Katowice 2001, s. 323-333.
- 15) Grobowiec Gosławskiego nie został zniszczony w czasie likwidacji przez władze radzieckie zabytkowego cmentarza stanisławowskiego z 1782 r. Por. L. Wierzejski: *Nie tylko Łyczaków*. W: Idem: *Stanisławów gród Rewery*. Wrocław 1993, s. 69.
- 16) *Księga Pamiątkowa*..., s. 97.
- 17) Spisy osobowe zob. w: *Księga Pamiątkowa*..., s. 104-120.
- 18) *Z dziejów gimnazjum. Przyczynki i wspomnienia*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 121-204.
- 19) Ibidem, s. 151-155.
- 20) Ibidem, s. 156-160.
- 21) Ibidem, s. 161-162.
- 22) Ibidem, s. 163-164.
- 23) Dr R. Schächterówna: *Teatr szkolny w latach 1745-52*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 126-130; Dr A. Czołowski: *Łosy archiwum kolegiata*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 123-125.
- 24) C. Chowaniec: *Do biografii „Poety serca”*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 131-132.
- 25) Ibidem, s. 137-138.
- 26) Ibidem, s. 139-150.
- 27) Ibidem, s. 192-194.
- 28) L. Jaxa Bykowski: *Dzieje jednej klasy 1892-99*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 165-191. Przedstawił on też losy uczniów: 9 kapłanów, 2 profesorów Uniwersytetu, 9 adwokatów, leka-



Pieczęć stanisławowskiego kolegium.
Rys. sepią E. Doubrawa.
Z prywatnych zbiorów
Marii Pawłowiczowej

- 29) Ibidem, s. 195-200.
- 30) T. Zagajewski: *Virtuti Militari*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 201-204.
- 31) Ibidem, s. 204.
- 32) Relacja mieści się na s. 205-222 *Księgi Pamiątkowej*...
- 33) Wśród nadawców byli między innymi: arcybiskup Teodorowicz i biskup Chomyszyn z Warszawy, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Politechnika i Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie oraz Ossolineum, Jezuici z Krakowa i Chyrowa.
- 34) Fragment odezwy przygotowanej przez Komitet organizacyjny. *Księga Pamiątkowa*..., s. 208.
- 35) Zob. I. Treichel: *Chowaniec Czesław Piotr*. W: *Słownik pracowników książki polskiej*. Red. I. Treichel. Warszawa 1872, s. 121-122; M. Budzichowska, J. Zieliński: *Chowaniec Stanisław*. *Chowaniec Tadeusz*. W: *Księga Pamiątkowa*..., s. 122.
- 36) Włodzimierz Trusz, dyrektor I Gimnazjum w latach 1925-1929, zmarł 6 czerwca 1931 r. Zob. J. Zieliński: *S.P. Włodzimierz Trusz. Dyrektor zakładu 1 IX 1925 r. – 31 VIII 1929 r.* (Wspomnienie pośmiertne). W: *Sprawozdanie Dyrekcji I. Państwowego Gimnazjum im. Mieczysława Romanowskiego w Stanisławowie* za rok szkolny 1930/1931. Stanisławów 1931, s. 11-13.

Jan Woźniak Awantura o Basię

Lata XX-lecia międzywojennego były dla wielu Polaków wówczas żyjących w II Rzeczypospolitej okresem budowania pomyślności kraju i rodziny. Jednymi z nich była rodzina Kopkowiczów w Zakopanem. Leon, inżynier architekt, jeden z „Orląt Lwowskich”, najpierw wspólnie z bratem Franciszkiem, a następnie samodzielnie prowadził firmę architektoniczno-budowlaną w Zakopanem. W roku 1938 Leon Kopkowicz ożenił się z Wandą Książek z Warszawy. Wkrótce urodziło się ich pierwsze dziecko – Danusia, która napelniła radością dom rodzinny 17 września 1938 roku.

Zaradność, wykształcenie, dobry i popłatny zawód Leona procentowały wysokim standardem życia rodziny już przed II wojną światową. Tymczasem nad Polską i światem gromadziły się ciężkie chmury. Zbliżała się wojna. Leon, porucznik rezerwy, otrzymał rozkaz mobilizacyjny do stawienia się w pułku stacjonującym wówczas w Cieszynie. Wandę z małą Danusią wysłał do swoich rodziców mieszkających w Niżniowie nad Dniestrem. W przewidywaniu wojny z Niemcami pobyt rodziny w dalekim Niżniowie wydawał się o wiele bezpieczniejszy niż w Zakopanem, tuż przy południowej granicy zagrożonej bezpośrednim atakiem od strony Czechosłowacji opanowanej przez hitlerowskie Niemcy.

Jak bardzo byli w błędzie uchodźcy polscy z września 1939 roku, zmierzający wytrwale na wschód. 17 września armia sowiecka przekroczyła naszą wschodnią granicę. Dokonał się IV rozbiór Polski. Już w październiku rozpoczęły się aresztowania, a w styczniu 1940 roku ruszyła pierwsza fala deportacji Polaków w głąb Rosji sowieckiej. Wanda Kopkowicz, żona polskiego oficera, wraz z małą Danusią były również zagrożone. Do domu Wojciecha Kopkowicza, teścia Wandy, przyszedł znajomy ksiądz greko-katolicki i przekazał informację o sporządzonej przez NKWD liście aresztowań, na której figuruje nazwisko jego synowej Wandy Kopkowicz. Należało uciekać i to jak najszybciej. Wan-

- 37) J. Zieliński: *Stanisławów 1941*. „Tygodnik Powszechny” 1961, nr 20; Idem: *Szkoła polska w Stanisławowie w czasie II wojny światowej*. „Przegląd Historyczno-Oświatowy” 1961, nr 3, s. 371-380; *Lista ofiar polskiego społeczeństwa Stanisławowa i okolic w latach 1939-1945*. Kraków 2000. Zob. też K. Lanczowska: *Wspomnienia wojenne 22 IX 1939 – 5 IV 1945*. Kraków 2002, s. 145-175.
- 38) *Księga Pamiątkowa*..., s. 218.
- 39) Cenzor – uczeń starszych klas, który mieszkając w Bursie opiekował się młodszymi uczniami podczas odrabiania lekcji – pomagał, odpytawał, w razie konieczności karał. Był też pośrednikiem między uczniem a gronem nauczycielskim, odpowiadał za postępy podopiecznego w nauce przed jego rodzicami. Zob. J. Kostecki: *Pamiętnik*. Rękopis w posiadaniu autorki.
- 40) *Księga Pamiątkowa*..., s. 115.
- 41) Zob. 1728-1928. *Sprawozdanie Dyrekcji I Gimnazjum Państwowego im. M. Romanowskiego w Stanisławowie za rok szkolny 1927/28*. Stanisławów 1928, s. 31. Kazimierz Kostecki wymieniony jest wśród uczniów klasy pierwszej. □

da postanowiła wracać do Zakopanego przez Przemyśl. Granica niemiecko-sowiecka była wówczas na Sanie. Dotarła dzięki znajomym do konspiracyjnego mieszkania we Lwowie, gdzie znajdował się punkt przerzutowy zbiegów przez „zieloną granicę”. Korzystający z usług przemytników uciekinierzy przekraczali San głównie nocą, wpław lub na łódkach. Wiązało się to z dużym niebezpieczeństwem, gdyż zauważeni byli ostrzeliwani lub obrzucani granatami przez żołnierzy sowieckich.

W taką drogę trudno było zabrać 1-roczną Danusię. Po naradzie rodzinnej zdecydowano pozostawić ją w Niżniowie pod opieką dziadków. Jednakże Danusi u dziadków również groziło niebezpieczeństwo. Obawiano się że NKWD odbierze ją opiekunom, aby zmusić w ten sposób matkę do dobrowolnego zgłoszenia się do władz. Dziadkowie ukryli zatem wnuczkę na pewien czas u ukraińskich sąsiadów, gdzie jak mniemali zapewne nie będzie poszukiwana. Należy dodać że Wojciech Kopkowicz był kierownikiem szkoły koszykarskiej, wyrabiał modne wówczas meble wiklinowe i był szanowanym obywatelem Niżniowa.

Wanda Kopkowicz pomimo czyhających niebezpieczeństw przekroczyła jednak granicę Generalnego Gubernatorstwa i dotarła do Zakopanego. Tam została pusty okradziony dom i wiadomość że mąż Leon znajduje się w Przeworsku koło Jarosławia.

Porucznik Leon Kopkowicz, po kampanii wrześniowej odbytej w szeregach Armii Kraków, trafił do niemieckiego obozu jenieckiego w Przeworsku, rozlokowanego na terenie zbombardowanej i spalonej wskutek nalotu lotniczego cukrowni. Zdaniem władz niemieckich zakład był do likwidacji, a ocalałe maszyny do wywiezienia. Nie chcieli się z tym zgodzić przedwojenni pracownicy cukrowni, widząc w likwidacji zakładu utratę swoich miejsc pracy. Opracowany został szybki plan odbudowy, do którego realizacji przekonany został niemiecki zarządca cukrowni, Ukraińiec Aleksander Skrypczenko. Dla celów odbudowy cukrowni uzyskano zwolnienie z niewoli części jenców wojennych i zatrudnienie ich na terenie odbudowywanego się zakładu. Kierownikiem działu budowlanego został inż. Leon Kopkowicz, który zresztą sam się

zgłosił do tej pracy, widząc w tym szansę opuszczenia obozu jenieckiego. Tak rozpoczęła się jego praca w cukrowni w Przeworsku. Otrzymał wiadomość że żona wróciła do Zakopanego, uciekł z Przeworska do domu. Po drodze minął się z Wandą, która z kolei przyjechała do Przeworska i wpadła prosto w łapy i pod lufę pistoletu Skrypczenki. Powrót Leona Kopkowicza był zatem tylko kwestią czasu. Sprawę ucieczki udało się zatuszować zapewne z uwagi na kwalifikacje inż. Kopkowicza i potrzeby Skrypczenki, związane z odbudową cukrowni i wykonywaniem planów produkcyjnych z których był rozliczany przez Niemców.

Leon i Wanda zamieszkali w pokoiku przy cukrowni. W tym czasie Danusia przebywała nadal w Niżniowie i nic nie zapowiadało zmiany sytuacji. Naturalną zatem była chęć jak najszybszego sprowadzenia dziecka pod opiekę rodziców, co nie było łatwym zadaniem. Jedną z niewielu możliwości było skorzystanie z pomocy niemieckiego czerwonego krzyża, działającego na terenie Małopolski Wschodniej okupowanej przez Sowietów. Kopkowicz dostał od Skrypczenki worek cukru na cele sprowadzenia córki do Przeworska. Należy dodać że cukier był w roku 1940 towarem cennym, bo trudno osiągalnym. Wanda Kopkowicz zaopatrzona w worek cukru udała się ze swoją sprawą do placówki niemieckiego czerwonego krzyża w Przemyślu. Tutaj spotkała się jednak ze stanowiskiem, że ponieważ Danusia nie jest Niemką sprawa nie może być załatwiona. Dopiero przekazany worek cukru i obietnica drugiego po sprowadzeniu dziecka zza granicy, pozwoliły przekonać urzędnika niemieckiego czerwonego krzyża do zmiany stanowiska.

Sprawa omówiona została listownie z dziadkami w Niżniowie. Małą Danusię, wówczas już 2-letnią zaopatrzoną w tabliczkę ze sklejki z wypisanymi danymi osobowymi. Małej dziewczynce zawieszono ją na sznurku na szyi i wyeksponowano do Przemyśla na punkt graniczny, pod opiekę niemieckiego czerwonego krzyża. Odwiozła ją tam ciocia Helena Turczyńska, siostra Leona Kopkowicza.

Zachowało się zdjęcie z tej eskapady, jak też oryginalna tabliczka zdjęta z szyi Danusi i przechowywana w rodzinie przez 66 lat.



Danusia Kopkowicz z cicią Heleną Turczyńską w 1940 r.



Dziecko zostało przekazane i odprowadzone przez żołnierza sowieckiego na środek mostu drogowego w Przemyślu. Tutaj odebrał ją żołnierz niemiecki i przeprowadził do placówki niemieckiego czerwonego krzyża na Zasaniu w Przemyślu. Pierwsze spotkanie Wandy z córką Danusią po rocznej przerwie było dość osobliwe. Mała siedziała na kolanach niemieckiego żołnierza, trzymała go za szyję i nie chciała się nawet przywitać z mamą. Została dopiero przekupiona lalką i nowymi bucikami.

Wanda z Danusią przyjechały do Przeworska, a drugi worek cukru trafił do Przemyśla. Po pewnym czasie wyjechały do domu rodzinnego do Zakopanego. Leon nadal pracował w Przeworsku, a następnie innych miejscowościach Małopolski i konspirował przeciwko Niemcom, będąc członkiem Polskiej Armii Ludowej (nie mylić z AL).

Po zakończeniu II wojny światowej cała rodzina ponownie znalazła się w Zakopanem, gdzie Kopkowicze byli znani i posiadali szerokie kontakty towarzyskie. Jednym z ich znajomych był znany pisarz Kornel Makuszyński, związany blisko z Zakopanem i mieszkający tam na stałe od 1944 roku. Powszechnie znane są jego

Drożej Danusi
wspaniałej narciarce daję tę
książkę i wszystkie diamenty
ze śniegu na pamiątkę zasłużonych
narciarskich i proszę za to o dwa uśmiechy:
jeden dla książki,
a drugi dla tego pana, co tę
książkę napisał, a nazywa się
Kornel Makuszyński
Wielkanoc
1948

utwory dla dzieci i młodzieży jak „Szatan z siódmej klasy”, „Awantura o Basie” czy też „Przygody Koziołka Matołka”. Kornel Makuszyński był też entuzjastą i propagatorem narciarstwa wśród młodzieży. Choć zmarł w 1953 roku, w Zakopanem do dziś organizowane są zawody narciarskie o Memoriał Kornela Makuszyńskiego, zwane też zawodami Koziołka Matołka.

Przyjacielem Kornela Makuszyńskiego był między innymi inż. architekt Franciszek Kopkowicz, stryj Danusi. Spotykali się w gronie znajomych w kawiarni „Szarotka” na Krupówkach. Gdy usłyszał o wojennej historii 2-letniej Danusi, analogia z wcześniejszą, literacką fabułą przygód Basi Bzowskiej nasuwała się sama. W 1948 roku dziesięcioletnia już Danusia wzięła udział w pierwszych po wojnie zawodach Koziołka Matołka.

Wincenty Zdzitowiecki Powidoki (I)

Oczy moje nakryłem zmurszałymi powiekami i przycisnąłem dłońmi ciężkich lat. Chcę sobie lepiej uzmysłowić początki świadomości, magmę młodzińczego wzrastania ku rozjaśnianiu tego co wokół. Dorosłego wpasowywania się w koleiny rzeczywistości i prób łączenia ich z dążeniami w spełnianiu osobistych i rodzinnych celów.

Powidoki są rozległe, wiekowe, rozedrgane światłem i słowami bijącymi ze sfer okółstuncznego oblicza matki. Z jej oczu i ust. Sięgają ojcowskiego dorzecza Odry i Warty. Rozlewisk Kostrzyna. Polskiej Bogudzieńki – Listopadówki na Ukrainie. Gorzowskiej Kłodawki, falującej ku wciąż dojrzewającemu polderowi mojego wnętrza. Ku morzu Europy, oceanowi Kosmosu. Ku kropce, jaką we Wszechświecie jest nasza Ziemia.

*Planeto, ziemio moja, biały świecie,
gwiazdo płynąca przez czasu głębinę,
mocno nas usidlają twoje sieci,
padole łez – w nich żyję, cierpię, ginę!*

*Żyję i cierpię w siódlach twoich sieci,
i błogosławie to, co wycierpiane:
tę ciepłą garść – Człowieka we Wszechświecie,
i cały Wszechświat ten – akwariów planet.*

Bogudzieńka

Ta mała wioska, gdzieś koło Berdyczowa, Żytomierza czy Winnicy (ojciec mówił o powiecie Komsomolsk, lecz matka zaprzeczała) na Ukrainie, była dla mnie kolebką życia. Tu w drewniano-gliniano-słomianej chatce, zasypanej śniegiem po strzechę, urodziłem się w noc sylwestrową przed północą, na przełomie lat 1940-41.

Kiedy w śniegu wydrążono tunele, moi rodzice – Rafał i Ewelina – zanieśli przewodniczącemu kolchozu bankę samogonu, aby ten wpisał mi datę urodzenia – 1 stycznia 1941, a nie – jak było w rzeczywistości – 31 grudnia 1940 roku. Inaczej o rok wcześniej musiał-

Wzruszony jej historią Kornel Makuszyński podarował Danusi swoją książkę „Awantura o Basie” z odręcznie wpisaną dedykacją:

„Drożej Danusi wspaniałej narciarce daję tę książkę i wszystkie diamenty ze śniegu na pamiątkę zasłużonych narciarskich i proszę za to o dwa uśmiechy: jeden dla książki a drugi dla tego pana, co tę książkę napisał, a nazywa się Kornel Makuszyński. Wielkanoc 1948”.

Książka ta, z przemiłą dedykacją autora, stanowi do dziś wspaniałą pamiątkę przechowywaną z pietyzmem w rodzinie.

Mgr inż. architekt Danuta Kopkowicz zmarła 25 lutego 2006 roku w Limanowej i spoczywa na cmentarzu w Zakopanem, przy rodzicach. □

bym iść do szkoły i do wojska. Tak rozumowali moi rodzice. I słusznie, choć mieli tylko – matka, pół pierwszej klasy polskiej szkółki parafialnej, ojciec – pięć klas rosyjskiej szkoły powszechnej.

Człowiecze Narodzenie

*ponoć wiele z tym było zamieszania w przyrodzie
gdy człowiek się rodził ze mnie w Bogudzieńce*

*chałupka strzechą przywarła do śniegu
by nie ulecieć z tabunami wicherów
tańczących z mrozem w stepie
Wołyńskiego Polesia*

*znamienna to noc sylwestrowa
przy kopającej lampie
kończącego się
1940 roku*

*rankiem patrząc w zatłakane bielmem okienko świata
– nadsluchując kwilenia nadchodzących ze mną zdarzeń
matka przy ognisku ze słomy
uwarzyła w garnku nadziei
tyle co dymu z komina*

*ojciec odkopując w zaspach drogę ku nastroszonej
wojnę przyszłości
w kolchozu progach bimbrem opieczętował świadectwo
narodzin syna
i nową nazwą – Listopadówka – tej polskiej na wskroś
wsi*

*Rafał i Ewelina
wadzili się o te nazwy
podawane w urzędach
przez całe życie*

*stanęło na tym
iż mojego gniazda rodzinnego
na współczesnej mapie Ukrainy
trzeba się domyślać*

*choćby wierszem
jak trafić mi coraz cichszemu
do tamtego człowieczego
kwilenia*

Po latach mama wspominała, że Bogudzieńka, kiedy władzę objęli bolszewicy, została przemianowana na Listopadówkę (prawdopodobnie dla uczczenia „aktiabskiej” rewolucji, która według kalendarza polskiego była w listopadzie). Listopadówkę tę znalazłem dopiero niedawno (choć nie jestem pewien, czy akurat ta przedtem nazywała się Bogudzieńka) na mapce Wołynia – w powiecie Horochów. Mapka – jedna z wielu – przedstawia miejsca zbrodni ludobójstwa ukraińskiego na Polakach i została zamieszczona w książce „Wołyń naszych przodków – śladami życia, czas zagłady”, wydanej w 2003 roku przez Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia.

Mama, która jako dziewczynka oglądała przemarsz Legionów Polskich marszałka Józefa Piłsudskiego, będąc już w Polsce po drugiej wojnie światowej, kiedy ją pytałem – opowiadała: – Bogudzieńka była całkowicie wioską polską – z własnym, polskim księdzem i kościołem. Dawno temu – bajala – tereny te od cara wykupili Polacy i zamienili step w urodzajną, pszenno-buraczaną ziemię. Twój dziadek Antoni Kwiatkowski (babcia Antonina pochodziła z Kamińskich, słynnych we wsi muzykantów) był zarządcą majątku jakiegoś wielkiego pana polskiego i sam posiadał duże gospodarstwo.

Oj, bogato żyliśmy – wspominała Ewelina. Przed Świętami Bożego Narodzenia wszystkiego u nas było w bród. Nawet amurów wielkich jak nieci nie brakowało i kawioru z nich. Saniami ozdobnymi, zaprzężonymi w dwa konie z dzwoneczkami przy uprząży śmigaliśmy do kościoła na Pasterkę – w kożuchy opatuleni, bo zimno tam były srogi.

Przedtem Wigilia z dwunastoma potrawami na samodzielnym haftowanym obrusie wystawionymi. Pod nim siano pachniało i chrzęściło, jak wykrochmalone. Oplątek, a po kątach przestrzennej izby snopki postawione z kłosami pełnymi ziarna, żeby i przyszły rok był obfity w plony. Snopki te stały do Nowego Roku i Trzech Króli, kiedy to Polacy wzajemnie odwiedzając się, sypali na siebie zbożem i mówili: – Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok! I dodawali całą ciepłą tchnącą litanie rymowanych życzeń. Także po ukraińsku: – Dobry wieczór, szczerym ludziom – śpiewały dzieci pod oknami gospodarzy, by otrzymać słodkiego „gościńca”.

Do szkółki parafialnej chodziłam krótko, bo musiałam pracować w gospodarstwie. Twoja babcia Antonina była zdania, że dziewczynie wystarczy nauczyć się przy matce dobrego gotowania, pracy w polu i obejściu. Co innego chłopak, on powinien przynajmniej umieć trochę czytać i napisać z wojska list, bo długa u cara była służba wojskowa. Kiedyś jeden chłopak powołany do carskiej armii, żegnając się ze wszystkimi, do córki sąsiadów leżącej w kołysce odezwał się w te słowa: – Rośnij na dużą i piękną dziewczynę, jak wrócę to się z tobą ożenię. I tak się stało, kiedy po dwudziestu latach wojaczki wrócił ze służby.

Moja matka Antonina wysłała mnie – młodą panienkę – do pracy na plebanii, bo gospodyni księdza zachorowała. Byłam tam tylko dzień i więcej nie poszłam, mimo zachęty mamy. Zgłosiła się koleżanka – moja rówieśnica, która po kilku miesiącach, z brzuchem, w niesławie musiała opuścić wieś.

Nastali kołchozy i rozkułaczyli nas, zabierając ziemię i cały dobytek, pozostawiając tylko pół chałupy,



Fot. archiwum domowe

Moja babka Antonina Kwiatkowska (z domu Kamińska) w otoczeniu wnuków. Babka miała ponad sto lat kiedy wsiadła do autobusu miejskiego w Bojarce koło Kijowa i ślad po niej zaginął – tak wynika z opowieści wujka Józka, u którego mieszkała. Pewnie nic już nie pamiętała i nie miała dokumentów...

działkę przydomową i krowinę, utrzymującą nas przy życiu. Moją starszą siostrę Adelę, ponieważ nie chciała pracować w kołchozie, wywieziono na Sybir do zagospodarowywania tak zwanych celinnych ziem. Rodziców nie wywieziono, bo byli już zbyt starzy i schorowani. Natomiast brat Józio, aby uniknąć Sybiru, jako niepełnoletni zgłosił się do szkoły kadetów i w czasie drugiej wojny światowej – już jako kontradmirał – dowodził flotą radziecką na Morzu Japońskim.

Nie było wyjścia: piętnastoletnia dziewczyna wraz z o rok młodszym bratem – Dionizym, zgłosiliśmy się do pracy w kołchozie. Przymieraliśmy głodem – trzeba więc było pomóc rodzicom i sobie. Nie chcieli nas przyjąć, ale kiedy powiedziałem, że potrafimy na roli i w zagrodzie zrobić już wszystko i że to udowodnimy, przyjęto nas. Pracowaliśmy na równi z dorosłymi: pierwsi byliśmy, nieraz już od czwartej rano, w polu i ostatni, o zmierzchu, z niego schodziliśmy. Zostaliśmy nawet przodownikami pracy – na pierwszą miesięczną wypłatę dostaliśmy wiadro śledzi i wiadro miodu oraz pół worka zboża do zmielenia na żarnach. Jakże ucieszyło to naszych rodziców, że mają z nas pociechę, a w nas oparcie na starość...

Byłam małą, przysadzistą, ale silną dziewczyną – worki ze zbożem wносиłam po drabinie na strych na równi z mężczyznami. Nigdy w młodości nie chorowałam.

Gospodarując już w Polsce, na „swojej” znów ziemi – w Drzewicach, która to wieś od dawna jest dzielnicą

Kostrzyna nad Odrą, siedząc wszyscy – my trzej bracia i rodzice – przy stole wigilijnym, słuchaliśmy z nabożeństwem „wypominek” naszej matki – Eweliny. W podobnej do tamtej dekoracji wiejskiej izby, gdzie po kątach stały snopki żyta, pachniało jabłkami, wypieczonymi ciastkami i świeczkową parafiną z choinki przyniesionej z pobliskiego lasu, sianem spod śnieżnobiałego obrusu – rozgrywał się w naszej wyobraźni, za sprawą jej słów, dramat Człowieka na Ukrainie i dramat Polaków.

– Ciężko było żyć i strasznie w naszym młodym wtedy świecie. Pobraliśmy się z Rafałem i zamieszkaliśmy w jednoizbowej chałupce po stryju. Wieczorem, przed nocą poślubną długo rozsnurowywałam i zasnurowywałam na powrót swoje wysokie trzewiki. Bałam się tej nocy, bo to był mój pierwszy mężczyzna w życiu. Byłam zdrowa i silna, więc rodziłam co roku. Kiedyś stałam na stole i malowałam sufit. Kiedy krzyknęłam z bólu i chwyciłam się za brzuch – mama mówi: – Zejdź Ewelino, kładź się do łóżka, będziesz rodzić. Po urodzeniu pierwszego zaraz wstałam i dokończyłam bieleńcia chałupy. Dzieckiem zajęła się mama.

Urodziłam czterech synów – świeć Panie nad ich niewinnymi duszyczkami. Do pracy na polach wychodziłam wcześniej, jeszcze po ciemku. Tam, na Ukrainie z braku drewna w piecach paliło się słomą. Były to piece zbudowane jak do pieczenia chleba – na zapiecku u góry suszyło się zboże, leżały kożuchy i spali dorośli. Dzieci spały na łóżku, a najmłodszy w kołysce.

Kiedy kołchoźnicy spostrzegli dym i dobiegli z pół do palącej się drewniano-słomiano-glinianej chałupki, dzieci już zdążyły zacząć się na śmierć. Jasio, Stasio, Michasio i Tosio. Ciebie Witku nosiłam już w brzuchu. Te cztery puste krzesła przy stole wigilijnym są dla nich... Ludzie przypuszczali, że najstarszy, pięcioletni Jasio zbudził się i chcąc oświetlić izbę naftową lampą, podpalił stertę słomy leżącą przy piecu. Od tego zajęła się cała chałupa. Wariowałam z rozpaczą, wariowałam wtedy strasznie. Jednak żyć trzeba było dalej... i rodzić. Urodziłam jeszcze was trzech: ciebie Witku, Alojzego, po naszymu – Łodzika i ciebie Bronku. Patrząc na te puste krzesła pamiętajcie o swoich starszych, jednak wciąż będących w niemowlęctwie braciach. Pozostali tam na Ukrainie, w Bogudzieńce...

Blask i szadz: Krzyk wzniecony przez pożar. Jeszcze dziś słyszę go we wnętrzu matki. Biegając w kierunku dymu podtrzymywała rękoma spory już brzuch, czyli mnie. Wołała do kołchoźników: – Ludzie, dokąd tak przecie?! – Co się stało?! – Kto się pali, ja?

Tupot nóg po czarnoziemi. Sapanie wyścigu. – Sąsiadko, toż to wasza chałupa! Strzechę przebija ślup dymu! Kilka smug i smużek z boków! Trzask palących się belek i śwąd prażonej gliny przemieszanej ze słomą. Popękane szyby w okienkach przestrzeni. Wewnątrz – cug i przeciąg.

Ewelina dobiega kresu. Szukając oparcia nieistniejącego od dawna płotu, pada na gościnne, otwarte na przestrzał plecy podwórka i dobywa z siebie krzyki następne: – Ludzie! – Pomóżcie! – Ratujcie dzieci! Zbiegły się baby porzuciwszy chłopom wiadra. Te mogły służyć raczej do gaszenia pragnień niż ognia, bo studnia daleko, woda w niej głęboko... Pragnienia jak żar, wybuchające skrycie – nie do ugaszenia.

Mężczyźni wynieśli z pożaru chłopców i bezskutecznie próbowali ich docucić. Z chlewika będącego przedłużeniem sieni wyprowadzono krowkę. Tak spełnił się jeden z epizodów naszego losu: Ewelina rozpaczając, być może nadmiernie uwrażliwiona, będącego w jej brzuchu, na przyszłe wydarzenia i szloch, pożar oddał swojemu protagoniście – ziemi, zejściowe czworaczki moich starszych, będących w różnym wieku braci.

Wami już opiekowaliśmy się inaczej – wspominała Ewelina. Nadal musiałam pracować przez całe dni, ale wówczas był z wami Rafał – wasz ojciec, który zajmował się nocnym wypasaniem kołchozowych koni na księżycowych łąkach, a także tkął na domowych krosnach makatki i narzuty na łóżka.

Tak było – potwierdzał opowieść Eweliny jej mąż, Rafał. I zarządzał śpiewanie kolęd. Rafał – z biedniaków rolnych, długo musiał się starać o rękę pochodzącej z bogatej rodziny, przyszłej swojej żony, a naszej matki. Ale dzięki Rafałowi, jako późniejszemu żołnierzowi II Armii Wojska Polskiego – już osadnicy wojskowi – mogliśmy otrzymać poniemieckie gospodarstwo na Ziemiach Zachodnich w Polsce.

Wojnę pamiętam tak, jak może pamiętać kilkuletni chłopak; wszyscy w domu leżeli pokotem na glinianej podłodze, tylko ja stałam trzymając się ławy. Chałupka aż trzęsła się od przelatujących nad nią z hałasem pocisków artyleryjskich. Kiedy rano wyrzaliśmy na zaśnieżone podwórko, obok domu stał samochód ciężarowy, a siedzący na skrzyni żołnierz niemiecki kiwnął ręką żebym przyszedł i wręczył mi paczkę sucharów, którą oddałem matce.

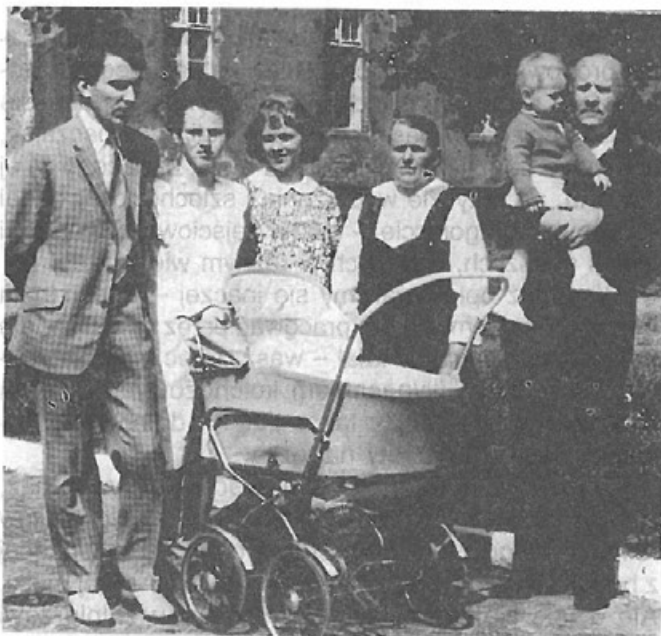
Ewelina: – Przez wioskę przewalały się wojska: raz ruskie, raz niemieckie. Waszego ojca zabrali ze sobą na wojnę wycofujące się oddziały radzieckie. W Bogudzieńce zaroilo się od Niemców. Jakiś rudy oficer niemiecki wszedł do naszej chałupy i rzuciwszy na środek izby kilka zrabowanych kur nakazał abym przygotowała z nich kolację, bo będzie u nas nocował. Na stole postawił butelkę bimbru... Próbowałam tłumaczyć, że nie ma miejsca, troje dzieci, jestem mężatką. Nic z tego, pogroził pistoletem i zapowiedział, że niedługo wróci.

Cała w strachu, drżąc i szczękając zębami jak w febrze, zagotowałam wodę, sparzyłam nią kury i skubiąc pióra szykując się do gotowania kolacji. Widząc bimber wyobrażam sobie najgorsze... Wtem we wsi harmider, warkot motorów; wyglądam i widzę Niemców pracujących na Wschód, za ruskimi. To mnie uratowało, bo ów groźny rudzielec już się więcej nie pokazał.

– No, matka, dajże nam pokolędować. Ojciec lubił, po wyczerpaniu zasobów popularnych polskich kolęd, ni stąd, ni z owąd – za co zawsze otrzymywał burę od matki – zaśpiewać taką oto, zatracającą językiem ukraińskim ludową pastorałkę:

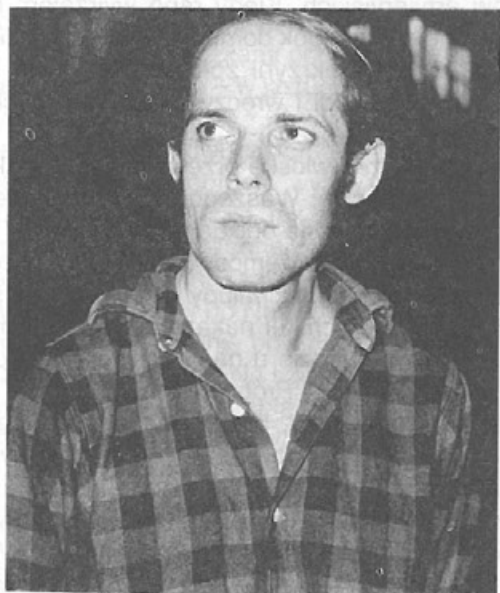
*Co wy za ludzie, co wy robicie?
Chleb mi wyjedli, mnie wypychacie.
Popid szopom, figum – migum.
W jednym bucie i trzewiku, hej! – zagrajcie.*

Na stole wigilijnym jak zawsze stało dwanaście potraw, a najbardziej lubianą przeze mnie była kutia: gotowana pszenica z miodem, utartym makiem i bakaliami. Niesłychanie słodka potrawa ze Wschodu. Lubilem też kluskę z makiem, pierogi z kapustą, rybę smażoną,



Fot. archiwum domowe

Rodzina Zdzitowieckich. Od lewej: mój średni brat Alojzy z żoną Heleną, bratowa Barbara, matka Ewelina i ojciec Rafał trzymający wnuka Darka. Alojzy był m.in. kierownikiem wydziału przetwórstwa papierniczego w Kostrzyńskich Zakładach Papierniczych.



Fot. archiwum domowe

Mój najmłodszy brat Bronisław Zdzitowiecki. Pracował jako maszynista maszyn papierniczych w Kostrzyńskich Zakładach Papierniczych.

Zbigniew Grata

Czternasty zjazd brodzian

Dawnych mieszkańców Brodów Wisła w tym roku powitała po raz czternasty. Szeroko otwarte podwoje hotelu „Start” już w sobotę 3 czerwca przywitały pierwszych tegorocznych uczestników Zjazdu. W następnym dniu, a była to niedziela, od samego rana dojeżdżali następni.

zupę grzybową i barszcz z uszkami oraz kompot z suszonych śliwek.

— Jak to dobrze, że przyjechaliśmy do Polski — stwierdziła, szukając w naszych oczach potwierdzenia — mama. Macie przynajmniej co jeść, kawałek chleba do ust włożyć. Na Ukrainie przeżyliśmy straszny głód, bo Stalin, chcąc zmusić chłopów do wstępowania do kolchozów, zarządził okropnie wielkie kontyngenty żywności na rzecz Moskwy. Pół pilnowali czerwonoarmiści, a my podkradając się w nocy próbowaliśmy trochę tych kartofli, czy buraków ukraść. „Pule” tylko nad głowami świstali... Ludzie puchli z głodu, szczególnie w miastach. Dochodziło do kanibalizmu. Gdyby nie ta krówka, co mleko wam dawała... — oczy mamie zachodziły łzami.

A przedtem UPA (Ukraińska Powstańcza Armia — przyp. mój), Petlurowcy i Banderowcy. Napadali na polskie wsie i mordowali Polaków. Moja koleżanka — Ukrainka z sąsiedniej wsi — powiedziała mi kiedyś w zaufaniu: „Welciu, ty się nic nie bój. My dobrze kosy naostrzyli. Ciach... i po wszystkim. Nawet nie poczujesz. Przyjdziemy w najbliższą niedzielę”. Dzięki Bogu, że mi to powiedziała. Uciekliśmy całą wsią za horyzont, do jaru. Ocaliliśmy swoje dusze, wieś ocalała i kościół, choć był już tylko magazynem zbożowym...

Coś mi się ta opowieść mamy nie zgadza z mapką miejsc mordów nacjonalistów ukraińskich na Polakach, na której uwidoczniono i Listopadówkę. Chyba, że to nie o tę Listopadówkę chodzi? W ogóle, tylko raz matka o tym ludobójstwie wspomniała, a kiedy pytałem ją o to niedługo przed śmiercią, zbywała mnie: — Nie wspominać, nie chcę o tym mówić. Tak zresztą jak i o okolicznościach śmierci moich starszych braci: — Nie przypominaj, to boli...

Z wyjazdem do Polski też nie było łatwo... Rafał wróciwszy z wojny miał „rozpiškę”, że możemy wyjechać na Ziemię Zachodnią, gdzie otrzymamy poniemieckie gospodarstwo, ale trzeba było mieć jakieś jeszcze inne dokumenty... Ile ja się najeździłam z waszą ciotką Karoliną, żoną wujka Dionizego do ambasady polskiej w Kijowie. Nadźwigałam buteleki samogonu dla urzędników... Ledwo zdążyliśmy na ostatni transport kolejowy, odjeżdżający z takimi jak my do kraju w 1946 roku.

Pamiętam jak ładowaliśmy się w dwie rodziny na samochód ciężarowy. Babka Antonina płakała i nie można było oderwać ją od płotu, którego się uczepiła. Wujek Dionizy nakrzyczał na nią: — Nie chcecie jechać, to zostańcie! Moja matka nie mogła mu tego przebaczyć do końca życia... Pojechaliśmy na jakąś stację, gdzie już wcześniej, w osobnym wagonie ulokowano nasze krówki (po jednej na rodzinę). (c.d.n.)

Wiele serdecznych powitań i uścisków, a nawet łzy. Były to jednak łzy radości, że znowu się spotkaliśmy. Tego dnia do wieczora „doszłusowali” niemal wszyscy stali uczestnicy Zjazdów, ale i byli tacy, którzy pojawili się po raz pierwszy. Tych „pierwszaków” można było poznać, bo czuli się spięci i nieśmiali, ale niewiele czasu upłynęło, gdy byli już całkiem rozluźnieni, zaadaptowani i rozdyktowani.

O godzinie 20.00, podczas wspólnej już kolacji, nastąpiło oficjalne powitanie wszystkich przez sekretarza



Koła Zygmunta Huzarskiego, z równoczesnym podaniem do wiadomości programu Zjazdu, a potem to nigdy niekończące się „wieczne nocne rodaków rozmowy”. Dominowały w nich „wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia...”

Najczęściej powtarzane wieczne pytania: pamiętacie?...

Poniedziałek godzina 8 rano, wszyscy uczestnicy spotkali się na sali obrad. Czas oficjalnego rozpoczęcia Zjazdu. Mnie przypadł niewątpliwie zaszczyt rozpoczęcia zainicjowaniem „Kiedy ranne wstają zorze”, a oficjalnego otwarcia Zjazdu dokonała przewodnicząca Koła Brodzian Joasia Karpacka-Nasiek.

W serdecznych i ciepłych słowach powitała zebranych życząc miłego spędzenia czasu, wymiany wielu wspomnień i, choć pogoda niezbyt dopisywała, bo od rana padał deszcz i było zimno, pogodnych i radosnych chwil spędzonych w gronie krajan jak w rodzinnym gronie.

Wśród obecnych byli nastarsi stażem — Danusia Sirko-Bazielich oraz Wacek Fastnach — oboje byli na wszystkich trzynastu Zjazdach. Wspominano ze smutkiem tych, którzy w bieżącym roku zjazdowym pożegnali nas na zawsze. Byli to: Kryśka Czerny-Babiarz z Wrocławia i Włodzimierz Wawrzekiewicz z Warszawy. Minutą ciszy i słowami modlitwy „Wieczne odpoczywanie” uczciliśmy ich pamięć.

Chwilę zadumy przerwała Joasia Nasiek. Powitała nowych członków Zjazdu, którzy przybyli po raz pierwszy: Kryśka Olczyk z Opola, Jan i Mieczysław Traczyńscy ze Świdnicy, Alfred Wiśniowski z Warszawy i Daniel Zacharski ze Świdnicy.

Oprócz nich zgłosili swój udział do Koła Brodzian: Kryśka Huzarska z Wołowa, Józef Huzarski z Gdańska, Jadwiga Kot ze Słupska, Anna Mrozowska ze Słupska, Danusia i Janusz Poznańscy z Opola i Wiesław Zacharski ze Świdnicy.

Nowych członków poproszono, by w czasie popołudniowych obrad przedstawili się reszcie uczestników Zjazdu.

Po śniadaniu nastąpił wyjazd autokarem do kościoła na mszę św. w intencji żyjących i zmarłych Brodzian.

I znowu w kościele jak zawsze, od czternastu już lat, rozbrzmiewały słowa pieśni „Błękitne rozwińmy sztandary”, „Matko najświętsza kościoła brodzkiego” i „O wszechpotężna Pani świata”.

Po mszy św., kiedy wszyscy przechodziliśmy na przykościelny cmentarz, deszcz przestał padać i przez chmury przedarły się promienie słońca, padły na grób Stasi i oświetliły tych, którzy go otaczali. Zygmunt Huzarski złożył piękny, wykonany przez siebie bukiet na grobie. Joasia Nasiek zapaliła zniczkę i w zadumie staliśmy nad grobem, myślami wracając do tych dni, gdy Stasia była z nami.

Po powrocie czekał na nas w hotelu fotograf, zaczęło się więc przygotowanie do wspólnej fotografii, a następnie do obiadu zbieranie podpisów na kartkach dla tych, którzy przysłali życzenia lub dzwonili, zapewniając że są myślami razem z nami.

Po obiedzie kontynuacja oficjalnej części Zjazdu. Zygmunt Huzarski złożył życzenia najstarszej uczestniczce Zjazdu, liczącej 90 lat Janinie Józków-Czasławskiej z Katowic, wręczając jej prześliczny bukiet czerwonych róż.

Przewodnicząca Koła, Joasia Karpacka-Nasiek, wznowiła obrady udzielając głosu Danusi Sirko-Bazielich, która przekazała zebrany pozdrowienia i życzenia od tych, którzy nie mogli być osobiście, a było ich wiele.

W trakcie jej wystąpienia zadzwonił z Bydgoszczy Piotr Sirko pozdrawiając wszystkich i życząc owocnych obrad.

Moja własna refleksja: To właśnie On, na Zjeździe delegatów TMLIKPW w Bydgoszczy w 1996 r. odnalazł mnie, odnowiliśmy kontakt, a skutek: jeszcze w tym

samym roku otrzymałem pierwsze zaproszenie na Zjazd Brodzian do Wisły, a był to już trzeci Zjazd.

Tak właśnie rozpoczął się mój kontakt z brodzianami, ale na ten temat muszę opowiedzieć osobno.

Danusia mówiła o kontaktach z ramienia Koła z siostrami Sercankami pracującymi w Brodach, o pomocy dla polskich dzieci z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, o dofinansowaniu przyjazdu dzieci brodzkich na kolonie zorganizowane przez Caritas, jak i dofinansowanie przyjazdu 50 osób na spotkanie z papieżem.

W sumie wydano na ten cel 3737 zł.

Sprawozdanie z pracy Koła złożył sekretarz – Zygmunt Huzarski.

W okresie międzyzjazdowym prowadzona była obszerne korespondencja dotycząca dalszej działalności Koła:

- wydania zbiorczego Zeszytów Brodzkich, poszerzonych o nowe, obszerniejsze teksty i pamiątkowe fotografie,

- przygotowanie materiałów na wystawę o Brodach – mieście, jego zabytkach, ludziach i historii. Do wszystkich Brodzian został wysłany apel o zebranie i przekazanie (względnie wypożyczenie) materiałów na tę wystawę. Zygmunt podziękował Piotrowi Sirce za już przesłane bardzo ciekawe materiały.

W tym samym okresie odbyło się szereg spotkań jak:

- dwukrotne spotkanie w Gliwicach u przewodniczącej Koła, Joasi Karpackiej-Nasiek,

- spotkanie w Katowicach u Krystyny Popiel-Milerskiej i Danuty Sirko-Bazielich celem przekazania dokumentacji, jak i omówienia w zarysach programu XIV Zjazdu,

- odwiedzin w Świdnicy u braci Traczyńskich, którym przedstawiono działalność Koła,

- odwiedzin u Zbigniewa Kościowa – o poszerzeniu wydania zbiorczego Zeszytów Brodzkich i organizacji wystawy.

Zygmunt również omówił przygotowania do wycieczki do Brodów, która ma się odbyć we wrześniu.

Zaproponował również organizowanie jednodniowych Zjazdów okręgowych, co umożliwiłoby spotkanie się z osobami, które czy to z przyczyn zdrowotnych, czy finansowych nie mogą brać udziału w Zjazdach krajowych.

Jako następny zabrakł głos Wacek Fastnach, który złożył informację ze zbiórki na budowę kościoła w Brodach. Od początku zbiórki, tj. od 8,5 lat zebrano 92,8 tys. zł, na zakup dolarów wydano 88,5 tys. zł, na stanie pozostało 4,3 tys. zł.

Na koniec zaproponował, by wykorzystać pieniądze na zakup dla kościoła naczyń liturgicznych.

W tym samym dniu, jak przez trzynaście ubiegłych lat, wieczorem odbyła się uroczysta kolacja.

Pięknie zastawiony stół, blask płonących świec, odświętne stroje uczestników – wszystko to stwarzało wyjątkowy, uroczysty nastrój.

A na stole kolejno zjawiały się: krem pieczarkowy, kotlet z indyka, ziemniaki, kilka rodzajów sałatek, zimne płyty, barszcz z pasztecikami, białe wino i wreszcie na koniec kawa, herbata i tort.

Nadeszła pora na toasty: za obecnych, jak i za tych, którzy rozrzućeni po całej Polsce i nie tylko – myślą teraz o nas, przeżywają razem z nami ten wspaniały wieczór.

Próbowano też śpiewania, ale chyba z powodu zbyt przepełnionych żołądków jakoś śpiewanie nie wychodziło.

Wtorek 6 czerwca, dalsze sprawozdania. Jolanta

Grata Wróblewska przedstawiła sprawozdanie finansowe za ostatni rok.

Przekazała do wglądu listę darczyńców prosząc o uzupełnienie pozycji dokonanych wpłat anonimowo. Elżbieta Grata-Muszyńska poinformowała, że kwota 930 zł figurująca na liście przy jej nazwisku to wpłata uczestników rodzinnego Zjazdu klanu Gratów, który odbył się w Wiśle, również w hotelu „Start”.

Roczne sprawozdanie finansowe zamknęło się saldem na dzień 1 czerwca sumą 2698,43 zł.

Kolejno Wacek Fastnach zapoznał zebranych z sylwetkami sławnych brodzian: Franciszka Maksymiliana Paszkowskiego – żołnierza Legionów Polskich, Kazimierza Missony – filologa, językoznawcy, publicysty i genialnego pedagoga, ppłk. Tadeusza Runge – żołnierza I i II wojny światowej, jak i uczestnika Powstania Warszawskiego, więźnia obozów w Pruszkowie i Skierniewicach, organizatora struktury terenowej organizacji „Nie”, skierowanej przeciwko spodziewanej okupacji sowieckiej.

Zbyszek Grata, to znaczy ja, przedstawiłem sytuację związaną z budową w Brzegu pomnika Józefa Korzeniowskiego.

Nie będę się tutaj rozwodził na ten temat ponieważ przewiduję złożyć na łamach „Semper Fidelis” obszerniejszą informację na ten temat. Pewnym jest to, że dzięki aktywnemu włączeniu się sekretarza Koła Pana Zygmunta Huzarskiego, pomnik na wiosnę przyszłego roku na pewno stanie.

Niezbędne są jednak jeszcze środki finansowe, a tym samym zintensyfikowanie udziału członków Koła Przyjaciół Brodów przez dokonywanie wpłat, jak również sponsorów.

Wpłat można dokonywać na rachunek:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział Brzeg – Bank Spółdzielczy O. Brzeg Nr 15 88630009 1000 0000 8295 0001 z dopiskiem „Józef Korzeniowski”.

Po obiedzie część osób wzięła udział w wycieczce autokarowej na Kubalonkę, do Istebnej i Koniakowa, zwiedzili chatę Kawuloka, spotkali słynne koniakowskie koronkarki, a potem, siedząc przy kawie, podziwiali piękne beskidzkie widoki.

Jeszcze w tym samym dniu pierwsi uczestnicy wyruszyli w drogę powrotną, do domu.

Pozwolę sobie jeszcze na koniec na małą dygresję osobistą. Kiedy w roku 1995 po raz pierwszy byłem na trzecim Zjeździe sam z mojej rodziny, pomyślałem: czy uda mi się spowodować, że rodzina moja kiedyś spotka się w Wiśle na tej tak wspaniałej imprezie – i oto w tym roku doczekałem się tego, że z mojej rodziny, klanu Gratów spotkało się w Wiśle ośmiu członków.

Choć każdy z nas przeszedł niemały szmat czasu, potrafiliśmy zebrać się w jednym miejscu, by zademonstrować naszą wspaniałą więź rodzinną, bo tak bardzo potrzebna ona jest nam wszystkim i za to powiem tylko jedno słowo... dziękuję Wam, jak i tym, którzy zainicjowali te spotkania.

Od Redakcji: Dziwne to, że odbywa się już czternaście Zjazdów Brodzian. Redakcja publikuje te sprawozdania – chociaż Brodzianie nie są członkami TMLiKPW.

(A.K.)

Fragmety wystąpienia prezesa Zygmunta Muszyńskiego na uroczystościach z okazji X-lecia Towarzystwa w Koźuchowie

W imieniu Zarządu Klubu Koźuchowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich mam zaszczyt powitać prezesa Zarządu Wojewódzkiego TMLiKPW w Zielonej Górze pana Jana Tarnowskiego wraz z małżonką.

Z tęsknoty i miłości do tych pięknych ziem utraczonych, a będących skarbnicą historii narodu polskiego, serce nam podpowiadało, aby te Kresy ocalić od zapomnienia.

Zrodziła się idea założenia stowarzyszenia, które skupiałoby dawnych mieszkańców ziem kresowych, jak również ich sympatyków.

10 lat mija od momentu rozpoczęcia działalności na terenie Koźuchowa Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oficjalne powołanie Klubu zostało podjęte uchwałą nr 7/96 na poszerzonym Prezydium Zarządu Głównego Towarzystwa we Wrocławiu w dniu 25.5.1996 r.

Głównym organizatorem założenia Koźuchowskiego Klubu jest bohaterka dzisiejszego spotkania p. Urszula Płachcińska. Właśnie dzięki jej uporowi i całkowitemu oddaniu możemy mówić o dzisiejszej uroczystości. Całą swoją miłość do Lwowa i Kresów przekazuje nam wszystkim bardzo spontanicznie i z wielkim zaangażowaniem.

Pierwszą siedzibą naszego Klubu były pomieszczenia przy ul. Słowackiego. W roku 1997 nastąpiła przeprowadzka do pomieszczeń obecnych przy ul. Kolorowej. Dużą pomoc w uzyskaniu nowego lokalu udzielił ówczesny burmistrz Koźuchowa p. Leszek Strep oraz zarząd przedsiębiorstwa „USKOM”.

Pani Urszula Płachcińska wybrana na pierwszym zebraniu organizacyjnym na prezesa Klubu oprócz zadań statutowych prowadzi działalność charytatywną. To dzięki jej wielkiej operatywności w dniu 8 marca 1998 roku przy naszym Klubie został otwarty ośrodek rehabilitacyjny. Znalezienie sponsorów wyposażenia gabinetu wymagało bardzo wielu zabiegów. Dużą pomoc w działalności gabinetu rehabilitacyjnego udzielają panie: Maria Tokarz, Irena Rejman, Wiesława Paszkiewicz. Pomoc niesiona potrzebującym, przeważnie osobom biednym i osamotnionym, jest bardzo wysoko oceniana przez mieszkańców Koźuchowa.

W okresie mijającego dziesięciolecia należy przypomnieć organizowanie różnych imprez kulturalno-rozrywkowych. Co roku organizowane są spotkania z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Świąta Kobiet,

Dnia Dziecka, Kaziuków, czy Majówek Lwowskich. Dużą popularnością cieszą się wyjazdy na wspólne imprezy oragnizowane przez Zarząd Wojewódzki TMLiKPW w Zielonej Górze. Serdeczne podziękowania należą się długoletniemu prezesowi Zarządu Wojewódzkiego panu Michałowi Ciesielskiemu. Dziękujemy również obecnemu prezesowi Zarządu Wojewódzkiego panu Janowi Tarnowskiemu za bardzo intensywną i wszechstronną pomoc, w szczególności współuczestnictwa w imprezach organizowanych przez Zarząd Wojewódzki Towarzystwa. Są to różnego rodzaju spotkania okolicznościowe oraz wspólne wyjazdy na Kresy.

Brak konkretnego wsparcia finansowego ze strony władz lokalnych powoduje, że utrzymanie naszego Klubu spoczywa na członkach Towarzystwa oraz na wsparciu sponsorów. Pragnę w tym miejscu w imieniu Zarządu Klubu podziękować tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczyniają się do istnienia naszego Towarzystwa.

Serdeczne słowa podziękowania pragnę skierować do pani Izabeli Czarneckiej, która od samego początku prowadzi kronikę działalności Klubu. Jest tam chronologiczny zapis tego co działo się w Klubie w ostatnim dziesięcioleciu.

Dużym wydarzeniem w naszym mieście było odsłonięcie i poświęcenie tablicy pamiątkowej w tutejszym kościele parafialnym z okazji 60. rocznicy przesiedlenia Polaków z Kresów na tereny Ziemi Koźuchowskiej.

Od 18.9.2004 roku pełnię obowiązków prezesa Koźuchowskiego Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przy aktywnej pomocy pani Urszuli Płachcińskiej, mojej etatowej zastępczyni. Jest ona nadal siłą napędową koźuchowskiego Towarzystwa. Słowa uznania i podziękowania pragnę skierować do pana Romana Rejmana, „złotej rączki” Towarzystwa, jak również za ciągłą pomoc panu Stanisławowi Gajewskiemu oraz tym wszystkim, którzy na co dzień są bywalcami naszego Klubu. Osobne słowa kieruję do prezesa Zarządu Głównego we Wrocławiu, pana Andrzeja Kaminskiego, za współpracę oraz spotkania na Krajowych Zjazdach Sprawozdawczo-Wyborczych Towarzystwa.

Kończąc pragnę przejść do smutniejszego obowiązku. W ostatnim czasie opuścili nas na zawsze: Czesław Popiela, Romualda Czepanis, Ryszard Lewandowski, Kasia Kowalczyk, Zofia Rotbart. Proszę wszystkich o powstanie i uczczenie chwilą ciszy Ich odejście. □

Józefa Sady

Zauroczeni Lwowem

O Lwowie i Kresach wiele już napisano, zapewne wiele jeszcze pisać będą ci, którym ta sprawa leży na sercu. Trzeba, aby ze względu na sytuację w jakiej znalazły się Kresy z wielkim szacunkiem kultywować pamięć i przekazywać z pokolenia na pokolenie wielką miłość do ziemi, gdzie ginęły „Nieopierzone Orle”.

Z troską należy pamiętać o tych, którzy w obronie Ojczyzny złożyli w darze to co najcenniejsze, własne młode życie; o ich bohaterstwie i heroicznej odwadze.

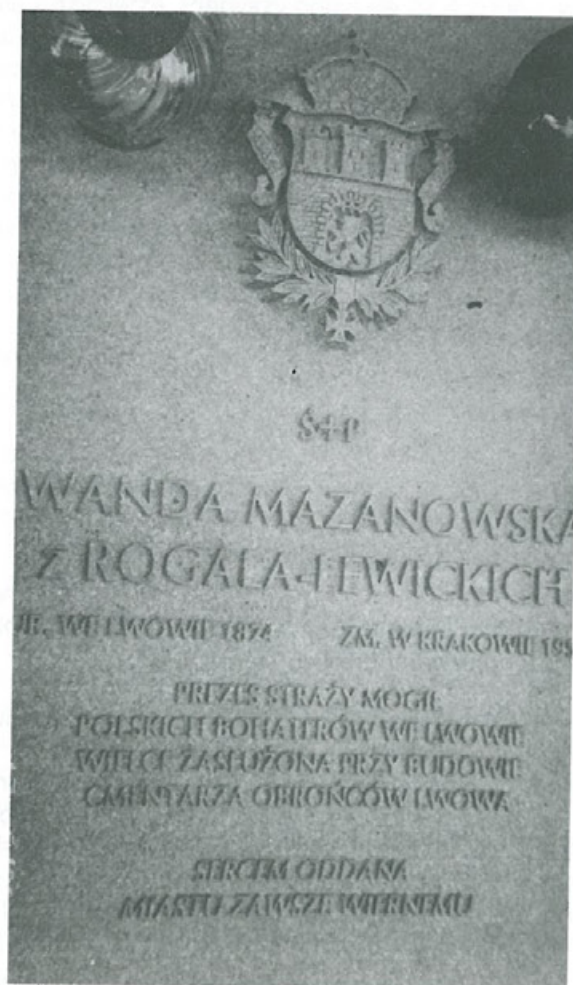
To wielki nakaz moralny zadbać oto, by historia nie osądziła nas źle, aby przez nasze działania, naszą postawę udowodnić, że pamięć o nich w nas trwa i wciąż jest żywa. Przepięknymi słowami i niezapomnianymi melodiami kresowymi od lat obdarowuje tarnowską publiczność zespół wokально-instrumentalny „Gloria” kierowany przez lwowiaka pana Kazimierza Wesołowskiego.

życkiego. Była duszą i ciałem wszelkich poczyniń w czasie trwania budowy cmentarza. Wygłaszała odczyty, przemówienia np. w czasie uroczystości w październiku 1925 r., ekshumacji zwłok „Nieznanego Żołnierza” i ich przewiezienia do Warszawy, podczas poświęcenia płyty „Pięciu Nieznanych z Persenkówki” (2.11.1937 r.).

W lipcu 1919 r. powstało we Lwowie Towarzystwo Straży Mogił Polskich Bohaterów. Pierwszą prezeską była Kazimiera Neumanowa, żona prezydenta Lwowa, a od 1934 r. została nią Wanda Mazanowska. Wydawała własnym kosztem książki „W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich” oraz album „Semper Fidelis”, a pieniądze ze sprzedaży przekazywała na budowę Cmentarza. Dlatego wydawało mi się, jak i całemu Zarządowi Głównemu TMLiKPW, że nie można zapomnieć o wielkiej Polce i Lwowiance.

Przychylność Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i osobiste zaangażowanie sekretarza Rady p. ministra Andrzeja Przewoźnika spowodowały, że w dniu 16 września 2006 r. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie odbyła się uroczystość odsłonięcia i poświęcenia płyty nagrobnej Wandy Mazanowskiej. Mszę św. w kościele na cmentarzu celebrował ks. prof. Józef Wołczański.

W uroczystości wziął udział prawie cały Zarząd Główny TMLiKPW, Oddział Krakowski, młodzież szkolna i poczty sztandarowe TMLiKPW z Wrocławia oraz uczniowie Gimnazjum nr 1 w Krakowie z dyr. Mariuszem Graniczką. Obecny na uroczystości był min. Andrzej Przewoźnik oraz rodzina Wandy Mazanowskiej. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa sfinansowała piękną granitową płytę z herbem Lwowa i napisem:



ŚP Wanda Mazanowska z Rogala-Lewickich ur. we Lwowie 1874, zm. w Krakowie 1951. Prezes Straży Mogił Polskich Bohaterów we Lwowie. Wielce zasłużona przy budowie Cmentarza Obrońców Lwowa. Sercem oddana Miastu Zawsze Wiernemu. Autorem i wykonawcą płyty jest artysta rzeźbiarz Marek Moderau.

Poświęcenia płyty dokonał ks. prof. Józef Wołczański. Potem przemawiali min. A. Przewoźnik, prezes ZG TMLiKPW A. Kaminski oraz prezes Oddziału w Krakowie A. Guyrkowicz. Złożono wieńce i odśpiewano „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa” i Rotę.

Grób Wandy Mazanowskiej wyróżnia się obecnie wśród sąsiadujących. W pobliżu są groby wielkich „Lwowian” – prof. Rudolfa Weigla i prof. Marii Kurzowej. Towarzystwo nie zapomniało również o grobie następcy Wandy Mazanowskiej. W ponurych czasach zaczął odkopywanie i przywracanie do życia Cmentarza Obrońców Lwowa inż. Józef Bobrowski (odznaczony Krzyżem II Obrony Lwowa), który również spoczął na Cmentarzu Rakowickim.

Po uroczystościach na cmentarzu Rakowickim odbyło się w siedzibie Krakowskiego Oddziału TMLiKPW zaplanowane zebranie Zarządu Głównego Towarzystwa, w którym uczestniczyli min. Andrzej Przewoźnik i rodzina Wandy Mazanowskiej.

Należy również przypomnieć, że syn Wandy Mazanowskiej Józef Mazanowski (ur. 1899, zm. 20.4.1919),



Józef Mazanowski

ranny w czasie obrony Lwowa, spoczął na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Drugi syn Stefan Feliks Mazanowski (ur. 14.1.1905 we Lwowie) zmarł 22.1.1984 w Gliwicach. Wanda Mazanowska mieszkała we Lwowie przy ul. Długosza nr 18.

W tym miejscu chcę podziękować władzom w Krakowie, jak i zarządowi cmentarza Rakowickiego za pomoc i pełną obsługę tej uroczystości.

Wierzę, że na szlaku lwowskich wspomnień i wycieczek na cmentarz Rakowicki ten grób wielkiej Polki, twórczyni Cmentarza Obrońców Lwowa będzie stałym miejscem odwiedzin i pozostanie pod opieką miasta Krakowa i jego społeczeństwa.



Cmentarz Rakowicki, 16 sierpnia br. Delegacja Zarządu Głównego TMLiKPW: prezes Andrzej Kaminski, Władysław Stążka, Bolesław Adamczyk i Zbigniew Umański, ze sztandarem Towarzystwa, przybywa na uroczystość przekazania i poświęcenia granitowej płyty na grobie Wandy Mazanowskiej, ufundowanej przez ROPWiM.



Kraków – Cmentarz Rakowicki. Tak wyglądał zapomniany grób, raczej mogiła, Wandy Mazanowskiej – wielkiej Lwowianki, wielce zasłużonej przy tworzeniu i budowie Cmentarza Obrońców Lwowa.



Poczty sztandarowe Zarządu Głównego TMLiKPW oraz Gimnazjum nr 1 w Krakowie przy pięknym obecnie grobie Wandy Mazanowskiej



Prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW Adam Gyurkovich otwiera uroczystość oddania i poświęcenia zbudowanego przez ROPWiM grobu Wandy Mazanowskiej. W głębi stoją Jej wnuk Andrzej z małżonką.

Prezes Andrzej Kaminski i Krzysztof Szczur składają na grobie Wandy Mazanowskiej wieniec od Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.



Min. Andrzej Przewoźnik, w imieniu ROPWiM, przekazuje krakowskiemu Towarzystwu Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich pod opiekę odbudowany, przykryty płytą z jasnego granitu z herbem Lwowa, grób Wandy Mazanowskiej. Całość sfinansowała Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.



Delegacja Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich złożyła wieniec także na grobie mgr. Józefa Bobrowskiego, b. dyrektora „Energopolu”, który wraz z załogą tej firmy we Lwowie spowodował, w pierw odkopanie spod gruzów i śmieci, a potem odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa.



Po uroczystościach na Cmentarzu Rakowickim odbyło się w Krakowie posiedzenie Zarządu Głównego TMLiKPW, w którym uczestniczył sekretarz ROPWiM Andrzej Przewoźnik. Poinformował władze TMLiKPW o rozmowach przeprowadzonych z władzami ukraińskimi na temat upamiętnienia dalszych miejsc, gdzie spoczywają Polacy zamordowani przez UPA i NKWD oraz zapomnianych lub zaniedbanych miejsc pochówku żołnierzy WP, którzy m.in. zginęli walcząc w obronie Lwowa i Kresów RP we wrześniu 1939 r. Min. A. Przewoźnik potwierdził, że w Bykowni znaleziono szczątki polskich ofiar, rozstrzelanych przez NKWD z tzw. listy ukraińskiej.



Ks. prof. Józef Wołczański, po wcześniej odprawionej Mszy św. w kaplicy cmentarnej, poświęcił grób Wandy Mazanowskiej z nową płytą nagrobną.

Leszek Sawicki

Studnia w Gawareczyźnie

(dokończenie wspomnień z nr. 4 (93) „Semper Fidelis”)



Kościół w Białym Kamieniu podnosi się z zaniedbania.



Matka-Orlica bierze
w ochronę swe orlęta.
Pomnik ekspatriacji w Domaniowie,
autorstwa Jarosława Furgały.

Polska młodzież śpiewa polskie
pieśni na akademii trzeciomajowej.



Druga moja wizyta w Domaniowie koło Strzelina, w wiosce zamieszkałej przez dawnych mieszkańców Uszni i Gawareczyny, dostarczyła nowych materiałów, mówiących o tragicznych losach Polaków z okolic Białego Kamienia. Otrzymałem również pamiątki, spisane przez ciocię Marysię, córkę leśniczego z Gawareczyny, a mojego dziadka, Józefa Sawickiego. Opowieści, których wysłuchałem, mogą stanowić tło wielkiej sagi – historii Polaków, potomków drobnej polskiej szlachty zagrodowej, zamieszkujących lesiste podolskie góry Woroniaki.

Tu podam jedynie skrócone wyjątki z tych materiałów.

Opowieść cioci Marysi (uzupełniona moimi z nią wywiadami – LS)

„**MOJE ŻYCIE.** Maria Honorata z Sawickich Bidny, pseudonim konspir. AK „Apolina”.

Urodziłam się w lipcu 1913 roku jako bliźniacza siostra mojego brata Juliusza, który niestety zmarł po miesiącu. Kiedy przyszłam na świat, moi rodzice nie byli już młodzi, szczególnie ojciec, który miał 63 lata w chwili moich narodzin. Jednakże rodzice byli szczęśliwi ze swego późnego macierzyństwa i wyrastałam w atmosferze serdecznej miłości i dobroci, jaką mnie i mojego brata Czesława otaczali.

Gawareczyna, w której mieszkaliśmy, to przepiękne miejsce na ziemi, w którym można żyć szczęśliwie. (...)”

LS: Gawareczyna miała ludność mieszaną, jednak większość stanowili Rusini. Ale prawie wszyscy mieszkańcy nosili nazwiska polskiego pochodzenia, z końcówkami na -ski (Łabuńscy, Muszyńscy, Kępińscy, Wiślińscy, Solińscy, Garbuzińscy). Takie właśnie nazwiska zastanawiały mnie na białokamieńskim cmentarzu, gdy odczytywałem je wypisane cyrylicą na nagrobnych tabliczkach. Ale linia podziału między Polakami i Rusinami nie była jednoznaczna: liczne były małżeństwa, z których często córki były wychowywane jako Polki, a synowie jako Rusini.

„... Na moją edukację nie bardzo rodziców było stać – wysłali mnie do pierwszej klasy do miejscowej szkoły w Gawareczyźnie; później, chcąc mi zapewnić lepszy poziom wykształcenia – do szkoły w Białym Kamieniu. Niestety, były to surowe warunki życia na odludziu: codziennie musiałam przemierzać 10 kilometrów w obie strony przez las, z domu do szkoły. Nadszarpnęło to moje dziecięce siły i rodzice, widząc to, umieścili mnie w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Niestety, siostrzyczki zakonne okazały się być „miłosierne” tylko z nazwy; warunki życia pod ich opieką były bardzo złe. Serdecznie współczułam sierotom, pozostawionym „pod opieką” siostrzyczek.”

LS: Marysia z goryczą wspomina swój krótki pobyt w internacie w Białym Kamieniu. Pobyt tam, w czasie ostrej zimy, wspólnie z sierotami – wychowankami sióstr, oraz rygor, złe traktowanie i bardzo skromne utrzymanie – spowodowały, że już w następnym roku szkolnym rodzice zabrali ją z powrotem do Gawareczyny.

O Białym Kamieniu czytam w „Galicji i Lodomerji”, dziele powstałym w 1786 roku, że jest to „...Miasto, niegdyś zamkiem wspaniałym książąt Wiśniowieckich, w kwadrat murowanym kościołem i plebanią murowaną ozdobne. Teraz miasto książąt Radziwiłłów. Wyżej nad

Białym Kamieniem Bug rzeka ma swoje źródło początkowe”. Ongiś wspaniały zamek pamiątkowy był tym, w którym tu w 1639 roku urodził się Michał Korybut Wiśniowiecki, późniejszy król polski. W latach międzywojennych Białą Kamień był wsią sołecką (do której należała osada Gawareczyna) i liczył w 1921 roku 2075 mieszkańców, w tym 539 Polaków i 299 Żydów. Barokowy kościół (z 1613 r.) jest obecnie remontowany po wojennych zaniedbaniach; odbywają się tu msze dla mieszkańców-Polaków.

Klasztor SS Miłosierdzia w Białym Kamieniu zamieszkiwało przed wojną siedem sióstr, a przełożoną ich była siostra (z domu hrabina Ponińska). Klasztor nie był ubogi: dobra klasztorne obejmowały, oprócz lasów, w których pracował mój Dziadek – także folwarki, młyn, browar i szpital. Wszystko to pochodziło z darowizny pana Schneidra, który testamentarnie zapisał je klasztorowi. Siostry wychowywały około osiemdziesiąt sierot – dzieci w wieku od trzech do osiemnastu lat. Dzieci spały w trzech wielkich salach. Osiemnastoletnie panie, wychodząc za mąż, dostawały od klasztoru wyprawę.

Niechęć obu pań Sawickich – Babci i Marysi – do sióstr przełożonej wpływała również z niezbyt humanitarnego postępowania z Dziadkiem. Gdy zakończył swą kilkudziesięcioletnią pracę w lasach klasztoru, został odprawiony bez emerytury i musiał się wyprowadzić z wygodnej leśniczówki do małej gajówki (tej, którą pamiętam, przy drodze, obok wielkiej studni). Już w czasie choroby Dziadka, na wiosnę 1936 roku, gdy mój ojciec pojechał do klasztoru, zaniepokojony stanem zdrowia, przełożona oświadczyła mu, że w razie śmierci Dziadka obie panie „muszą się gdzieś podziać”. Niezbyt to było zgodne z zasadami miłosierdzia, które powinny były przyświecać idei tego właśnie domu zakonnego. I rzeczywiście, już w dwa tygodnie po śmierci Dziadka rodzina otrzymała pismo, nakazujące opuszczenie domu. Babcia z Marysią przeprowadziły się do pobliskiego Złoczowa. Dom po Sawickich zajęła polska rodzina Wiślińskich.

Siostry zakonne przetrwały jakoś najgorsze lata ukraińskich zbrodni, szerzących się wokół Białego Kamienia, i dopiero władza radziecka zlikwidowała klasztor.

„Muszę lojalnie przyznać, że nie tylko z trosk i trudów składało się dalsze moje życie. Przyjemności, zabawy, miłego towarzystwa też nie brakowało. Ojciec mój był zawsze bardzo gościnnie, lubił towarzystwo i często zapraszał gości do swego domu; tak też było, gdy siły fizyczne mu już nie stały. Umysł jednakże aż do śmierci miał jasny, lubił rozmawiać, żartować. Często więc gościliśmy wiele osób: miejscową elitę, księżdzę, nauczycieli, a także rodzinę. Wśród gości było wielu młodych ludzi, więc zabaw, żartów, śmiechu zawsze było pełno. (...) Dowiaduję się od osób, które aktualnie zamieszkują na tamtych terenach, że pamięć o moim ojcu nie zginęła tak zupełnie. (...) wciąż istnieje cudowne źródło i kaplica zbudowana przez ojca, w tej chwili coraz liczniej nawiedzana przez pielgrzymów. (...) Jestem dumna i szczęśliwa, że pamięć mego ojca jest tak żywa do dziś nie tylko w sercach jego rodziny, lecz też i społeczności, w której kiedyś tak aktywnie działał. Zasłużył na to w zupełności swoim życiem godnym, pobożnym i pracowitym.”

„**MOJA DZIAŁALNOŚĆ W AK (1941-1944).** Zostałam zaangażowana do działalności w ruchu oporu przez dobrego znajomego, Eugeniusza Burskiego, ps. „Borowy”. Dnia 1 października 1941 roku złożyłam przysięgę i otrzymałam pseudonim „Apolina”. Odbylam też specjalne przeszkolenie w zakresie posługiwania się bronią krótką, długą i obchodzenia z granatami, a także poznałam zasady konspiracyjnych metod kontaktowania się z poszczególnymi grupami bojowymi AK, ponieważ do moich stałych obowiązków miało należeć utrzymywanie łączności między Dowództwem Okręgu, a Komendami Powiatowymi: Przemyślany, Brody, Krasne, Busk, Zborów, Złoczów i Tarnopol. Od mojej sprawności, a nie rzadko i odwagi zależało, czy utrzymana będzie stała łączność między oddziałami AK, działającymi w całym województwie tarnopolskim. Przewoziłam wg rozkazów wszystkie potrzebne dokumenty najroźniejszych przeznaczenia: rozkazy wojskowe, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów i odznaczeń dla członków grup, mapy sztabowe z oznaczonymi miejscami działań, rzutów, wreszcie prasę konspiracyjną.” (...)

„Praca w zaopatrzeniu polegała na gromadzeniu różnych rzeczy potrzebnych dla grup bojowych w terenie, a następnie wydawaniu w określonym czasie ludziom, którzy docierali z zaopatrzeniem do odpowiednich oddziałów. W wybranych punktach Złoczowa organizowano zakonspirowane magazyny, do których dostarczano wszystko, czego potrzebowały walczące w terenie oddziały. Moim zadaniem było orientowanie się, co gdzie jest przechowywane i wydawanie tych zapasów wg zaopatrzenia. (...) Była to praca niezwykle wyczerpująca, wymagająca doskonałej pamięci i szybkiej orientacji, nie można było bowiem prowadzić żadnej buchalterii, gdyż w razie dekonspiracji groziło by to niewyobrażalnymi konsekwencjami dla całej organizacji. Jakoś sobie z tym radziłam (...).”

„Moja praca konspiracyjna znalazła uznanie moich przełożonych: w listopadzie 1943 roku Komendant Okręgu Tarnopol odznaczył mnie Krzyżem Walecznych za odwagę i bojowość w wykonywaniu pracy konspiracyjnej i otrzymałam awans wojskowy do stopnia plutonowego. Dekoracja odbyła się w Złoczowie w willi nadleśniczego w obecności p. Marii Hebdowskiej, nauczycielki i członkini AK.”

LS: Najtragiczniejszym okresem życia, który Marysia zapamiętała, był rok 1944. Wiosną, w trzecim roku niemieckiej okupacji, fala banderowskich zbrodni zaczęła obejmować również okolice Złoczowa. Obie panie, nakłaniane listami brata Czesia (który po ucieczce z niemieckiej niewoli pracował w majątku niedaleko Jarosławia) postanowiły wyjechać ze Złoczowa. W maju od wschodu zbliżała się ofensywa sowiecka i zagrożenie – łącznie: frontu niemiecko-sowieckiego i banderowskiego ludobójstwa – skłoniło wiele polskich rodzin ze Złoczowa do ucieczki na zachód. Marysia wystarała się, dzięki znajomościom w starostwie, o przydział jednego wagonu towarowego dla dziesięciu osób: trzy z nich to były faktyczne osoby: Babcia, Marysia i młoda dziewczyna Stefa, mieszkająca u nich na stacji; resztę stanowiły nazwiska fikcyjne. Ale wnet znaleźli się chętni na wyjazd – mężczyźni, zagrożeni ukraińskimi groźbami. Wagon zapelniał się meblami i resztą dobytku Sawickich. Babcia zlikwidowała swą hodowlę królików, a z ich

mięsa upiekła pasztet, którym potem karmiła współpasażerów. Dwóch z nich zresztą ukrywała Babcia w skrytce, zrobionej z mebli przy ścianie wagonu; ci mieli szczególne przyczyny chowania się przed niemieckimi i ukraińskimi policjantami, ale o szczegóły obie panie nawet nie dopytywały się. Sam załadunek do wagonu w Złoczowie odbywał się w czasie nalotu i bombardowania stacji (w tym samym czasie, w pierwszej połowie maja 1944 roku, Lwów był wielokrotnie bombardowany lotniczo, o czym pamiętałem z własnych wspomnień).

W ostatnich godzinach przed wyjazdem Babcia przyjęła do wagonu jeszcze dwie osoby: sąsiadów z Gawareczyny: pana Kutyrńskiego z synem Michałem. Mężczyzna był zdesperowany, roztrzęsiony nerwowo. Z płaczem opowiadał o tragedii, jaka spotkała dwa dni wcześniej jego rodzinę. W nocy banderowcy weszli do jego obejścia i zamordowali jego żonę i dwie córki, Steficię i Kasię. On sam widział wszystko z kryjówki, zrobionej na poddaszu nad stajnią. Noc była księżycowa i Kutyrński, patrząc przerażony i zdumiony przez szparę, mógł wyraźnie rozpoznać wśród bandytów Ukraińca Suszeńskiego, brata swej żony! Suszeński zbiorów przyprowadził, ale sam w morderstwach nie brał udziału. Syn Michał uchronił się, gdyż nie było go wówczas w domu (pracował w Złoczowie). Kutyrński rano uciekł do Uszni, wioski w większości polskiej, odnalazł syna i obaj nazajutrz dosiedli się do kolejowego transportu, do wagonu Babci

Była to noc zbrodni. Przypuszczalnie działo się to około ósmego maja, gdyż wtedy, według kalendarza na 1944 rok, przypadała pełnia księżyca. W Gawareczynie tej nocy zamordowano łącznie siedemnaście osób, w tym i rodzinę Mitulińskich (o czym opowiadała w Domaniowie pani Rozalia) oraz dawnego sąsiada Sawickich, pana Bałuczyńskiego („tego zza ogrodu” – opowiada ciocia Marysia). Zginął również pan Czosnykowski (w jego domu osiedlił się później Ukrainiec Kuziemski). Czy taki sam los spotkałby również dwie samotne kobiety, Babcię i Marysię, gdyby zostały na miejscu, w Gawareczynie?

Krwawe żniwo objęło nie tylko Polaków. Zamordowano też syna cerkiewnego diaka, mieszkającego w dolnej części wsi, w sąsiedztwie leśniczówki, Ukraińca Bednarskiego, który nie sprzyjał banderowcom. Być może, że przyczyniła się do tego koligacja rodzinna Bednarskiego, gdyż jego siostra przed wojną wyszła za mąż za polskiego oficera. Wielka studnia przy tej dawnej leśniczówce dzisiaj również jest zasypana. Co kryje ona w głębinie?

Czerwona linia zbrodni, dzieląca „ich” od „nas”, przechodziła na Podolu nie tylko przez środek wsi i przez zagrody sąsiadów, ale też – i co najstraszniejsze – przez środki rodzin. Przerażające opisy zabójstw w obrębie rodziny: syn – morduje ojca Polaka, brat – siostrę, która wyszła za Polaka – są wymieniane w wielu miejscach opublikowanej niedawno „Czarnej księgi” zbrodni na terenie Podola („Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939-1946”, H. Komański i S. Siekierka). Zbrodnie, dokonane w Gawareczynie, nie są tu opisane, zapewne nie były znane autorom. Ile jeszcze ich pozostaje nie zanotowanych, ile jest na Podolu studni zasypanych, kryjących ponure tajemnice?

A studnia w klasztorze w Podkamieniu, kryjąca kilkadziesiąt ciał ofiar pogromu z lutego 1944 roku? Jeszcze żyją ostatni świadkowie, ale i oni wkrótce znikną z tego świata. Wiara każe nam przebaczać, ale nie każe zapominać.

Opowieści z Domaniowa

Czerwcową pielgrzymka mieszkańców Domaniowa do Uszni (por. wspomnienia z nr. 4 (91) „SF”) powiodła się. Państwo Domańscy, którzy przyjęli mnie w swym sadzie, w cieniu jabłonki, z radością opowiadali, jak postępują odbudowa zniszczonego kościoła w Uszni („Ja sam zafundowałem całe jedno okno” – mówi pan Kazimierz), jak śpiewali na Świętej Górze i jak brali udział w mszy grecko-katolickiej z polskimi pieśniami religijnymi. Wszędzie oprowadzał ich dawny wójt-Ukrainiec („dawna hołowa seljrady” – mówi gospodarz), później zwiedzali niedaleki Począjów i inne kresowe miasta. Byli przyjmowani gościnnie. O dawnych dziejach, tych strasznych, wojennych, nie było rozmów. Ale i śpiewali swoje pieśni domaniowskiego chóru, też i tę:

„O, podolska ziemio i podolskie lasy,
Kiedy nam powrócą jagiellońskie czasy?
Bo tam nasze serca i lzy pozostały,
Pragnie do was wrócić naród polski cały...”

Pan Kazimierz opowiada, jak to już w czasie wojny woził garnki, wytwarzane w Gawareczynie, furmanką aż na Wołyń. Cały handel odbywał się bezgotówkowo, metodą „toważ za toważ”, a w pierwszym rzędzie zapłatą było zboże, przywożone potem do Uszni. A i glinę sami gawareczyńscy garncarze dobywali w kopankach w Uszni, przy „czerwonej ulicy”... Mieszkańcy Uszni, a byli to w większości Polacy, nie ucierpieli w czasach bandyckich akcji. Wieś wystawiała warty i w razie nadejścia rizinów rozlegały się gongi ostrzegawcze, podrywające na nogi mieszkańców. Samoobrona skutecznie działała, zginęło tylko dwóch Usznian, którzy wybrali się kiedyś do Gawareczyny.

Żona pana Kazimierza (83 lata, bystra pamięć) dobrze zna legendę o Matce Boskiej, która ze Świętej Góry szła lasami-polami do Podkamienia. Po objawieniu się na Świętej Górze to nawet Jej twarz na listkach drzew się pojawiała... Pani Domańska też poniosła stratę rodzinną w latach zbrodni: banderowcy zamordowali daleką krewną, siostrę jej dziadka.

Druga dawna mieszkanka Gawareczyny, pani Stefania Marmulewiczowa, ma dom niedaleko, tuż za pomnikiem Matki-Orlicy. Zaprasza nas do saloniku, czym prędzej przyrządza kawę, częstuje czekoladowym torciem. W Gawareczynie wychowała się, tam przebiegło całe jej dzieciństwo. Jej nazwisko panieńskie (Wiślińska) powtarza się i w innych opowieściach o Gawareczynie, gdyż mieszkało tam kilka rodzin o tym samym nazwisku. Święta Góra była wówczas miejscem wielkiego kultu, chodziła tam z rodziną, przynosiła kwiaty, zapalali świece....

Po tej starszej, siwej pani nie poznać, że nosi na barkach osiemdziesiąt pięć lat. Jej żywa pamięć pozwala na odtworzenie historii studni w Gawareczynie, ale i nie tylko tego. Była świadkiem odkrycia sowieckich zbrodni w Złoczowie: kiedy to wymordowano więźniów w piwnicach złoczowskiego zamku w 1941 roku, w czasie odwrotu wojsk sowieckich na początku sowiecko-



Domaniów. Pani Stefania (85 lat) opowiada o zbrodniach w Gawareczynie.

niemieckiej wojny. Widok okrutnie torturowanych ciał, wynoszonych z piwnic, był dla niej straszliwym przeżyciem, i to zadecydowało, że postanowiła opuścić Złoczów przed powtórным nadejściem Sowietów już na początku 1944 roku. Wyjechała z niedawno narodzoną córeczką aż do Rabki, do krewnych. Mąż, Michał Świderski, oraz jej matka, Anna Wiślińska (z domu Suszeńska, ale z tych innych, polskich Suszeńskich) pozostali na miejscu; mąż prowadził sklep w Złoczowie. Oboje zginęli, zamordowani. Przez kogo, gdzie? – nie dowiedziała się nigdy, ich ciał nie odnaleziono. Po wojnie była jeszcze dwa razy w Gawareczynie, już z dorosłą córką. Za drugim razem, będąc tam z małym synkiem (przed dwudziestu laty), zaczęła dopytywać się, czemu ta studnia (koło dawnej gajówki) jest zasypana. Chłopa-



Co kryje głębia tej studni w Gawareczynie, dziś zasypanej? (zdjęcie z 1920 r.)

ka, gdy kręcił się koło miejsca studni, zaczęli miejscowi bić. „Ach, ty Polaczku! Po co tu chodzisz?” „A ty po ukraińsku nie umiesz mówić?” – zagadnęła ją Suszeńska, obecna mieszkanka gajówki. Pani Stefania potem już nie chciała do Gawareczyny jeździć.

I tak dalej i dalej, można by snuć opowieści dawnych kresowian. Mogiły umęczonych i zabitych, jeśli w ogóle są, porastają trawą, i jeszcze nasze pokolenie będzie nosić się z pytaniem: przebaczać? Zapomnieć? Historycy następnych pokoleń przysypią to czcigodnym pyłem takich lub innych interpretacji i wiatr rzeczywiście zasypie wszystko, zawieje...

Ad multos annos Eminencjo!

21 sierpnia br. Metropolita Lwowski kardynał Marian Jaworski świętował swoje 80 urodziny. W Archikatedrze Lwowskiej została odprawiona Msza św. dziękczynna, którą celebrowało kilkunastu biskupów różnych obrządków, ok. 100 kapłanów. Uczestniczyli **kardynałowie Franciszek Macharski i Lubomyr Huzar**, wiele siostr zakonnych i wiernych. Na początku Mszy św. biskup Leon Mały odczytał życzenia, które do Jubilatę przesłał papież Benedykt XVI. Po mszy życzenia składali przedstawiciele Kościoła lwowskiego, odczytane zostały listy Nuncjusza Apostolskiego na Ukrainie – **abp. Ivana Jurkowicza**, Prezydenta RP **Lecha Kaczyńskiego** (odczytał Konsul Generalny RP we Lwowie amb. Wiesław Osuchowski) i Marszałka Sejmu **Marka Jurka** (czytał poseł na Sejm, przewodniczący klubu parlamentarnego PiS Marek Kuchciński). Życzenia od Episkopatu Rzymskokatolickiego Ukrainy złożył Jubilatowi **ks. bp Marccjan Trofimiak**, a od Episkopatu Polski – Metropolita Lubelski, **abp Józef Zyciński**. Przemawiali: głowa Kościoła Grekokatolickiego na Ukrainie **kard Lubomyr Huzar**, **abp Augustyn** z Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego, **abp Makary** z Ukraińskiego Kościoła Autokefalicznego we Lwowie, **ks. Tadeos Geworgian** reprezentujący Ormiański Kościół Apostolski we Lwowie, przedstawiciel Kościoła Protestanckiego **Roman Wowk** – Sekretarz Generalny Ukraińskiego Tow. Biblijnego oraz mer Lwowa **Andrij Sadowyj**, kończąc słowami: „Proszę nas kochać – Lwów kocha Waszą Eminencję”. Zastępca przewodniczącego Lwowskiej Administracji Obwodowej **Taras Batenko** odczytał list od prezydenta Ukrainy **Wiktoru Juszczenki** do kard. M. Jaworskiego. Jubilat otrzymał od prezydenta Ukrainy **order Kniazia Mądrego IV stopnia**.

Na zakończenie uroczystości Metropolita Lwowski złożył wotum Matce Boskiej Łaskawej – krzyż arcybiskupi, który otrzymał na początku swego posługiwania we Lwowie z rąk biskupa Rafała Kiernickiego, a po śmierci – pierścień kardynalski.

Zarząd Główny TMLIKPW oraz redakcja „Semper Fidelis” dołączają się do gratulacji i serdecznych życzeń z okazji tak pięknego Jubileuszu Waszej Eminencji. Niech Bóg darzy Cię swoją opieką, a Boża opatrność towarzyszy na drodze Twojego powołania. Ad multos annos, Jubilacie!

Uniwersytet Jagielloński nadał Metropolice Lwowskiemu kard. Marianowi Jaworskiemu tytuł doktora honoris causa Jagiellonki.

Cześć i pamięć Orlętom spod Zadwórze

17 sierpnia 1920 r. 330 młodych polskich żołnierzy, pod dowództwem kpt. Zajackowskiego, zagroziło drogę czerwonej konnicy Budionnego, zmierzającej na Lwów i dalej na Zachód. Bitwę tę historycy nazwali Polskimi Termopilami. Z 330 polskich żołnierzy poległo 318, kilkunastu dostało się do niewoli, ale powstrzymali marsz Budionnego na miasto Semper Fidelis, umożliwiając innym polskim oddziałom wycofanie się i zajęcie pozycji do obrony Lwowa i wolności. Kpt. Bolesław Zajackowski, nazywany „polskim Leonidasem”, wraz

z kilkoma żołnierzami popełnił samobójstwo. Zwłoki pięciu oficerów, które udało się zidentyfikować pochowano na Cmentarzu Obrońców Lwowa, pozostali spoczęli na miejscu swej męczeńskiej śmierci, gdzie został usypały kurhan i umieszczona tablica pamiątkowa z napisem: „*Orlętom, poległym w dniu 17 sierpnia 1920 r. w walkach o całość ziem kresowych*”.

21 sierpnia br., w 86. rocznicę walk o Lwów, w Busku, gdzie mieści się kwatera bohatersko poległych młodych Polaków i w Zadwórze obok kurhanu odbyły się patriotyczne uroczystości upamiętniające te dramatyczne i krwawe wydarzenia.

Uroczystość w Czarnym Lesie

W 65. rocznicę mordu stanisławowskiej inteligencji przez hitlerowców w Czarnym Lesie, na miejsce ich kaźni, przybyli ich dzieci, wnuki i bliscy – ze Szczecina, Gdańska, Warszawy, Wrocławia, ze Śląska i innych miasta polskich. Najliczniejszą grupę stanowili członkowie Krakowskiego Koła Stanisławowian, które tradycyjnie było organizatorem wycieczki-pielgrzymki, a najstarszym uczestnikiem – 87-letni Tadeusz Antkowiak z Gliwic. Jego ojciec był rzeźbiarzem-kamienniarzem wielu pomników na zlikwidowanym przez władzę radziecką cmentarzu komunalnym w Stanisławowie.

Na uroczystość w Czarnym Lesie, którą przygotowało Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń” (prezes Halina Kubicka), przybyła delegacja władz miejskich z wicemerem Stanisławowa Wiktorem Klimakowiczem, jego zastępcą Andrzejem Lidychowskim i sekretarzem Rady Miejskiej Wasylem Bojczukiem oraz przedstawiciele organizacji kresowych z Polski, Towarzystwa Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego w Stanisławowie. Konsulat Generalny RP we Lwowie reprezentowała konsul Beata Dęda-Dobosz, a Federację Organizacji Polskich na Ukrainie – prezes Chmielowa.

Mszę św. za pomordowanych celebrował ks. Kazimierz Halimurka, proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie, w asyście dwóch księży. W okolicznościowej homilii nawiązał do tragicznych wydarzeń sprzed 65 lat. Podczas nabożeństwa śpiewał chór „Lumen” z parafii rzymskokatolickiej z Kolumy, a krakowscy stanisławowianie odczytali piękną Modlitwę Wiernych. Przemawiali przedstawiciele władz, Konsulatu RP we Lwowie, prezesi Klubów Stanisławowian z Krakowa – Krystyna Stafińska, z Warszawy – Stanisław Leszczyński i z Wrocławia – Marian Ziobrowski. Potem uczestnicy pielgrzymki udali się na zbiorowe groby pomordowanych i złożyli na nich 100 róż – białych i czerwonych oraz zapalili 100 zniczy przywiezionych z Krakowa, a oficjalni goście złożyli wieńce.

Stanisławowianie odwiedzili także zlikwidowany za władzy radzieckiej cmentarz komunalny przy ul. Sapieżyńskiej. Przy pomniku upamiętniającym wszystkich niegdyś tu pogrzebanych odmówili modlitwę, złożyli wieńce i kwiaty i zapalili znicze pamięci.

Coraz więcej wycieczek z Polski odwiedza miejsce kaźni stanisławowskiej inteligencji. W informacjach o Stanisławowie, zamieszczonych przy mapach miasta, jest już wzmianka o tej tragedii stanisławowskiej inteligencji, ale z pominięciem słowa „polskiej”.

W ostatnią niedzielę września kilkudziesięciu stanisławowian z całej Polski spotkało się tradycyjnie w Katedrze Wrocławskiej na Mszy św. za poległych, zamordowanych, zmarłych podczas II wojny światowej mieszkańców Ziemi Stanisławowskiej. Złożyli kwiaty, zapalili znicze i odmówili modlitwę za spójność ich duszy przy tablicy pamięci im poświęconej. Potem spotkali się towarzysko przy kawie, wspominali lata spędzone tam, w swojej „małej ojczyźnie”. Prezes wrocławskich stanisławowian Marian Ziobrowski podzielił się wrażeniami z uroczystości w Czarnym Lesie. Kolejny raz na wrocławskie spotkanie przyjechał z Londynu pan Tadeusz Ulrich.

W parafii św. Marii Magdaleny...

... we Lwowie 22 lipca odbyły się uroczystości odpustowe, które zgromadziły wielu parafian i gości, uczestniczył konsul generalny RP we Lwowie amb. Wiesław Osuchowski. Mszy św., celebrowanej przez kilkunastu księży, przewodniczył Metropolita Lwowski kardynał Marian Jaworski. Śpiewał chór „Polonia” z Warszawy. Ks. kardynał zwracając się do uczestniczących w uroczystości wyraził przekonanie, że postanowienia władz państwowych powinny być respektowane przez wszystkich obywateli „tak, ażeby ludzie zgodnie mogli się modlić i wypraszać pokój i błogosławieństwo Boże dla wszystkich! (...) Panie Jezu spraw, żebyśmy mogli Ciebie w pełni chwalić w tej świątyni”.

Rzymskokatolicka wspólnota parafialna zrzeszona przy kościele św. Marii Magdaleny (licząca 870 wiernych według spisu przeprowadzonego w tym roku) od 1991 roku stara się o zwrot kościoła odebranego przed 44 laty przez władzę radziecką. Kiedy po wizycie Jana Pawła II na Ukrainie prezydent Leonid Kuczma wydał dekret dotyczący zwrotu obiektów sakralnych wiernym, rzymskokatolickiej wspólnocie wydawało się, że dotyczy to i lwowskiego kościoła św. Marii Magdaleny. Niestety, istniejące we Lwowie dawne kościoły rzymskokatolickie, a jest ich 30, zostały przekazane wiernym obrządku grekokatolickiego, prawosławnego i innych Kościołów. We Lwowie czynnych jest tylko 5 kościołów rzymskokatolickich, z czego 2 – katedra i kościół św. Antoniego – były otwarte w okresie ZSRR, a 3 nowe zostały wybudowane w ostatnich latach – w dzielnicach Zboiska i Rzęsna oraz kaplica na Sichowie, przy wydanej pomocy wiernych z Polski. Ponawiane prośby, petycje i apele, kierowane do władz lokalnych oraz do kancelarii prezydenta Ukrainy, nie doprowadziły do zwrotu świątyni MM. Od 1962 roku należy do Politechniki Lwowskiej, w której wpięć urządzono klub młodzieżowy, a następnie salę koncertową z organami. – Jest ona niezbędna dla kulturalnego życia miasta – twierdzą lwowskie władze odmawiając zwrotu kościoła, pomimo zarejestrowania w urzędach administracji państwowej statutu parafii św. Marii Magdaleny.

Wspólnota parafialna korzysta z tej świątyni od 2001 roku na zasadach odpłatności za odprawiane nabożeństwa, bez możliwości korzystania z organów. Nie może w niej też przechowywać żadnego mienia kościelnego – nie przekazano jej pomieszczenia na zakrystię, a baptysterium zamieniono na toalety. W 2004 r. zażądano

trzykrotnie większej opłaty za usługi komunalne. Parafianie muszą tolerować aroganckie zachowanie dyrekcji i pracowników sali organowej. 31 maja jej dyrektor J. Winnicki zażądał od zakrystianina usunięcia z ołtarza wszystkich rzeczy religijnego kultu, w tym także krzyży, w związku z mającym się odbyć koncertem „na ołtarzu”. Oburzeni parafianie zablokowali miejsce przed głównym ołtarzem i pozostali w kościele, aby nie dopuścić do profanacji przedmiotów kultu i uczuć ludzi wierzących. Koncert się nie odbył, sprawa nabrała rozgłosu, interweniował Konsul Generalny RP we Lwowie – dyrektor Domu Muzyki Organowej, czyli kościoła św. M.M. został zawieszony w czynnościach.

„(...) Kościół rzymskokatolicki nigdy kultury nie niszczył, a więc muzyka, a tym bardziej muzyka organowa nie powinna stanąć na przeszkodzie zwrotu świątyni wiernym, a raczej ma pomagać wszystkim w drodze do Boga – powiedział ks. bp Leon Mały, proboszcz kościoła św. Marii Magdaleny, podczas uroczystości odpustowych w tej świątyni. Tym bardziej że parafianie popierają pomysł, aby w zwróconym kościele odbywały się nadal koncerty muzyki organowej – w katedrze rzymskokatolickiej w Kamieńcu Podolskim odbywają się również imprezy muzyczne.

Podobnego zdania są mieszkający we Lwowie rodacy. Apelują o zwrócenie uwagi na realizację praw konstytucyjnych obywateli Ukrainy wyznania rzymskokatolickiego, na relacje pomiędzy władzami miasta i polską mniejszością. Wiązała ona duże nadzieje z nowymi, demokratycznymi władzami, dla których hasłem była m.in. poprawa stosunków polsko-ukraińskich. Rzeczywistość nie wygląda tak, jak deklarowali ukraińscy politycy obecnie sprawujący władzę...

Pielgrzymka kresowian...

– świadków zbrodni ukraińskich nacjonalistów OUN-UPA na Jasną Górę odbyła się 23 września br. W Kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej odbyła się Msza św. w intencji zamordowanych Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA. Mszę odprawił kapelan Twierdzy Jasna Góra o. ppłk Jan Golonka, a kazanie wygłosił ks. Tadeusz Pater.

Po Modlitwie Wiernych i odśpiewaniu *Boże coś Polskę*, złożono kwiaty pod Tablicą Pamięci Zamordowanych Polaków w Kaplicy Pamięci Narodu im. O. Augustyna Kordeckiego. Potem odbyła się konferencja kresowian, którą prowadził prezes SUOZUN Szczepan Siekierka.

Większe prawa dla Polaków za granicą

Prawo do posiadania podwójnego obywatelstwa, głosowanie korespondencyjne i Kartę Polaka obiecał Polonii amerykańskiej premier Jarosław Kaczyński podczas wrześniowej wizyty w USA. Dotyczy to nie tylko rodaków zamieszkałych w Ameryce, ale także tych za wschodnią granicą RP.

Polacy zamieszkali w byłych republikach radzieckich będą usatysfakcjonowani przede wszystkim Kartą Polaka. Projekt ustawy, którą ma się zająć Sejm, wprowadza pojęcie „Polaka zagranicznego”. Żeby zostać uznany za osobę pochodzenia polskiego, trzeba mieć co najmniej jedno z rodziców lub dziadków Polaków, znać

język polski i kultywować polskie tradycje. A gdy się już „Polakiem zagranicznym” zostanie, otrzyma się prawo do uzyskania długoterminowej wizy polskiej i nawet osiedlenia się w Polsce. *Jest to pierwsza tego typu inicjatywa rządowa. Ma prowadzić do tego, by sytuacja Polaków na Wschodzie i w Polsce na Zachodzie stała się lepsza i jaśniejsza* – powiedział Jarosław Kaczyński „Rzeczpospolitej”.

Oby została jak najszybciej uchwalona przez Sejm RP.

Pamięci ks. Janusza Popławskiego

W tym roku minęła trzecia rocznica śmierci ks. Janusza Popławskiego, wieloletniego prezesa Oddziału Stołecznego TMLiKPW, członka Zarządu Głównego i kapelana Towarzystwa. Tak, jak każdego roku, lwowianie, kresowianie i przyjaciele oddali hołd Jego pamięci.

W kaplicy Zakładu Niewidomych w Laskach, gdzie spędził On ostatnie lata życia, bratanek ks. Janusza, ks. Jarosław Popławski, odprawił w koncelebrze dwóch księży-seniorów uroczystą mszę. W homilii przypomniał wspaniałą postać swojego Wuja. Potem uczestniczący w mszy, przy biciu dzwonu, w towarzystwie sióstr Franciszkanek udali się do grobu ks. Janusza. Po krótkiej modlitwie, złożeniu kwiatów i zapaleniu zniczy odśpiewali pieśń „*Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa*”. Odwiedzili też sąsiedni cmentarz, gdzie spoczywa bard lwowskiej piosenki, Jerzy Michotek. W obecności Jego żony złożyli na grobie kwiaty, zapalili znicze i odmówili modlitwę.

Lato Polonijne

Ponad 300 osób z 44 krajów, w tym z Ukrainy, uczyło się języka polskiego, poznawało naszą kulturę i historię podczas Lata Polonijnego, które po raz 32 zorganizował Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Przez 3 tygodnie uczestniczyli w kursach i programach m.in. metodyki i nauczania języka polskiego, studium dla instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych. Odwiedzili najciekawsze miejsca w Polsce, takie jak Kraków, Warszawa, Kazimierz Dolny. Na koniec pobytu mogli zdawać egzamin przed państwową komisją i uzyskać urzędowy certyfikat potwierdzający znajomość języka polskiego.

Wśród uczestników Polonijnego Lata nie dominują już ludzie o polskich korzeniach.

190. rok szkolny

1 września br. w szkole nr 10 we Lwowie, założonej 5 października 1816 r. przy kościele św. Marii Magdaleny rozpoczął się jubileuszowy 190. rok szkolny. W uroczystej inauguracji uczestniczyli: Konsul Generalny RP we Lwowie amb. Wiesław Osuchowski, ks. biskup Leon Mały, prezes Koła Lwowian w Londynie Mieczysław Hempel.

Ponad 300 uczniów naucza 35 nauczycieli, większość to absolwenci tej szkoły. Najstarszym nauczycielem jest pani Maria Iwanowa – ma za sobą 49 lat pracy pedagogicznej! „Magdusię” ukończyli m.in.: reżyser filmowy Janusz Majewski, śp. ks. Janusz Popławski, redaktor kwartalnika „Cracovia – Leopold” Andrzej Chlupalski. Od wielu lat szkoła stara się o zwrócenie jej historycznego patronatu św. Marii Magdaleny. Zależy to od władz oświatowych w Kijowie.

Prezes TKPZL Emil Legowicz wręczył 10 nauczycielom dyplomy uznania przyznane przez Towarzystwo, a dyrektor „10” Marta Markunina wręczyła nagrody nauczycielom - jubilatów w pracy pedagogicznej.

Gratulacje i pomyślności w jubileuszowym roku szkolnym!

15-lecie wałbrzyskiego TMLiKPW

Założycielką Oddziału Wałbrzyskiego TMLiKPW była lwowianka Romana Stach, „matką chrzestną”, tj. zarejestrowała z ramienia ZG Towarzystwa powstanie oddziału – Danuta Tabińska-Juhasz, a pierwszym prezesem wybrano lwowianina, wałbrzyskiego dziennikarza Jarosława Haka. Po nim prezesem została Romana Stach i jest nim do dzisiaj. Jej przypadek zaszczyt zorganizowania jubileuszu oddziału.

Odbył się w Teatrze Zdrojowym w Szczawnie Zdroju. W obchodach uczestniczyli: delegacja Zarządu Głównego TMLiKPW z prezesem Andrzejem Kaminskim na czele, poseł na Sejm Ziemi Wałbrzyskiej Henryk Gołębiowski, prezydent Wałbrzycha Piotr Kruczkowski, burmistrz Szczawna Zdroju, a powiat wałbrzyski reprezentował Edward Podgórski. Przybyły delegacje z zaprzyjaźnionych oddziałów Towarzystwa z Kłodzka, Jeleniej Góry, Klubu „Leopolis” z Wrocławia, związków Sybiraków, Boryslawiaków i Drohobyczan, z którymi wałbrzyscy lwowiaci ściśle współpracują, oraz duże grono przyjaciół TMLiKPW.

Wałbrzyski oddział Towarzystwa liczy ok. 50 członków. Urządzają co roku tradycyjny „opłatek”, „jajko wielkanocne” i obchody rocznic: Obrony Lwowa, 11 Listopada, 3 Maja i inne, na które zaprasza b. mieszkańców Drohobycza, Borysławia, których tu się wielu osiedliło. Każdego roku członkowie TMLiKPW wraz z członkami rodzin i sympatykami jadą do Lwowa i na Kresy. W tym roku byli na obchodach 350-lecia Ślubów Króla Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej, odwiedzili też Cmentarz Obrońców Lwowa, Wzgórza Wuleckie, gdzie rozstrzelano profesorów lwowskich, oddając hołd ich pamięci.

Pani prezes R. Stach nie zanudzała zebranych w Teatrze Zdrojowym. Powitała wszystkich serdecznie i oddała głos artystom Kabaretu Kresowego „Paka Ryca”. Zabawiali uczestniczących w jubileuszu, na przemian, wierszami satyrycznymi Mariana Załuckiego i popularnymi piosenkami lwowskich batiarów, weteranów, panny Andzi, choć nie zabrakło też poważnych, nastrojowych. Nowy program „Paka Ryca” bardzo się podobał zebranym. Potem zostaliśmy zaproszeni na Biesiadę Kresową w Bacówce w Lubominie, gdzie czekały na nas pyszne pierogi lwowskie i inne potrawy kuchni kresowej z bratruży, tzn. piekarnika. Przy ich degustacji odbyła się przełożona wcześniej część oficjalna – mowy powitalne, gratulacje, wręczenie dyplomów, upominków itp. pani Prezes od jubileuszowych gości. Zasłużyła na nie – niejeden prezes oddziału, czy klubu mógłby się od niej nauczyć, jak znaleźć sponsorów, zorganizować imprezę, spotkanie.

Jej działalność dla środowiska kresowego i na zewnątrz, np. ze szkołami, doceniły także władze miejskie i od 1 października Oddział Wałbrzyski TMLiKPW otrzymał pomieszczenie na samodzielną świetlicę w centrum

miasta. To najcenniejszy prezent jubileuszowy – ucieszyła się prezes Roma Stach. Umożliwi jej szerszą działalność oddziału, współpracę z innymi stowarzyszeniami. Gratulujemy, powodzenia Romo!

Senat pomógł odnowić polską szkołę

Od dwóch lat Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego w Stanisławowie starało się, za pośrednictwem „Wspólnoty Polskiej”, o przyznanie dotacji na remont pomieszczeń klas polskich w miejscowej Szkole Ogólnokształcącej nr 3. W tym roku Senat RP przyznał dotację. Z przyznanych środków wyremontowano łącznie 11 sal, zaplecze metodyczne oraz nadano europejski standard toaletom dla uczniów i nauczycieli. Rodzice dzieci pomogli w uporządkowaniu pomieszczeń po remoncie, w umeblowaniu i udekorowaniu klas. 1 września ich dzieci rozpoczęły naukę w jakby nowej szkole. Dyrekcja szkoły wręczyła dyplomy z podziękowaniem panu Mirosławowi Rowickiemu, który czuwał nad sprawnym przeprowadzeniem wszystkich prac oraz prezes TKP im. Fr. Karpińskiego Wandzie Ridosz za starania o fundusze na rzecz remontu polskiej szkoły. A rodzice uczniów dziękują Senatowi RP za pomoc.

Panteon UP-owców?

Banderowcy planują wzniesienie w stolicy Ukrainy Kijowie monumentalnego „panteonu bohaterów walk narodowo-wyzwoleńczych”. Spoczęliby tam m.in. Roman Szuchewycz, współodpowiedzialny za zamordowanie wraz z Niemcami profesorów lwowskich w 1941 r., Stefan Bandera, który wraz z Szuchewyczem, współpracując z hitlerowcami, utworzył batalion „Nachtigal”, Andrij Melnik, który zakładał z Konowalcem UPA, Jarosław Stečko – jeden z dowódców „Nachtigal” i „prowydnyk” OUN po śmierci Bandery. We Lwowie też wznoszą pomnik Bandery.

Chyba że „niebiescy”, będący obecnie u władzy, pokrzyżują te plany ukraińskich nacjonalistów...

Wakacje tłumaczan

Już czternasty raz z rzędu członkowie oddziału ogólnopolskiego TMLiKPW Tłumacz i sympatycy spędzali dwa tygodnie czerwca w wojskowym ośrodku wypoczynkowym nad morzem w Kołobrzegu. Pogoda dopisała, zdrowie też, posiłki były smaczne, więc było miło i wesoło. Urządzono spotkania, grille, nawet tańczono, w czym przodował „szeryf” turnusu Jerzy Czyżycki. Tradycyjnie już odwiedzono piękny cmentarz wojenny, gdzie leżą żołnierze, głównie polscy z I Armii WP, ale także i rosyjscy, którzy zdobywali Festung Kolberg. Zapalili znicze na ich grobach i oddali hołd ich pamięci.

Po powrocie z udanych wczasów nad polskim Bałtykiem tłumaczanie spotkali się ponownie – tym razem

z dziećmi i wnukami na pielgrzymce w Siedlakowicach, niedaleko Wrocławia, gdzie w miejscowym kościele znajduje się obraz św. Anny Samotrzeciej, który zdołał ich parafię w Tłumaczu i wraz z ekspatriowanymi z Kresów przywiózł go ks. Franciszek Piszczór. Obraz „wędrował” po parafiach, aż wreszcie „osiedlił się na stałe” w Siedlakowicach. Mszę św. odprawił proboszcz ks. Stanisław Kulig, śpiewał Chór Seniora „Ballada” z Wrocławia, a tłumaczanie prosili swoją Madonnę przede wszystkim o zdrowie. A potem, przy wspólnym stole i poczęstunku, wspominali udane wczasy w Kołobrzegu, wycieczki na Kresy w rodzinne strony... Żegnano się: do zobaczenia w przyszłym roku nad morzem!

Więści ze Lwowa

● Koncertem galowym w Operze Lwowskiej, z udziałem artystów z Polski i Przemyskiej Orkiestry Kameralnej zakończył się 8 września br. III Międzynarodowy Festiwal Wielokulturowy „Gallia”. Patronat nad koncertem sprawowały małżonki prezydentów Polski i Ukrainy – panie Maria Kaczyńska i Kateryna Juszczenko.

● Obchody 130 rocznicy śmierci Aleksandra hr. Fredry zapoczątkował Teatr Polski we Lwowie wystawieniem jego komedii „Dawny spór”. Główne uroczystości odbyły się w Rudkach, gdzie A. Fredro został pochowany w rodzinnym grobie w krypcie kościoła.

● Rodzina Rodzin Lwowa tradycyjnie zorganizowała w Seminarium Duchownym w Brzuchowicach letni wypoczynek „Wakacje z Bogiem” dla najbardziej potrzebujących rodzin. Lwowskie rodziny są wdzięczne władzom kościelnym Archidiecezji Lwowskiej za umożliwienie im letniego wypoczynku w tak cudownym miejscu.

● Jak poinformowano, w sposób niezgodny z prawem, niecelowy lub z naruszeniem norm budżetowych wykorzystano środki państwowe (19,2 miliona grywni) przeznaczone na zachowanie dziedzictwa architektonicznego we Lwowie. Konserwację, rekonstrukcję oraz remonty 21 zabytków przeprowadzono bez zezwolenia Ministerstwa Kultury, a także bez ustalenia zadania konserwatorskiego.

● 19 lipca, w biały dzień, nieznani sprawcy skradli z polskiego autokaru, zaparkowanego na ul. Piekarskiej, rzeczy osobiste i pieniądze turystów, którzy w tym czasie zwiedzali Lwów. Straty oszacowano na 14 tys. grywni (ponad 2,5 tys. USD).

● Mer Lwowa Andrij Sadowyj marzy o postawieniu przed operą fontanny, która ma być jedną z najpiękniejszych fontann w Europie. Miejski Komitet Wykonawczy już zamówił jej projekt...

● Lwowski oddział partii „PORA” domaga się od prezydenta Ukrainy, by rozwiązał parlament. W apelu do parlamentarzystów czytamy: „Wasze ambicje polityczne dzielą naród ukraiński i sieją apatię. (...) Zróbcie miejsce dla nowego pokolenia...”

● Dwadzieścioro polskich dzieci-sierot gościło w lipcu we Lwowie. Zwiedziły miasto, zamki na Ziemi Lwowskiej oraz kilka dni wypoczywały w Karpatach.

● Setny sezon artystyczny Filharmonia Lwowska zainauguruje oratorium Josepha Haydna „Stworzenie świata”.

● W parku Stryjskim po raz drugi zakwitły kasztany...

KRONIKARZ KRESOWY

Mira Bodak

Medal wdzięczności

28 sierpnia br. przedstawiciele Zarządu Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Częstochowie uhonorowali abp. Stanisława Nowaka okolicznościowym medalem. Członkowie

Towarzystwa podkreślali zaangażowanie i zainteresowanie Księdza Arcybiskupa etapami prac budowy pomnika Orląt Lwowskich oraz opiekę duszpasterską podczas uroczystości wmurowania kamienia węgielnego (21 maja br.), poświęcenia i odsłonięcia pomnika (9 czerwca br.). „Medal ten niech będzie wyrazem wdzięczności za zaangażowanie Księdza Arcybiskupa w budowę pomnika i mobilizację do działania. Jesteśmy wdzięczni, że do ka-



Fot. Mira Bodniak

Ksiądz Arcybiskup otrzymuje medal z rąk Wacława Baczyńskiego (pierwszy z prawej) i Zbigniewa Fliszcza (z lewej)

Łukasz Wylęgała Gródek Jagielloński

Miasto położone 33 km od Lwowa, pomiędzy rozlewiskami rzeki Wereszycy ujętymi w śluzy, zwanymi stawem gródeckim (zwanym również drozdowieckim od północy) i czerlańskim. Pierwsza wzmianka o powstaniu miasta pochodzi z roku 1213. 20 IX 1655 r. hetman Potocki założył obóz w Gródku do obrony przeciw Moskalom i Chmielnickiemu:

„Dnia 29 września (...) tegoż dnia jednakże nie dopisało to szczęście naszemu przy Gródku obozującemu wojsku. Hetman Potocki mniemał, że ów staw, który miasteczko oblewa i wielu źródeł wody szeroko rozlane w sobie zawiera ochronę dla wojska będzie dostateczny, i tylko groblę osadził myśląc napadających odpędzać nieprzyjaciół. Chmielnicki zaś chciał z pola spędzić szczupłą naszych konnicę, aby bezpieczniej z tyłu usunąwszy przeszkody mógł Lwów szturmować; dla tego próbując szczęścia, gdy się straż po pobliskich krzakach rozbiegła, miasteczko zapalił, a unikając grobli, przez błotniste bagna, kilku budami obsadzone, niespodziewanie przeszedł, i naszych z przodu napadnięcia oczekujących z tyłu napadł nad spodziewanie.

*Wstrzymywali jednakże nasi do 3 godzin dzielnie siłę nieprzyjaciół i z przodu i z tyłu nacierających, ale ponieważ bardzo wielu walczących ginęło, musiał hetman przy pomieszanych szeregach i wielką liczbą nieprzyjaciół otoczony cofnąć się musiał w końcu.**

Potem Chmielnicki rozpoczął obleganie Lwowa. Do 1 stycznia 1906 r. miasto nazywano Gródkiem Słonym (od mieszczącego się tu głównego składu soli z żup ruskich), kiedy to austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych zgodziło się na zmianę nazwy na „Gródek Jagielloński”, na prośbę komitetu obchodów odsłonięcia pomnika Władysława Jagiełły (był częstym gościem Gródka, 31 maja 1434 r. król zmarł tu na zamku, jego serce zostało pochowane w kościele franciszkańskim). Od strony zachodniej znajdowało się przemieście Zastawskie, od wschodu przedmieście Lwowskie i Podgaje, od południa przedmieście Czerlańskie. Istniało również „miasto żydowskie” Gnin założone w 1680 r. przez

płacy parafii św. Melchiora Grodzieckiego, sąsiadującej z placem Orłat Lwowskich, z inicjatywy abp. Stanisława Nowaka został wprowadzony obraz lwowskiej Matki Bożej Łaskawej” – powiedział prezes Towarzystwa, Wacław Baczyński. Metropolita Częstochowski otrzymał także dokumentację pomnika.

Na początku września Towarzystwo wyróżniło medalem również o. dr. Jana Golonkę, paulina i ks. Marka Olejniczaka, kapelana Towarzystwa. Medal ten, podobnie jak z okazji poprzednich uroczystości TMLiKPW, został wykonany przez Leszka Wieluńskiego (jako jedno z ostatnich jego dzieł przed śmiercią). Na awersie znajduje się łuk triumfalny z lwami lwowskiego cmentarza oraz napis: *Mortui sunt ut liberi vivamus* (Umarli, abyśmy mogli żyć), który widnieje również na częstochowskim pomniku. Rewers zdobią herby: Lwowa, Częstochowy i Towarzystwa. □

starostę Jana Gnińskiego i niemiecka kolonia Vorderberg (od 1788 r.). Był tu główny skład soli z żup ruskich. Miasto było ważnym ośrodkiem handlu i rzemiosła. W drugiej połowie XIX wieku do miasta doprowadzono kolej. Było tu wielu Polaków, dowodem jest odsłonięcie w 1903 r. pomnika Władysława Jagiełły. Oto co pisała o Gródku encyklopedia z 1855 roku:

Gródek, miasto powiatowe, w obwodzie lwowskim, nad rzeką Wereszycą i dużym stawem, zwane dawniej Słony Gródek, ma parafie własne obrządku rzymsko- i grecko-katolickiego, urząd powiatowy, pocztę, magistrat, szkołę główną założoną w r. 1842 o 4-klasach, do której uczęszcza 212 uczniów, na 548 dzieci uzdolnionych do szkoły, szkołę żeńską z 146 uczennicami, na 438 uzdolnionych do szkoły dziewcząt, kościół farny założony w r. 1419 przez Władysława Jagiełłę; niegdyś starostwo. Miasto zajmuje 6 160 morgów ziemi, 7 605 mieszkańców, między temi jest 2 755 katolików obrządku rzymskiego, 2 530 greckich, 13 niekatolików, 1 983 żydów. Gminy majątek ceniony na 151 644 złp., długi na 11 248 pln., dochodu rocznego 83 148 złp. Jest tu zakład dla ubogich, fundowany przez Zygmunta Augusta r. 1566; w latach 1690 i 1718 pomnożyli fundację Paweł i Zuzanna z Alenbeków Kozłowscy, dziś wynosi fundacja 4 530 złp., czyni 320 złp. rocznie i służy na utrzymanie 5 ubogich. Okolica obfituje w len, który zakupują mieszkańcy leśnych okolic nadwiślańskich, którzy dostarczają znowu przędzy górskim mieszkańcom sanockiego, jasielskiego i sandeckiego obwodów. Powiat obejmuje 5,4 mil obszaru, miasto, 31 wsi, 4 203 domostw, 5 069 rodzin, 25 075 głów ludności. Po zupełnym spustoszeniu miasta, uczynił tu Władysław Jagiełło w r. 1389 nową lokację i przeniósł mieszkańców z prawa ruskiego na magdeburskie. Sprzedał Jagiełło wójtostwo Mikołajowi Ulrykowi za 30 grzywien i nadał mu różne prawa. W r. 1390 (pisze Paprocki pod Klejnotem wiel. ks. litewskiego) zajęła Jadwiga Gródek, wraz z innymi Rusi miejscami, gdy zabrawszy wojsko Polaków, wyrzuciła stąd „Szlazaki i Węgry, którymi one zamki zlecone były od jej ojca”. Tenże wspomina o wtargnięciu w r. 1490 Tatarów do ziem ruskich i podolskich „aż do miasta Gródka”. Kazimierz IV odnowił r. 1469 przywileje tego miasta. Póź-



Fasada kościoła parafialnego w Gródku Jagiellońskim (stan z 1988 r.)

niejsze nadania są z r. 1510; w r. 1537 Zygmunt I pozwolił po napadzie Tatarów z powodu spustoszenia, obrać czopowe na obwarowanie miasta. W r. 1547 zaleca tenże staroście jak najmocniej, ażeby mieszczan do żadnych roboczn nie zmuszał, tylko na ratunek miasta mają się stawić za danem hasłem. Ustanowił także radę miejską, do której starosta ma mianować 2 rajców, wójtostwo 1, a gmina 1, oraz ponowił pozwolenie użytkowania z lasów. Zygmunt August nadaje w 1550 r. nowe prawa i zabrania żydom w mieście się osiedlać. Przywileje dla rymarzów, paśników, siodlarzy i czapników, pozwalają tylko katolików przyjmować. Bednarze, kołodzieje, stelmachy, tokarze i garncarze, mają także przywileje. Lustracja z r. 1616, wycisza rzeźników 8, płatnerza i stelmacha po jednym na usługę zamkowej. W r. 1655 pokonał w okolicy Chmielnicki dnia 28 Września garstkę wojska polskiego, pod dowództwem Stanisława Potockiego, hetmana wielk. koron. Lustracja z r. 1662 podaje 22 domów w mieście, a było już przedtem 78, w ulicach zaś 10, przedtem zaś było 82. W ogrodach zamkowych założył starosta Jan Gniński, wojewoda chełmiński, miasteczko dla żydów, pod nazwą Gnin. Jan III potwierdził r. 1684 fundację Gnin. Starosta należał do królowej Maryi Józefy, po której zgonie w r. 1757 otrzymał je Jan Małachowski, kanclerz wlk. księ. litew. Lustracja z r. 1765, opisuje między innymi: domów między wałami 77, placów pustych 24, browarów 4; za wałem i bramą niegdyś krakowską: domów 58, przedmieścia: Lwowskie, Czerlańskie i Zastawskie. Gospodarzy 348, zagrodników około 300; do jurydyk kościelnych domów należących 108; cerkwie 3: fara ś. Barbary, ś. Mikołaja, ś. Stanisława szpitalny i klasztor księży Franciszkanów na Podzamczu, gdzie

było 38 gospodarzy katolików. Żydowskie miasto Gnin, liczyło 62 domów, 124 komorników, browarów 18, a 3 pańskich i woskóbinię. Ostatni posiadacz Jacek Małachowski, referendarz koronny, opłacał po zajęciu kraju rządowi austriackiemu w r. 1772 kwarty 24 613 złp. 28 gr. Kościół Franciszkanów fundacji Jagiełły, który w tem mieście umarł, zaziębivszy się przy słuchaniu śpiewu słowika (3 Maja 1434 r.) i którego serce tu złożone było został zniesiony przez rząd austriacki.

W czasach zaborów i w okresie międzywojennym miasto było siedzibą powiatu i gminy. W mieście w 1929 r. znajdowały się następujące urzędy: Komenda Powiatowa Policji, Urząd skarbowy, podatkowy i opłat, Kasa skarbową, Urząd ewidencji katastru podatku gruntowego. Kościoły: 1 greko-katolicki (pw. Zwiastowania Matki Bożej), 3 rzymsko-katolickie (św. Mikołaja i św. Jana Chrzciciela) i 1 synagoga żydowska. Stowarzyszenia: cechy: szewców, kowali i rzeźników. 12 gorzelń (w 1911 r.). Straż ogniowa ochotnicza. Targi co czwartek. W latach międzywojennych na Stawie Gródeckim urządzono „Port Ligi Morskiej i Kolonialnej”.

Liczba ludności Gródka Jagiellońskiego w latach 1880-1929

1880	10 116
1890	10 742
1900	11 845
1910	12 973
1921	10 491
1929	10 082

We wrześniu 1939 r. samoloty niemieckie zbombardowały stację kolejową. Gdy front się zbliżał stąd Polacy spodziewali się ataku wojsk niemieckich z zachodu, tu sformowano obronę (w oparciu o batalion marszowy 40 pułku piechoty mjr. Kubicza). Jednak wypadki zmusiły wymarsz batalionu do Dąbrowicy w nocy z 12 na 13 września. Do miasta napływali uciekinierzy z zachodu niosący wiadomości o Niemcach. 13 września 1 niemiecka dywizja zajęła Gródek. W 1941 r. było w mieście ponad 5000 Żydów. Zgodnie z umową niemiecko-sowietką miasto przejęło ZSRR. Pod koniec czerwca 1941 r. Niemcy zaatakowały ZSRR i miasto ponownie zajęli Niemcy, którzy natychmiast utworzyli getto dla Żydów. Większość Żydów wywieziono do obozów pracy w Jaktorowie, Winnikach i we Lwowie lub bezpośrednio do obozu koncentracyjnego w Belżcu. W maju 1943 r. zlikwidowano getto, ostatnich jego mieszkańców rozstrzelano i pogrzebano w masowej mogile w Artyszowie. W końcu lipca 1944 r. Armia Czerwona zajęła Gródek. Od 1945 do 1946 r. wszystkich zamieszkałych tu Polaków zmuszono do wyjazdu „za San” do nowej Polski.

* Kronika Miasta Lwowa od roku 1634 do 1690, w tłumaczeniu M. Piwockiego, Lwów, 1854

Bibliografia:

- Ostrowski J. K. – Dawny kościół p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Klasztor oo. Franciszkanów w Gródku Jagiellońskim [w:] Kościoły rzymskokatolickie dawnego woj. Ruskiego; Kościoły Wschodnie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej 1772-1914. Witold Kolbuk. Lublin 1992 KUL, s. 175; Encyklopedia z lat 1858-64, Warszawa 1864; Księga Adresowa Polski z 1929 roku; Wasiutyński B. – Ludność żydowska w Polsce w wiekach XIX i XX, Studium statystyczne, Warszawa 1930. □

Wspomnienia o lwowskim harcerstwie (szkic historyczny) (I)

Narodziny skautingu – harcerstwa

Skauting, nazwany później harcerstwem, powstał i ukształtował się w Polsce jeszcze pod zaborami, we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej, krótko przed wybuchem I wojny światowej. Aby zrozumieć genezę utworzenia się harcerstwa, podówczas nazywanego jeszcze skautingiem, trzeba zrozumieć środowisko w jakim ono powstało. Lwów w średniowieczu był ośrodkiem handlu między Wschodem a Zachodem. Zawsze wierny (Semper Fidelis) Rzeczypospolitej opierał się najazdom ze Wschodu: Tatarów, Turków, Kozaków, Wołochów, Bolesławów w 1920 roku. Zamieszkały przez mieszkankę narodowości: Polaków, Rusinów (Ukraińców), Niemców, Żydów, Ormian, Wołochów, Włochów, które żyły i współpracowały ze sobą zgodnie.

W wyniku I rozbioru Polski w 1772 r., Lwów leżący w Małopolsce, zwanej odtąd Galicją, przypadł Austrii. W zaborze austriackim początkowo występuje silny nacisk germanizacyjny, wywierany przez nasłanych urzędników austriackich. W drugiej połowie XIX wieku zmiany ustrojowe Austro-Węgier prowadzą do dużej autonomii. Język polski staje się w przeciwieństwie do innych zaborów językiem urzędowym w Galicji, której stolicą jest Lwów. Powstaje polskie szkolnictwo, polskie uniwersytety w Krakowie i we Lwowie, Politechnika Lwowska. Powstaje autonomiczny Sejm Galicyjski we Lwowie, a Polacy obejmują niekiedy kluczowe stanowiska w parlamencie i rządzie austriackim. Powstają liczne polskie organizacje o różnicowanym charakterze, od naukowych po paramilitarne. W organizacjach tych występują tendencje patriotyczne, dążące do odbudowy polskiej państwowości.

Jedną z najstarszych organizacji polskich w Galicji, powstałą na wzór czeski w roku 1867, jest towarzystwo gimnastyczne „Sokół-Macierz” głoszące hasło: „W zdrowym ciele – zdrowy duch”, które odegra kluczową rolę w utworzeniu się skautingu. Duży wpływ na ukształtowanie się polskiego skautingu miały też organizacje: niejawnie „Zarzewie”, kultuwujące wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe oraz „Eleusis” głoszące abstynencję od tytoniu i alkoholu. Wpływ tych trzech organizacji na tworzący się w Polsce pod zaborami skauting miał na celu wychowanie polskiej młodzieży do walki zbrojnej o odzyskanie niepodległości.

Pierwsze informacje o skautingu pochodzą od Edwarda Naganowskiego, sekretarza Londyńskiego Towarzystwa Literackiego, który na podstawie bezpośrednich rozmów z jego twórcą Baden Powellem, zamieścił je 16 i 17 listopada 1909 r. w lwowskim dzienniku „Słowo Polskie”.

„Sokół”, jako najlepiej przygotowany organizacyjnie, przystępuje do tworzenia skautowych drużyn sokolich. Już latem 1910 r., na kursie sokolim w Skolem, we Wschodnich Bieszczadach zaznajamia się uczestników ze skautingiem.

Pierwsza Lwowska powstała właściwie 1 stycznia 1911 roku, kiedy to nauczyciel i członek „Sokoła – Macierzy” Czesław Pieniążkiewicz w bursie im. Tade-

usza Kościuszki zawiązał w tym dniu z wychowanków bursy, uczniów lwowskich szkół średnich, liczącą 20 osób, tzw. skautową drużynę młodzieży sokolej.

W dniu 26 lutego 1911 roku odbyło się we Lwowie zebranie „Sokoła – Macierzy”, przy udziale przedstawicieli „Zarzewia” i „Eleusis”, na którym prof. Eugeniusz Piasecki wygłosił referat o skautingu, jako najbardziej wskazanym systemie wychowawczym polskiej młodzieży.

20 marca 1911 r. rozpoczął się we Lwowie pierwszy informacyjny kurs skautowy, który zgromadził ok. 200 uczestników, poszerzony o kilkudniowe ćwiczenia praktyczne w Brzuchowicach pod Lwowem, którego komendantem był Jerzy Grodyński, a część zajęć prowadził Andrzej Matkowski.

21 maja 1911 r. powstaje przy „Sokole” we Lwowie Naczelna Komenda Skautowa, przekształcona później w Związkowe Naczelnictwo Skautowe, w skład której weszli: jako komendant naczelny dr Kazimierz Wyrzykowski naczelnik „Sokoła” oraz Andrzej Małkowski, Czesław Pieniążkiewicz, Franciszek Kapatka, Jerzy Grodyński, Alojzy Horak oraz Olga Drahonowska (później Małkowska, żona Andrzeja Małkowskiego).

22 maja 1911 roku Rozkazem dziennym, podpisanym przez Andrzeja Małkowskiego, uformowano cztery drużyny Młodzieży Sokolej, trzy męskie i jedną żeńską. Pierwszą powołaną drużyną była I Lwowska Drużyna Skautowa, im. Tadeusza Kościuszki, której drużynowym został Czesław Pieniążkiewicz.

Dzień 22 maja 1911 r. uznany został dniem powstania skautingu – harcerstwa w Polsce, a I Lwowska Drużyna Skautowa uznana została za najstarszą polską drużynę harcerską.

W lipcu 1911 r. ukazuje się we Lwowie książka Andrzeja Małkowskiego pt. „Scouting jako system wychowania młodzieży”, oparta na podręczniku Baden Powella z 1908 r. 15 października 1911 r. rozpoczyna się wydawanie we Lwowie dwutygodnika „Skaut”, który będzie ukazywał się do roku 1939. Idea skautingu zaczyna rozprzestrzeniać się ze Lwowa najpierw na Małopolskę, a w szczególności na Małopolskę Wschodnią, a następnie na ziemie polskie pod zaborami rosyjskim i pruskim.

W roku 1911 powstają pierwsze drużyny skautowe w Krakowie. Jednym z ich założycieli jest Stanisław Pigoń, późniejszy wybitny historyk literatury polskiej i filolog, profesor Uniwersytetu Wileńskiego i Jagiellońskiego, więzień Sachsenhausen.

Później nieco, na przełomie lat 1913-1914, na kursie skautów krakowskich, jaki odbył się w Kuźnicach koło Zakopanego, wykładami byli m.in. lwowianie: Jadwiga Falkowska, od 1912 r. komendantka żeńskich drużyn skautowych, podczas II wojny światowej zastępczyni komendantki Wojskowej Służby Kobiet ZWZ-AK, zamordowana podczas Powstania Warszawskiego oraz Eugeniusz Romer, późniejszy znakomity geograf, twórca nowoczesnej kartografii, profesor UJK we Lwowie, zasłużony w ustalaniu granic odradzającego się państwa polskiego, ekspert w rokowaniach pokojowych w Paryżu w 1918 r. oraz w Rydze w 1921 r.

W drugiej połowie 1911 roku wyjeżdża ze Lwowa do Warszawy pierwsza grupa instruktorów w składzie: J. Grodyński, M. Affanasowicz, J. Falkowska, M. Neugebauer, J. Gąsiorowski. Powstają w Warszawie pierwsze trzy drużyny skautowe oraz tajna Naczelna Komenda Skautowa, która w sprawach zasadniczych będzie podlegała Związkowemu Naczelnictwu Skautowemu we Lwowie.

Tadeusz Strumiłło, delegowany ze Lwowa do Wilna, doprowadza do powstania w Wilnie trzech pierwszych drużyn skautowych. W sierpniu 1912 r. J. Grodyński oraz T. Strumiłło udają się do Poznania, gdzie zapoznają członków „Sokoła” z ideą skautingu. W efekcie tego wyjazdu powstaje tam pierwsza drużyna skautowa.

Pierwszy zastęp skautowy powstał w Kijowie w 1912 roku. Stanisław Sedlaczek, delegowany ze Lwowa do Kijowa, przekształca tam pod koniec 1915 roku Naczelną Komendę Skautową w Naczelne Kierownictwo Harcerskie dla Rusi i Rosji.

Stanisław Sosabowski, późniejszy generał i legendarny dowódca Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Szkocji, tworzy w 1911 roku trzy drużyny skautowe w rodzinnym Stanisławowie.

W tym samym czasie działa w drużynie skautowej w Drohobyczu Michał Tokarzewski, późniejszy generał, który w przededniu poddania Warszawy, 27 września 1939 roku, tworzy konspiracyjną Służbę Zwycięstwu Polski, przekształconą później w ZWZ, a następnie w Armię Krajową.

Pierwszym publicznym wystąpieniem młodzieży skautowej był jej udział w obchodach Święta 3 Maja w 1912 roku. Do zgromadzonych wówczas skautów i skautów przemawiał ks. bp Władysław Bandurski, który do końca swojego życia pozostał wiernym przyjacielem harcerstwa.

W czerwcu 1912 r. ukazał się we Lwowie podręcznik prof. Eugeniusza Piaseckiego i Mieczysława Schreibera pt. „Harce młodzieży polskiej”. Autorzy nawiązywali w nim do tradycji polskiej i proponowali staropolskie nazewnictwo: harce, harcerstwo, harcerz, harcerka. Wtedy właśnie powstało hasło „Czuwaj” jako pozdrowienie skautowe. Zaproponowane przez prof. Piaseckiego nazewnictwo szybko się rozprzestrzeniło.

Z okazji 50-lecia Powstania Styczniowego odbył się w lipcu 1913 roku we Lwowie Zlot Sokoli pod przewodnictwem gen. Józefa Hallera, w którym wzięło udział 1100 skautów.

Pierwszy obóz skautowy Pierwszej Lwowskiej, w którym udział wzięli także druhowie z innych drużyn, odbył się w 1912 roku w Ostalowicach koło Przemyśla, w majątku Fundacji hr. Skarbka. Stanowił on połączenie płatnej pracy zarobkowej jako podstawy utrzymania obozu oraz typowych ćwiczeń skautowych. Praca polegała głównie na różnych robotach leśnych.

W roku 1913 skauci polscy, głównie z Galicji, uczestniczyli w Światowym Zlocie Skautowym w Birmingham, w Wielkiej Brytanii, pod dowództwem Michała Affanasowicza, drużynowego IV Lwowskiej Drużyny Skautowej.

Nad obozem skautów polskich powiewała flaga polska i widniał napis „Poland” za zgodą gen. Baden Powella mimo tego, że wówczas Polski nie było na mapach świata. W Zlocie tym uczestniczył z grupą skau-

tów z Trembowli Klemens Rudnicki, późniejszy generał, więzień łagrów sowieckich, bohaterski dowódca spod Monte Cassino i w kampanii włoskiej, późniejszy dowódca 1 Dywizji Pancerniej.

W Skolem w Bieszczadach od roku 1910 i w latach następnych odbywały się kursy instruktorskie, w których uczestniczyli również przedstawiciele zaborów rosyjskiego i pruskiego. Wśród instruktorów będzie tam Józef Haller, a wśród uczestników ks. dr Jan Mauersberger.

W Małopolsce Wschodniej, ówczesnej Galicji Wschodniej, obejmującej późniejsze województwa: lwowskie, tarnopolskie oraz stanisławowskie, administrowały później dwie Chorągwie Lwowskie ZHP, męska i żeńska.

Na obszarze tym, nazywanym również Ziemią Lwowską, w okresie tworzenia się skautingu, tj. w latach 1911-1914, do wybuchu I wojny światowej utworzono 82 drużyny skautowe, skupiające ok. 4000 skautów i skautów oraz ok. 130 instruktorów i instruktoerek. W okresie tym skauting rozwijał się na bazie wychowanków szkół średnich: gimnazjów, seminariów nauczycielskich, szkół zawodowych.

Niniejszy szkic daje jedynie niepełny obraz lwowskiego skautingu – harcerstwa, z wyraźniejszym podkreśleniem dziejów Pierwszej Lwowskiej.

I wojna światowa, walki polsko-ukraińskie, wojna polsko-sowiecka

Wychowanie skautowe przed rokiem 1914 zaowocowało w latach 1914-1920 dużym udziałem skautów w walkach o niepodległość Polski.

W ciągu niespełna tygodnia od wybuchu wojny w 1914 roku większość skautów lwowskich znalazła się w Legionach. Zasilili oni przede wszystkim Legion Wschodni, w którym znalazło się kilkuset skautów. Dowódcą jednego z oddziałów skautowych w Legionie Wschodnim został drużynowy I Lwowskiej, Czesław Pieniążkiewicz. Oddział ten przestał istnieć, gdy we wrześniu 1914 roku został rozwiązany w Mszanie Dolnej Legion Wschodni, gdyż legionieści nie chcieli składać przysięgi na wierność cesarzowi Austrii.

Wobec zajęcia Lwowa przez Rosjan w początkowej fazie wojny część skautów lwowskich znalazła się w Zakopiańskiej Drużynie Skautowej, której kierownictwo przejął dh Czesław Pieniążkiewicz. Inna część skautów lwowskich uczestniczyła w walkach Legionów Piłsudskiego. Wielu z nich w tych walkach zginęło. M.in. zginęli: ppor. Stanisław Szumski z IV Lwowskiej, Adam Libański pod Kostiuchnowką, Adam Łyżoń z VI Lwowskiej pod Krzywopłotami, Antoni Trojanowski z III Lwowskiej, Stanisław Dobrzański z I Lwowskiej. Do legendy urosła postać skauta z Rzeszowa, Leopolda Lisa Kuli, który w wieku 17 lat wstąpił do Legionów Piłsudskiego. Wyróżniał się wyjątkową odwagą i męstwem. Zginął w marcu 1919 roku w walkach z Ukraińcami jako podpułkownik.

Pod koniec 1915 roku, po wyparciu Rosjan, wrócił do Lwowa dh Pieniążkiewicz obejmując komendę I Lwowskiej, która wówczas rozrosła się do ponad 100 skautów. Na wiosnę 1916 r. została ona podzielona na kilka drużyn. W okresie tym spośród wielu czynnie działających w I Lwowskiej Tadeusz Sulimirski, późniejszy rektor

Polskiego Uniwersytetu w Szkocji oraz Zdzisław Szydłowski, późniejszy dowódca pułku w Dywizji Pancerniej gen. Maczka.

Przekazanie 1 listopada 1918 roku przez Austrię Lwowa Ukraińcom było zaskoczeniem i napotkało z miejsca na żywiołowy opór Polaków. Linia frontu podzieliła miasto na część polską i ruską. Drużyny skautowe nie występują w formie zorganizowanej, lecz wszyscy skauci włączają się do walki w najbliższych im ogniskach oporu. Drużynowy I Lwowskiej Mikołaj Wójtowicz oraz wszyscy trzej przybocznicy tej drużyny: Józef Dobiecki, Stanisław Morawiecki i Zdzisław Szydłowski zgłosili się do obrony Lwowa do Domu Techników, pod komendą por. Widackiego.

W obronie Lwowa starsi skauci biorą udział z bronią w rękę, młodzi natomiast jako łącznicy, utrzymując często łączność pomiędzy podzielonymi dzielnicami miasta. Przypomnieć należy, że większość starszych skautów była jeszcze w tym czasie w Legionach lub w wojsku austriackim.

Wielu skautów w walkach polsko-ukraińskich poległ lub wzięci do niewoli zostali rozstrzelani przez Ukraińców. Zginie Jerzy Grodyński, jeden z twórców polskiego skautingu, członek Związku Naczelnictwa Skautowego, b. drużynowy VII Lwowskiej. Zginął: Leonard Rajewski i Mikołaj Wójtowicz, s. drużynowy I Lwowskiej, zginął również: Tadeusz Podhrebelny z III Lwowskiej, Stefan Klamut z VII Lwowskiej, Ludwik Kornella z I Lwowskiej, 14-letni Jerzy Bitschan i najmłodszy 13-letni kawaler orderu „Virtuti Militari” Antoni Petrykiewicz.

Michał Tokarzewski, skaut z Drohobycza, późniejszy generał, organizuje w Krakowie 5 pułk piechoty, rusza na odsiecz Lwowa, wypiera Ukraińców z miasta i broni go jeszcze przez prawie 4 miesiące, uzyskując za te wyczyny bojowe order „Virtuti Militari”.

W marcu 1919 roku dh Józef Dobiecki jako komendant oddziałów skautów I Lwowskiej eskortuje z Warszawy do Lwowa 4 wagony kolejowe z bronią i amunicją. W obronie Lwowa i Małopolski Wschodniej zginęło 73 harcerzy i harcerki.

W dniach 1 i 2 listopada 1918 roku zwołany został do Lublina zjazd przedstawicieli wszystkich organizacji harcerskich, który uchwalił połączenie tych organizacji w jeden Związek Harcerstwa Polskiego, pod przewodnictwem Naczelnej Rady Harcerskiej, w miejsce dotychczasowego Związku Naczelnictwa Skautowego. Nie było na tym zjeździe delegacji ze Lwowa, gdyż w tym czasie toczyły się w tym mieście walki polsko-ukraińskie, w których czynny udział brała młodzież skautowa. W uznaniu zasług skautów lwowskich w walkach lat 1918-1919 sztandar Chorągwi Lwowskiej został uhonorowany orderem „Krzyża Obrońców Lwowa”.

Zamierzając, jak głoszone, „po trupie Polski opanować Europę, a później cały świat” Rosja Sowiecka uderzyła w 1920 roku na nasz kraj, powodując odruch obrony polskiego społeczeństwa gotowego bronić niedawno odzyskanej niepodległości.

W wojnie polsko-bolszewickiej uczestniczyło ok. 9 tysięcy harcerzy z bronią w rękę i ok. 15 tysięcy harcerki i harcerzy w służbie pozafrontowej. Szczególnie duży był udział harcerzy z Małopolski Wschodniej w oddziałach Armii Ochotniczej, Jak wspomina dh Józef

Dobiecki w pierwszych dniach sierpnia 1920 roku poszliśmy z 25 chłopcami z I Lwowskiej, jako pluton w kompanii ckm 1 batalionu 240 pułku piechoty Armii Ochotniczej. Dowódcą baonu był ppłk Aleksander Domaszewicz, dowódcą kompanii był por. Malinowski, a dowódcą plutonu był początkowo ppor. Kuliwieszka, a po jego kontuzji jako sierżant był jego następcą J. Dobiecki.

Hufiec lwowskich drużyn zgłosił z początkiem sierpnia 1920 roku z dr. Małopolskiej Armii Ochotniczej ok. 400 ochotników. 8 lipca 1920 roku generał Józef Haller obejmuje przewodnictwo ZHP, w przededniu objęcia dowództwa nad głównym, środkowym odcinkiem frontu, na którym wkrótce rozegra się decydująca o losach wojny Bitwa Warszawska.

Na szczególne wspomnienie zasługuje bitwa pod Zadwórzem koło Lwowa, w której zginęło wielu lwowskich harcerzy. Zadwórze, ok. 30 km od Lwowa, znane jest jako „Polskie Termopile”. 17 sierpnia 1920 roku oddział polskiej piechoty, złożony głównie z uczniów szkół średnich, powstrzymał tam natarcie na Lwów wielkich sił Armii Konnej Budionnego. Cały oddział, liczący 318 żołnierzy polskich, zginął zasiekany bestialsko przez nieporównanie liczniejszą konną jazdę Budionnego. Bohaterstwo polskich żołnierzy upamiętniono usypując w tym miejscu kurhan.

W III Powstaniu Śląskim brali udział jako ochotnicy również lwowscy harcerze. Jednym z nich był Tadeusz Łaskiewicz z I Lwowskiej, ranny w walkach pod Górą Świętej Anny.

Okres II wojny światowej

Kampania wrześniowa

W wojskowych jednostkach zmobilizowanych w 1939 roku znalazło się wśród oficerów, podoficerów i szeregowych wiele tysięcy harcerzy, którzy w boju wykazali harcerską postawę.

Płk Adam Ajdukiewicz, mianowany później generałem, był drużynowy I Lwowskiej w 1914 r., dowodził we wrześniu 1939 roku 26 DP w ciężkich walkach Armii „Pomorze”, w tym w walkach nad Bzurą. Ciężko ranny. Odznaczony został m.in. orderem „Virtuti Militari”.

Por. Artur Feja, skaut III Lwowskiej, z 19 p.p. „Odsieczy Lwowa”, odbywał szlak bojowy jako dowódca kompanii ckm z Wrocławia do Puszczy Kampinowskiej. W połowie września 1939 r. bierze udział w ciężkich walkach z niemiecką 3 Dywizją Pancerną. Organizuje improwizowaną obronę przed atakiem czołgów niemieckich przy użyciu działek ppanc., których załoga została wybita. W jej wyniku zniszczono 5 czołgów niemieckich, a 2 uszkodzono i obroniono sztab gen. Kutrzeby. Odznaczony m.in. orderem „Virtuti Militari”.

Podchor. hm. Jan Wąsowicz, z 40 p.p. „Dzieci Lwowskich”, b. komendant Chorągwi Lwowskiej ZHP, późniejszy profesor SGGW w Warszawie, brał udział w obronie Warszawy z początkiem września 1939 r. Jadąc na front 40 p.p. został zatrzymany w Warszawie i nocą rzucony do zachodnich dzielnic miasta, by rankiem 8 września 1939 r. bohatersko odeprzeć zmasowany atak niemieckich dywizji pancernych. Dwudniowe ciężkie walki 40 p.p. zmusiły sztab niemiecki do zmiany planu zaatakowania stolicy i zapobiegły zajęciu Warszawy w pierwszych dniach września 1939 roku. Za swoje czyny bojowe odznaczony m.in. orderem „Virtuti Militari”.

Płk Roman Dzierżanowski, skaut I Lwowskiej sprzed I wojny światowej, bierze udział w słynnej szarży 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich w dniu 17 września 1939 r., która przebiła pierścień wojsk niemieckich wokół Warszawy i umożliwiła wypłynięcie części Armii „Poznań” i „Pomorze” do stolicy. Wyróżnia się zaszczytnie w boju pod Górkami i tam zostanie ciężko ranny. Odznaczony m.in. orderem „Virtuti Militari”.

Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, skaut drohobycki, był dowódcą etapów Armii „Pomorze”, brał udział w bitwie nad Bzurą i wraz z resztkami Armii „Poznań” i „Pomorze” przedostał się 17 września 1939 r. do stolicy, gdzie został zastępcą gen. Rómmla, dowódcy Armii „Warszawa”. Gdy stolicy zagrażała całkowita zagłada, jeszcze przed poddaniem Warszawy zdecydował się przejść do konspiracji i kontynuować walkę w podziemiu. W dniu 27 września 1939 roku rozpoczął organizację konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski, poprzedniczki Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Znacznie wcześniej odznaczony orderem „Virtuti Militari”.

Płk Adam Epler, skaut I Lwowskiej, dowódca dywizji „Kobryń” w SGO „Kock”, walczył skutecznie bez porażek, zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami. Po bitwie pod Kockiem uniknął niewoli, działał w konspiracji i w końcu przedostał się na Zachód, do polskich formacji wojskowych. Odznaczony m.in. orderem „Virtuti Militari”.

Gen. Eilhelm Orlik-Rückeman, dowódca zgrupowania wojsk KOP-u, walczył bez porażek zarówno z Niem-

cami, jak i z Sowietami. Odznaczony m.in. orderem „Virtuti Militari”.

We wrześniu 1939 roku w obronie Lwowa przed Niemcami walczyła ochotnicza Kompania Harcerska pod dowództwem por. phm. Zbigniewa Czekańskiego, który potem został aresztowany i w 1941 roku zamordowany przez NKWD.*

Wielu harcerzy walczyło we Lwowie we wrześniu 1939 roku w oddziałach ochotniczych lub pełniło służbę obserwacyjną obrony przeciwlotniczej oraz służbę radiową. Np. Jerzy Michotek, harcerz I Lwowskiej, późniejszy aktor, reżyser i piosenkarz ranny w walkach oddziałów ochotniczych, aresztowany przez NKWD, przebywał 5 lat w łagrach sowieckich w rejonie Workuty, poruszając się o kulach.

W obronie Lwowa w 1939 roku harcerze I Lwowskiej biorą udział w obronie przeciwlotniczej, obsługując punkt obserwacyjny na wieży wodnej na Nowym Lwowie. Był to jeden z czterech punktów obserwacyjnych miasta, który nie został zniszczony i jako jedyny przetrwał do końca walk o Lwów. Po dojściu wojsk niemieckich pod miasto stał się jednocześnie punktem obserwacyjnym dla polskiej artylerii.

Istotny udział w działalności obrony przeciwlotniczej odegrała II Lwowska Drużyna Harcerska Łączności im. R. Traugutta, specjalnie przeszkolona w kierunku telegraficzno-łącznościowym.

W kampanii wrześniowej zginęło wielu harcerzy, w tym m.in. Antoni Pawłowski, b. drużynowy I Lwowskiej i z tejże drużyny Aleksander Lisowski. (c.d.n.)

Mieczysław Kowal

Wspomnienia Heleny Kotowicz

Pani Helena Kotowicz z domu Tomczyk mieszka również w Głogowie Młp., jest matką koleżanki mojej mamy. Jest chora, po ciężkiej operacji oczu, niechętnie wraca wspomnieniami do ciężkiego dzieciństwa, ale jej opowiadania uzmysłowiły mi jak trudno było być dzieckiem, zarazem pomocnikiem matki w dalekiej Republice Komi.

Urodziłam się w roku 1932 w Bratkowicach koło Rzeszowa. Ojciec w 1938 r. kupił ziemię w miejscowości Olszanka Mała koło Złoczowa, niedaleko Tarnopola i już jesienią 1939 r. przeprowadziliśmy się do nowego domu. Zamieszkaliśmy w pięknym, murowanym, nowo wybudowanym domu. Ojciec chciał zapewnić nam dostatnie życie, pragnął nas kształcić. Myśleliśmy, że rozpoczynamy nowy, lepszy rozdział w życiu. Niestety wybuchła II wojna światowa, pokrzyżowała plany i marzenia.

10 lutego 1940 r. zostaliśmy obudzeni przez NKWD i dostaliśmy nakaz opuszczenia domu. Mieliśmy 15 minut na spakowanie się. Mama wzięła trochę odzieży i jedzenia. Zostaliśmy ulokowani w pociągu i wywiezieni z miejscowości Olszanka Mała. Moja rodzina składała się z rodziców i sześciorga dzieci: starszych brata Stasia i siostry Marysi, mnie Heleny, miałam wtedy 8 lat, dwóch młodszych braci Jasia i Tadzia oraz najmłodszej siostry Zosi, która miała 2 latka.



Fot. M. Kowal

Z prawej Helena Kotowicz po dekoracji i przy stole w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie ze swą ukochaną córką Elżbietą

Podróż była bardzo ciężka – bydzące wagony, zimno, brak wody, jedzenia, ciasno.

W takich warunkach dowieziono nas do miejscowości Kotłas, następnie podróżowaliśmy furmanką. Nikt nie wiedział dokąd nas wiozą, co się z nami stanie. Dojechalismy do Republiki Komi, do miejscowości Syktywkar. Jakies 3 km od tego miasta był zakład

przetwórstwa drewna, jakby tartak. W pobliżu były drewniane baraki, które miały stać się naszym domem na długie cztery i pół roku. W jednym domu zamieszkały 3 rodziny. Nie było osobnych izb, wszyscy mieszkaliśmy razem. W pomieszczeniu był piec i drewniane prycze. Musieliśmy żyć w zgodzie, bo tylko tak można było przeżyć. Dzieci bawiły się razem. Dorośli musieli pracować w zakładzie, my zostawialiśmy sami bez opieki.

Mama pracowała przy obróbce kłoców, ojciec wykonywał specjalistyczne prace, gdyż był stolarzem. Pracować musiał także najstarszy brat Stanisław. Młodsze dzieci nie pracowały, ale był obowiązek chodzenia do rosyjskiej szkoły, która była oddalona od naszej osady o 2 km. Uczyliśmy się razem z miejscowymi dziećmi, ale nie było między nami niezgody, żyliśmy w przyjaźni. Również nauczyciele nie robili żadnych różnic. Ludność tutejsza bardzo dobrze się do Polaków odnosiła, bardzo nam współczuli.

Kiedy przyjechaliśmy do Syktywkaru byłam jeszcze małą 8-letnią dziewczynką, ale wcześniej musiałam dojrzeć, stać się dorosłą i odpowiedzialną osobą. Przede wszystkim opiekowałam się młodszym rodzeństwem, gdy rodzice pracowali.

Latem wspólnie z rodzeństwem chodziliśmy do lasu zbierać grzyby, borówki, brusznice. Las oddalony był od domu o 10 km, trzeba było przeprawić się promem, ubierać jagód czy grzybów, sprzedawać je. Czasem tę czynność powtarzaliśmy kilkakrotnie, żeby jak najwięcej zyskać.

To co uzbieraliśmy zamienialiśmy na kromkę chleba, część zostawialiśmy sobie. Mama była bardzo zaradną kobietą, wiedziała że jagody to jedyne źródło witamin na zimę, więc suszyła je oraz kisła w dużej beczce wykonanej własnoręcznie przez ojca. Często zimą mama sprzedawała tak przetworzone owoce, co było dodatkowym źródłem zarobku.

Tak więc my, małe dzieci wykonywaliśmy bardzo ciężką pracę, zapewnialiśmy cenny pokarm na ciężkie zimowe dni, a zima w tych okolicach jest bardzo długa, trwa 9 miesięcy i jest bardzo ostra, temperatura spada do -50°C. Wtedy najczęściej nękały nas choroby. Mnie dotknęła malaria, przeszedłam czerwone. Jednej zimy całą głowę miałam w ropie. Była to choroba spowodowana ochłodzeniem organizmu. Wezwany lekarz stwierdził, że należy zrobić operację, bo za kilka dni może być za późno. Zabieg wykonał na żywo, bardzo cierpiałam, była to nieprzyjemna operacja, ale zakończyła się dobrze.

Moi najbliżsi również chorowali, np. na szkorbut. Mama była bardzo chora na cyngę, przez 9 miesięcy nie mogła chodzić, leżała w łóżku. Nogi miała pokryte wrzodami, całe w ranach. Dzięki Bogu, również i ona wyzdrowiała. Gdy nas wywieziono mama była w ciąży, już na Syberii urodził się brat Józio. Niestety przeżył tylko 1,5 roku, miał wątyły organizm i nie wytrzymał surowych warunków życia. Tam umarł i został pochowany.

Byliśmy ciągle głodni. Rodzice pracowali w zakładzie i tam dostawali ciepłą supę. Mama oszczędzała ją i przynosiła tę ciepłą strawę, coś tam zawsze dodała i tym się żywiliśmy. Oprócz tej zupy rodzice otrzymywali chleb: po 800 g dziennie dla pracujących i po 200 g dla nas, dzieci. Wszystko to było bardzo mało, brakowało

nam niezbędnych składników do rozwoju. Byliśmy wycieńczeni, głodni. Aby żyć często kradliśmy owoce i warzywa z ogrodów. Pewnego razu siostra Marysia ukradła psa jednemu enkawudziście, gdyż mięso to było przysmakiem. Zrobiła się straszna awantura. Marysia musiała uciekać z naszej miejscowości, bo groziło jej więzienie. Uciekła do jakiegoś kolchozu, tam pracowała i w ten sposób rozpoczęła samodzielne życie. Rozdzieliliśmy się i później już sama wróciła do Polski.

Mój ojciec często miewał „prorocze sny”. Jednej nocy śniło mu się, że wybuchnie wojna sowiecko-niemiecka. Powiedział o tym przy robocie swoim kolegom. Ktoś oczywiście doniósł na niego władzom, tato został aresztowany. Zarzucono mu, że jest „szpionem” i uwięziono. Nam jako rodzinie szpiega zabrano dokumenty, czyli przestaliśmy istnieć, mieliśmy zginąć.

Wojna rzeczywiście wybuchła i ojca przeniesiono z więzienia do „trudarni”. Tam ciężko pracował, strasznie wychudł, był cieniem człowieka. Wreszcie zaryzykował ucieczkę, było mu wszystko jedno. Przekupił flaszką wódki kierowcę ciężarówki, ukrył się pod balami drewna i tak wrócił do nas.

Żyło się nam bardzo ciężko. Brakowało wszystkiego. Nie mieliśmy mydła, myliśmy się samą wodą. Aby wyprać ubrania mama robiła ług i w tym prała. Ciągłe walczyliśmy z karaluchami, pluskwami i wszami. W takich skupiskach ludzi jedni dbali o higienę, inni nie zwracali uwagi i ciągle były insekty, nie można było ich wytępić.

Kiedy mama poczuła się lepiej i mogła już chodzić przeniesiono ją do łżejszej pracy. Pracowała w kolchozie przy świniach. Często przynosiła do domu jedzenie, którym żywiono świnie i my to jedliśmy – taki był głód. Czasem sami chodziliśmy do kolchozu i wynosiliśmy w specjalnych schowkach wszytych w spodnie świńskie jedzenie, które potem sami spożywaliśmy.

Chleb kupowaliśmy na kartki – te określone normy, ale tego było mało. W mieście sprzedawano również chleb bez kartek, ale trzeba było stać w kolejce całą noc. W kolejce za chlebem staliśmy zawsze my – najmłodsze dzieci. Ciężko było stać całą noc, zimno, ale byliśmy tacy mali i sprytni, że podchodziliśmy do przodu między nogami dorosłych, czasami „obróciliśmy” kilka razy i kupiliśmy 2 czy 3 bochenki chleba.

Pamiętam bardzo smutne święta Bożego Narodzenia, bez Wigilii, choinki, Pasterki oraz głodne święta Wielkanocne. Któregoś roku, gdy była Wielkanoc litościwa komska gospodyni dała nam 1 jajko, było ono jedyne jakie udało mi się zjeść przez całe cztery i pół roku. Nie wiedzieliśmy co to święta, niedziela, nie było cerkwi, kościoła. Wolne w zakładzie dawano co określoną liczbę dni, rzadko wypadała niedziela.

Mój brat Stanisław zgłosił się na ochotnika do I Armii Wojska Polskiego, miał wtedy 16 lat. Przeszedł cały szlak I Armii aż do Berlina.

Po czterech i pół roku przebywania w Syktywkarze pozwolono nam przenieść się w dogodniejszy klimat. Wyjechaliśmy wszyscy, oprócz nieobecnych Stasia i Marysi, do miejscowości Ertel koło Woronierza. Tu rodzice pracowali w kolchozie i warunki naszego życia polepszyły się. Mieliśmy więcej jedzenia, klimat był łagodny, nie nękały nas już choroby. W Ertelu mieszkaliśmy półtora roku.

Nie mieliśmy żadnych dokumentów, bo jak wspominałam moja rodzina miała zginąć – jako rodzina szpiega. Trudno nam było bez dokumentów starać się o powrót do Polski. Jednak w końcu udało się i 10 lutego 1946 r. wyjechaliśmy z Ukrainy. 16 marca 1946 r. przyjechaliśmy do Żagania.

Zamieszkaliśmy w miejscowości Kunów koło Sobótki, położonej 40 km od Wrocławia. Tam ukończyłam siódmą klasę i szkołę średnią. Ponieważ miałam rodzinę w Bratkowicach koło Rzeszowa, często przyjeżdżałam tam na wakacje. Poznałam tam mojego przyszłego

męża. Mama ciągle bała się, że znowu wybuchnie wojna i nasze miejsce zamieszkania uważała za bardzo niebezpieczne. Dlatego gdy wyszłam za mąż namawiała nas abyśmy zamieszkali koło Rzeszowa. Tak też się stało. W Głogowie Młp. postawiliśmy dom, w którym mieszkam z córką Elżbietą do dziś – powiedziała p. Helena Kotowicz.

W dniu 15 września 2006 r. w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie odbyła się podniosła uroczystość, na której p. Helena Kotowicz została udekorowana Krzyżem zesłańców Sybiru przez Wicewojewodę, wśród wielu innych. □

Częstochowa czci wielką rocznicę

1 kwietnia 2006 r. w 350. rocznicę ślubów króla Jana Kazimierza w Katedrze lwowskiej, pięcioosobowa grupa członków Częstochowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich złożyła wiązkę żywych kwiatów w Sali Rycerskiej Klasztoru Jasnogórskiego pod tablicą upamiętniającą to historyczne wydarzenie.

Miejscem wyjściowym był pomnik Prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego.



Od lewej stoją: Zbigniew Białas, Eugenia Pytlarz, Jerzy Turkiewicz i Zbigniew Fliszczyk. To wydarzenie było odnotowane w lokalnej prasie.



Od lewej stoją: Jerzy Turkiewicz i Eugenia Pytlarz – członkowie Oddziału, Wacław Baczyński – prezes i Zbigniew Białas – sekretarz.

Fot. Jerzy Turkiewicz, Zbigniew Fliszczyk

Feliks Cały Mój rok 1939

O roku ów kto ciebie widział w naszym Kraju...

W roku szkolnym 1938/39 mieszkam w Bursie Grunwaldzkiej jako stypendysta Zarządu Królewskiego Stołecznego Miasta Lwowa i uczęszczałem do Liceum Administracyjnego, mieszczącego się naprzeciw Biblioteki Politechnicznej i zajmującej piętro IV. Gimnazjum i Liceum.

W Bursie należałem do VI Lwowskiej Drużyny Harcerskiej, dokąd przenieśliśmy się w 1937 roku z I LDH. W Szóstce byłem zastępowym sekretarzem i kronikarzem Drużyny.

Drużynowym VI LDH był wówczas sprawujący funkcję prefekta hm. Stanisław Budzyński, student AM. Jako porucznik WP we wrześniu 1939 r. dowodził on grupą ochotników i w starciu z Niemcami zginął w dniu 19 IX koło Zamarstynowa. Pochowany został przez swoich podkomendnych – z udziałem księdza – na dziedzińcu kościoła Kapucynów, skąd późną jesienią rodzina z Gabrielówki przeniosła go na cmentarz Janowski. Fakt ten zrelacjonowany jest przez świad-

ka w III tomie „Od lat najmłodszych do późnej siwizny”.

Ponieważ bieżący rok był rokiem maturalnym, nieco mniej byłem zaangażowany w sprawy drużyny harcerskiej. Uczyłem się i udzielałem jeszcze korepetycji z języka francuskiego dwu młodszemu o rok koledze.

W marcu, w porozumieniu z dyrektorem Bursy prof. Roskoszem i dyrektorem Liceum dr. Homikiem, naczelnik Wydziału Zarządu Miasta Lwowa Józef Tymków zabrał mnie do siebie, do pięknej willi na Kleparowie po to żebym się do matury przygotowywał razem z jego synem, też Józefem, a moim kolegą z klasy, który miał poważne kłopoty z nauką. W pobliżu mieszkał trzeci nasz kolega klasowy Michał Cap. Przygotowywaliśmy się we trójkę. Michał był wspaniałym sportowcem, ale uczniem gorszym. Obecnie jednak robił wszystko, żeby braki uzupełnić, zupełnie inaczej niż Józek, który wszystko traktował na wesoło, a kłopoty pozostawiał rodzicom. Pracowaliśmy intensywnie, ale w przerwach w nauce biegaliśmy treningowo po Górkach Kleparowskich – po tych samych, po których niedługo po tym we wrześniu, w ramach Harcerskiej Kompanii chodziłem z karabinem na patrole zwiadowcze. Wzięliśmy też we trójkę udział w biegu przełajowym o mistrzostwo szkół średnich Lwowa i przynieśliśmy naszemu profesorowi od gimnastyki Stanisławowi Gutowi dyplom za trzecie miejsce. Znalazłem też czas na zrobienie wspólnie z kolegą Czesławem Kozłowskim TABLEAU abiturientów naszej maturalnej klasy. Wówczas modne było umieszczanie na tableau zdjęć Żydów. Tak zrobił oddział A. Ja na tablo oddziału B umieściłem wszystkich razem z 5 uczniami Żydami. Bardzo się tym naraziłem swemu wychowawcy Zygfrydowi Dąbrowskiemu i nie tylko jemu – a miałem w przyszłości jeszcze doznać gorzkiej podziękii ze strony jednego z kolegów Żydów (ale o tym później).

Ja i Michał maturę zdaliśmy. Odnoszę maleńki, ale szczęśliwy dla Michała epizodzik – zdawaliśmy po czterech, według alfabetu, ja, Michał Cap, Chirowski Mieczysław (w przyszłości kawaler Krzyża Wirtuti Militari) i Ludwik Denysiak. Najślabszy był Michał, a najbardziej obawiał się języka francuskiego. Pytania z j. francuskiego losowaliśmy. Michał miał dobrze przygotowany jeden temat. Ten temat wylosowałem ja, zmieniliśmy kartki i Michałowi poszło gładko.

Józek odpadł przy pisemnej. Takie były to czasy, że nawet eksponowane stanowisko ojca nie chroniło syna – trzeba się było uczyć. Mała dygresja: Już w jesieni 1939 r. NKWD aresztowało obu Józefów Tymkówów, ojca i syna, i obaj zginęli w lwowskim więzieniu. Matka i córka zostały wywiezione na Sybir. Matka zmarła tam. Córka wróciła z wojskiem Berlinga. Tak się złożyło, że w grudniu 1944 r. byłem w Rzeszowie, oglądałem przechodzących żołnierzy. Z grupy maszerujących żołnierzy-dziewcząt wyskoczyła Tymkówna i rzuciła mi się na szyję. Nie poznałbym jej, krzyknęła: to ja Bunda (tak ją wolaliśmy), była w kufajce śmierdzącej kapustą, była gruba, obrzmiała, a niegdyś to była śliczna dziewczynka. Dowódca oddziału pozwolił, porozmawialiśmy, od niej dowiedziałem się tragicznej historii jej rodziny. Niestety nie znam jej dalszych losów.

W kwietniu 1939 r. trudna dotychczas sytuacja materialna mojej rodziny poprawiła się, bo została zwrócona ojcu wstrzymana od trzech lat renta inwalidzka wraz z wyrównaniem poważnych zaległości i odsetkami. Niestety w maju zmarł mój ojciec. Pochowaliśmy go na

cmentarzu Janowskim 7 km od ojca rodzinnej Rzęsny Polskiej. Z powodu śmierci ojca cała suma pieniędzy, jako masa spadkowa, została zdeponowana w banku – i w banku przepadła pod sowieckimi rządami.

Po maturze gorączkowo zabrałem się do przygotowania się do egzaminu wstępnego na Politechnikę. Nadrabiałem matematykę i fizykę. Przedmioty fizyka i chemia w programie Liceum Administracyjnego nie istniały, a matematyka w skróconym zakresie. Postawiłem sobie karkołomne zadanie nadrobić materiał i zdać na Politechnikę. Miałem już wprawdzie fach, miałem przygotowanie do pracy w administracji, a tata Tymków obiecał mi pracę w Magistracie, ale ja podbudowany lepszą sytuacją finansową rodziny, nie chciałem być urzędnikiem, chciałem zostać inżynierem.

Po odbyciu obowiązkowego obozu pracy w JHP w Wiznej, gdzie budowaliśmy żelbetowe bunkry, które wspaniale we wrześniu zdały egzamin, zapisałem się na kurs przygotowawczy do egzaminu wstępnego na Politechnikę, który odbywał się w II Domu Technika. Tam właśnie w dniu 1 września rano zastała mnie wojna. Jeszcze w tym samym dniu po oglądnięciu skutków wybuchów bomb w okolicy „Kopytkowego” udałem się na ul. Kurkową do Komendy Chorągwi ZHP i zgłosiłem się do Pogotowia Harcerskiego. Dostałem legitymację nr 8. Pierwsze dni wojny dzieliłem na udział w ćwiczeniach wojskowych prowadzonych przez por. hm. Zbigniewa Czekańskiego i na kopaniu rowów pod gmachem Politechniki, bo czułem się duchowo z tym gmachem związane.

W dniu 5 września została zorganizowana ochotnicza Harcerska Kompania Wojskowa i ja jako jej członek zostałem zakwaterowany w Szkole Marii Magdaleny. Kompania nasza początkowo wypełniała zadania zwiadowcze, likwidowała też grupy dywersantów ukraińskich, później była używana do zadań bojowych na północnym odcinku obrony Lwowa. O szczegółach napisałem w I tomie książki wspomnieniowej pt. „Od lat najmłodszych do późnej siwizny”. Miałem też możliwość podzielić się swymi wspomnieniami z tego okresu z członkami Kręgu byłych Skautów Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki na zjeździe w Lewinie Kłodzkim w roku 1991. Więc ten wątek, jako już znany, opuszczę.*

Rozwiązując w dniu 22 września 1939 r. na dziedzińcu Biblioteki Politechnicznej naszą kompanię, por. Czekański podziękował nam za dobrą postawę harcerską, obywatelską, patriotyczną. Powiedział, że jeszcze można próbować przedostać się przez Rumunię na Zachód, ale ostrzegł przed hurabohaterstwem. Powiedział, że nadchodzą ciężkie czasy, że my młodzi jesteśmy Polsce potrzebni żywi, że mamy być rozsądni, że Polska ma martwych bohaterów dosyć. Mamy się przebrać w ubiór cywilny i nie wolno nam dać się wzięć do niewoli.

I znowu dygresja – porucznikowi Czekańskiemu jego własne rady nie pomogły – wiosną 1940 roku przy próbie przekraczania granicy węgierskiej został ujęty, osadzony w lwowskich Brygidkach i tam w czerwcu 1941 roku w czasie likwidacji więzienia zginął – jak opowiadał jeden z współwięźniów, któremu udało się uciec – Czekański zginął tragicznie, wrzucony do kotła z wrzącą wodą.

Wychodząc z gmachu Biblioteki Politechnicznej 22 IX widziałem taki obrazek: dwóch drabów, klnąc po ukraińsku, rzuciło się na młodego porucznika, uderzyli i zażądali „widdaj rewolwer”. Ten po momencie zaskocze-

nia sięgnął do kabury, wyciągnął rewolwer, zastrzelił jednego, drugi uciekł w kierunku ulicy Chrzanowskiej.

Udałem się na ul. Zadwórzeńską 23, gdzie schroniła się z Lewandówki u znajomej rodziny Franczuków moja matka z 11-letnią córką Stanisławą i 13-letnim Tadeuszem, wystraszona przez Niemców, którzy zajęli Lewandówkę. U Franczuków przebrałem się w ubranie cywilne i pobiegłem z powrotem do Biblioteki Politechnicznej poszukać kolegów na wspólny marsz na Zaleszczyki, ale już brama była zamknięta i nikogo nie spotkałem. Wracałem prawą stroną ulicy Sapiehy. Gdy byłem koło Politechniki nadjechał od strony ul. Kopernika oddział sowieckiego wojska na koniach. Dziwne to było wojsko, w długich szynelach, w sukienkach czapkach z czubkiem, z długimi karabinami w rękę i na koniach różnej maści i wzrostu. Na przodzie, też na koniach, jechało dwóch cywilów z czerwonymi opaskami i co jakiś czas wołali „zamykać okna, bo strzelamy” na zmianę po polsku i po ukraińsku z wyraźnym żydowskim akcentem. I faktycznie, jeżeli ktoś ciekawy otworzył okno – strzelali.

Na Zadwórzeńskiej zastałem już dwóch synów Józefa i Tolka Franczuków, którzy też wrócili ze swoich ochotniczych jednostek. Szykujemy się na Rumunię i na Zachód. Czekamy tylko na mojego 17-letniego brata Władysława, który był przy ochronie artylerii i stacjonował na ulicy Pełczyńskiej w gmachu ZEOL-u (późniejsza siedziba NKWD i następnie Gestapo). Władek przyszedł z wiadomością, że już wszędzie Sowietci i że droga zamknięta. To i usilne próby naszych mam spowodowały, że zostaliśmy.

Wróciłem wraz z mamą i rodzeństwem na Lewandówkę. Dom pilnowany przez sąsiada Łukomskiego zastaliśmy w porządku. Zaczęła się ciężka walka o byt, bo przychodów nie było żadnych, a trzeba było żyć i wokół pełno było uciekinierów z zachodniej Polski, którzy wszyscy jak mogli pomagali. Był czas, gdy w naszym niedużym mieszkaniu było 12 obcych osób. Gdy gruchnęła pogłoska, że Sowietci będą wywozić naszych rannych żołnierzy ze szpitala Politechniki, wzięliśmy jednego rannego w bark żołnierza Kaszuba. Temu dopiero po wyleczeniu (lekarz przychodził do domu) w 1940 roku udało się przedostać za San. Po wojnie odszukał on moją matkę we Wrocławiu. Nawiazaliśmy kontakt i nawet z bratem odwiedziliśmy go w jego rybackim gospodarstwie.

Mama poszła do pracy w piekarni, stąd mieliśmy chleb. Brat Władek znalazł pracę przy tramwajach, a ja ze swoją bezużyteczną w tych warunkach maturą, w poszukiwaniu pracy trafiłem na Dworzec Czerniowiecki, gdzie ruscy podstawiali 20-tonowe wagony i ładowano zmagazynowany tam węgiel, który wywozili gdzieś na wschód. Spieszyło im się, więc płacili dobrze za akordowy załadunek. Stałem do tej roboty. Byłem młody, silny, wysportowany, więc zabrałem się ostro do załadunku swojego wagonu. Robota szła mi rażno, załadowałem sam więcej niż dwóch niepozornych robotników do wagonu obok, ale sił ubywało, ręce piekły, wystąpiły bąble, moje tempo malało, a ci obok spokojnie ładowali i rzucali drwinki pod moim adresem. W końcu przyszli do mnie, pouczyli jak należy trzymać szufłę, jak rozłożyć siły, że nie sama siła się liczy – tu nie szkoła – tu trzeba myśleć i głowa się przydaje. Stałem obok mnie, pomogli wagon załadować, a mnie piekły ręce i wstyd, że nie dałem rady. Od tej pory nabrałem szacunku dla ciężkiej pracy fizycznej i szacunek ten

mam do dziś. Po dwóch dniach przerwy wróciłem do ładowania, ponieważ rodzina potrzebowała wsparcia, a ja byłem najstarszy, ale i z przekory – ja muszę sobie z tym poradzić. Pracowałem tam przez cały tydzień i w końcu dorównywałem tym, których to było fachem. Ale akord się skończył, natomiast koledzy przynieśli wiadomość, że nowe władze otwierają Akademię Handlu Zagranicznego, na której każdy student dostaje 150 rubli miesięcznie stypendium. Te 150 rubli zadecydowały, że zapisałem się na AHZ. Większość stanowili Polacy, Ukraińców miejscowych było bardzo mało. Napływali stopniowo studenci z głębokiej Ukrainy, ale też w małych ilościach. Sporo było Żydów. Wykładowcami byli polscy profesorowie, tylko matematykę prowadził profesor Ukrainiec, ale też w polskim języku. Stopniowo zaczęli napływać wykładowcy sowieccy. Wprowadzono przedmiot Marksizm-Leninizm i Historia WKPb oraz ekonomię polityczną.

Młody wykładowca ekonomii politycznej tak zaczął po rosyjsku swój wykład: „Nu dawaj towarzyszczy, my siejczas razbieriom Katerinu, ta jeji reformy”. Miała to być analiza reform przeprowadzonych przez carycę Katarzynę. Ale my języka rosyjskiego nie znaliśmy, a rozbieranie Katarzyny i jej reform – rozumieliśmy jednoznacznie. Sala gruchnęła śmiechem. Skonfundowany wykładowca nie wiedział co począć. Dopiero jeden z nas, taki polski Rosjanin, wytłumaczył w czym rzecz. Trzeba przyznać, że wykładowca przyjął to wyjaśnienie kulturalnie i śmiał się razem z nami.

Powoli, ale systematycznie zmieniano program i niedługo Akademia Handlu Zagranicznego przestała istnieć na rzecz Instytutu Handlu Sowieckiego. Sowieckim zwyczajem powstała tzw. „stiengazeta” z różnymi propagandowymi materiałami. Głównym redaktorem, studentem-Żydem, dowiedział się, że ja robiłem tableau w liceum i zaproponował mi, żebym coś narysował. Narysowałem wysoki brzeg morski, na nim obdartą staruchę, wygrażającą sękatym kosturem płynącemu po morzu okrętowi wojennemu z napisem Deutschland. Na piersi staruchy był napis „England”. Bez podpisu. My, Polacy, rozżaleni „pomocą gwarantów”, wiedzieliśmy jak odczytywać ten obrazek. Dla Rosjan był to żart z Anglików. Skromny ten obrazek wisiał u dołu stiengazety jakiś czas, gdy mnie wezwano na posiedzenie miejscowego Komsomołu, ażeby wytłumaczyć, co ten obrazek znaczy. Oskarżał mnie obecny członek Komsomołu, a jeszcze niedawno mój kolega z liceum, Żyd Artur Szapira. Jeden z tych kolegów Żydów, przez których miałem spore kłopoty u naszego profesora – Zygfryda Dąbrowskiego – wychowawcy klasowego i nie tylko u niego za umieszczenie Żydów na tableau, co wówczas było bardzo niemodne. Nazwał mnie burżuazyjnym reakcjonistą, a to wówczas wystarczało, żeby mnie wyprowadzili drugimi drzwiami – wiadomo dokąd. Tłumaczyłem się, ale słabo mi to wychodziło. Byłem przerażony. Na to wszedł rektor Instytutu R.T. Maniaczenko i zapytał „w czom dieło”? Ja, nie czekając na odpowiedź innych, sam głośno, po ukraińsku (a dobrze tym językiem władałem) zaatakowałem, że Szapira na podstawie mojego w rysunku w gazecie ścienną oskarża mnie o burżuazyjny reakcjonizm. On, który mnie znał z liceum, że jestem synem biednej wdowy, że na przekór innym umieściłem zdjęcia Żydów na tableau, o co miałem poważne kłopoty, a teraz mam taką wywddziękę. Z tym tableau to Szapira? – zapytał rektor. Tak, ale ... zaczął Szapira, ale przerwał mu Maniaczenko: Niczewo, niczewo, ja widziałem ten

rysunek i nic w nim złego nie widzę, a jak wy dumajecie, towarzyszy? Tamci byli zgodni z rektorem – i wyszedłem szczęśliwie tymi drzwiami, którymi wszedłem, ale się już więcej z rysowaniem nie wygłupiałem. Zaliczywszy rok, przeniosłem się na kurs zaoczny i poszedłem do pracy do Sportzawodu na Bogdanówce – ale to było już w 1940 roku.

Ale jeszcze w 1939 r. w listopadzie mój nieco starszy kolega Tadeusz Jedynak (późniejszy generał), znany z klubu Pogoń, której członkami byliśmy obaj, zwerbował mnie do ZWZ. Późnym wieczorem zawiadł mnie na koniec ulicy 11 Listopada do jakiejś willi i tam przed jakimś brodatym w kapeluszu mężczyzną, tytułowanym majorem, przy bardzo skąpym oświetleniu złożyłem przysięgę i dostałem zadanie zorganizowania trzech dziesiątek członków, to jest trzy razy po trzy trójki i trzech dziesiątkowych. Zorganizowałem. Sam miałem trzy trójki, mój brat Władysław też trzy, a następnie następnych trzech trójek stał Jasio Socha. Moim całym kontaktem był Tadeusz Jedynak. Szczęśliwie, bez uszczerbku przetrwaliśmy zimę – ale to już historia roku 1940.

W listopadzie też miałem pierwszą – i chyba najbardziej miłą przygodę miłosną. Moją sztubacką miłością od moich i jej 13 lat – była Stefa. Dla mnie była ona uosobieniem wszelkich cnót, zalet, piękności, anielskości itd. Taką dla mnie pozostała do 1939 r. Widywaliśmy się rzadko, później częściej, a ja poza nią innych dziewcząt nie zauważałem. Leżąc we wrześniu, okopany, pod ostrzałem niemieckich karabinów maszynowych na Hołosku, myśląc, że to być może koniec, wyjąłem z kieszeni bluzy wojskowej na piersi jej zdjęcie i ogryzkiem ołówka na odwrocie napisałem „żegnaj kochana”. A tego słowa dotychczas nie używaliśmy.

W listopadzie przyszła ona pewnego wieczora z ulicy Zdrowie do nas na Lewandówkę z powiadomieniem, że wychodzi za mąż za porucznika z Rzeszowa. Mój świat wówczas stanął na głowie.

I to wszystko zdarzyło się w jednym – 1939 roku.

Postarzałem się, wydawało mi się, o 100 lat. A miałem dopiero 19. I to tych przedwojennych 19 lat.

Moi synowie już czas liczą inaczej.

Potem przyszły następne ciężkie lata wojny i trudne lata powojenne, ale wówczas byłem już twardszy, podhartowany, a ten 1939 uderzył w młodego harcerzyka, jeszcze trochę dzieciaka, i zdruzgotał mu jego idealistyczne widzenie świata.

A świat, niestety, jest jaki jest.

* Ponieważ na zjeździe Kręgu w Lewinie Kłodzkim 27 IX 1992 r. już ten temat szeroko relacjonowałem, obecnie tylko przypomnę niektóre epizody.

1. W czasie wykładu dowódcy Kompanii por. Czechańskiego w sali gimnastycznej szkoły Marii Magdaleny, budynek został ostrzelany przez artylerię niemiecką. Zginął wówczas najmłodszy z nas, siedzący na parapacie okna, i drugi, stojący na warcie we drzwiach. Nazwiska nie ustaliłem. Przed budynkiem, w kolejce po wodę ze studni stały kobiety. Te najbardziej ucierpiały – kilka zabitych i wiele rannych. Jednej z nich, ze strzaskanym kolanem, udzielałem pierwszej pomocy do czasu, gdy z pobliskiego szpitala z gmachu Politechniki pojawiła się fachowa pomoc.

2. Któregoś z początkowych dni pod dowództwem pchor. Wł. Jagiełły brałem udział w patrolu, który zlikwidował w okolicy górnej Zadwórzeńskiej czteroosobową grupę dywersantów ukraińskich z LKM.

3. Na Hołosku w sadzie mamy pierwszą wygraną potyczkę z Niemcami. Oni podczołgali się polem obsadzonym kapustą, niedaleko naszych pozycji. Zostali jednak zauważeni. Nasz nagły atak rozbił ich grupę zwiadowczą zabijając jednego, raniąc dwóch i biorąc do niewoli kilku.

4. Leżymy pod ostrzałem. Przed nami w dole, w sporej odległości pojawiają się dwa niemieckie czołgi. Pną się zboczem ku nam. Porucznik podaje do tyłu meldunek. Nasza artyleria z tyłów strzela. Za trzecim razem celnie. Jeden trafiony staje, drugi wycofuje się.

5. Stoję wieczorem na warcie przy wejściu do biblioteki Politechniki. Przechodzi koło mnie, poprzedzany przez kadeta z dzwonkiem, nasz ksiądz kapelan, a mój katecheta z liceum, też ochotnik, Jan Kwiatkowski z Hostią. Prezentują broń. Ksiądz się zatrzymuje i błogosławi.

6. Dostałem dwugodzinną przepustkę. Odwiedziłem przy ul. Zadwórzeńskiej 23 matkę. Dowiedziałem się, że mój młodszy o dwa lata brat Władysław uciekł z domu i jest w Batalionie Ochotniczym w grupie Ochrony Artylerii i stacjonuje przy ul. Pełczyńskiej.

Ostatnio dotarły do mnie zapiski hm. Szczęścikiewicza, który pisze m.in. że 26 września 1939 r. odbył się pogrzeb hm. mgr. Stanisława Budzińskiego, zastępcy Komendanta Chorągwi Lwowskiej ZHP.

Nasuwa się więc pytanie, czy chodzi o tego samego człowieka. □

Więcej na temat Niżankowic napisaliśmy w artykule pt. „Niżankowice – historia i teraźniejszość dawnego miasteczka na Ziemi Przemyskiej”, który ukazał się w „Semper Fidelis” w numerze 4 (69) w 2002 roku. W bieżącym artykule chcielibyśmy napisać nieco więcej na temat ludności zamieszkującej region Niżankowic w okresie międzywojennym. Omawiany obszar przedstawiony jest na mapce i obejmuje swoim zasięgiem rozległą parafię rzymskokatolicką w Niżankowicach.

Struktura narodowościowo-wyznaniowa w regionie Niżankowic

Dobrym źródłem do ilościowych porównań wiernych poszczególnych obrządków są schematyzmy rzymsko i greckokatolickie, które co roku były i wciąż są aktualizowane oraz drukowane. W publikacjach tych podaje się m.in. dosyć dokładną liczbę wiernych obrządków – własnego i innych – występujących na terenie opisywanych parafii. Z tego też względu liczby podane w schematyzmach greckokatolickich nie zawsze dokładnie odpowiadają liczbom podanym w schematyzmach rzymskokatolickich. Najczęściej schematyzmy greckokatolickie podają wyższą liczbę swoich wiernych, przy jednoczesnym pomniejszeniu liczby rzymskich katolików, co jest pewnym utrudnieniem w przeprowadzeniu obiektywnych i rzetelnych analiz porównawczych. Niemniej jednak dane zarówno ze schematyzmów grecko jak i rzymskokatolickich ukazują nam przybliżony skład narodowościowo-wyznaniowy regionu Niżankowic (stanowiący znaczny obszar pomiędzy Przemyślem a Dobromilem).

W okresie międzywojennym na terenie rzymskokatolickiej parafii w Niżankowicach mieszkało łącznie około 12 tysięcy ludzi, z tego prawie 2200 osób stanowili chrześcijanie obrządku łacińskiego (ponad 18%). Parafia położona na pograniczu kulturowym „polsko-ruskim” była miejscem szczególnie trudnym dla pracujących tutaj rzymskokatolickich duszpasterzy. Zruszczone chłopstwo mieszkające w odległych wioskach od Niżankowic nie było skore do zmiany obrządku, co więcej – następowała powolna rusyfikacja Polaków, którzy w swoich wioskach nie mieli kościoła, zaś dostępna im była tylko cerkiew. Dane ilościowe dotyczące ilości wiernych obrządku łacińskiego na terenie parafii wskazują, że najwięcej zamieszkiwało ich w samych Niżankowicach (około 800 osób). Stosunkowo dużo łacinników mieszkało w Hermanowicach (prawie 200 osób) oraz w leżących tuż przy Niżankowicach Zabłotcach (około 180 osób pod koniec dwudziestolecia międzywojennego). Ponad 100 wiernych obrządku łacińskiego mieszkało jeszcze w Malhowicach, Sierakościach oraz Rożubowicach. W pozostałych 16 wioskach znajdujących się w granicach łacińskiej parafii było mniej niż po 100 mieszkańców – najczęściej kilkunastu lub kilkadziesiąt, a w niektórych przypadkach nie było ich prawie wcale (np. Sólca – 1 osoba wyznania rzymskokatolickiego w 1938 roku).

Jednym z najważniejszych czynników wpływających na ilość wiernych w danej miejscowości była odległość danej wioski od kościoła parafialnego w Niżankowicach. Wraz ze wzrostem odległości danej miejscowości od Niżankowic daje się zaobserwować tendencję spadkową w odniesieniu do liczby łacinników. Warto nadmienić, że poza Niżankowicami na terenie parafii rzymskokatolic-

kie kaplice znajdowały się tylko w Zabłotcach oraz Hermanowicach, gdzie w roku 1920 poświęcono kaplicę publiczną pw. św. Franciszka Ksawerego, zastąpioną później przez murowany kościół filialny pw. NP Marii Królowej Polski, poświęcony w 1937 roku.

Kościół greckokatolicki

Jeżeli chodzi o świątynie greckokatolickie to znajdowały się one praktycznie w każdej wiosce omawianego regionu. Na terenie rzymskokatolickiej parafii w Niżankowicach znajdowało się 5 parafii greckokatolickich: w Cykowie posiadającym przed wybuchem II wojny światowej murowaną cerkiew z 1928 roku; w Kłokowicach (cerkiew drewniana z lat 1856-1860); w Kormanicach (cerkiew drewniana z 1923 roku); w Darowicach (cerkiew murowana z 1909 roku) oraz w samych Niżankowicach, gdzie znajdowała się murowana cerkiew pod wezwaniem Świętej Trójcy swoimi początkami sięgająca wieku XV. W pozostałych miejscowościach znajdowały się cerkwie filialne lub kaplice, które wymieniamy z wykorzystaniem następujących skrótów: c.m. – cerkiew murowana, c.d. – cerkiew drewniana, k.d. – kaplica drewniana oraz z podaniem roku budowy. Poniższe greckokatolickie świątynie filialne podane są według stanu z 1939 roku: Berendowice, c.d., XVI w.; Fredropol, c.d., 1860; Hermanowice, c.m., 1926; Koniuchy, c.d., „na ukończeniu”; Koniusza, k.d., 1901; Kupiaty, c.m., 1930; Malhowice, c.m., 1927; Młodowice, c.d., 1923; Paćkowice, c.d., 1728; Podmojsce, c.m., 1846; Rożubowice, k.d., 1918; Sierakoście, k.d. oraz c.m. „w budowie”; Sólca, c.m., 1912; Stanisławczyk, k.d.; Truszowice, c.d., 1888; Wielunice, c.d., 1918; Zabłotce, c.m., 1934.

Porównując ilość cerkwi na omawianym terenie przed I wojną światową można stwierdzić, że było ich równie dużo co w przededniu wybuchu II wojny światowej. Cerkwie i kaplice greckokatolickie zniszczone podczas I wojny światowej w zdecydowanej większości przypadków zostały odbudowane za czasów II Rzeczypospolitej. Dotyczyło to następujących miejscowości: Cyków (zniszczona podczas I wojny cerkiew murowana z 1867 r.), Kormanice (zniszczona c.d. z 1766 r.), Kupiaty (c.m. z 1909 r.), Hermanowice (c.d. z 1876 r.), Koniuchy (c.m. z 1903 r.), Malhowice, Wielunice, Młodowice, Zabłotce, Rożubowice. Nie odbudowano po I wojnie światowej jedynie cerkwi w Aksmanicach, gdyż w Berendowicach będących praktycznie przysiółkiem Aksmanic, znajdowała się stara XVI-wieczna cerkiew.

W połowie lat trzydziestych dał się zauważyć powiększający antagonizm pomiędzy wiernymi obrządku grecko i rzymskokatolickiego. Za taką sytuację proboszcz rzymskokatolicki ksiądz Michał Poprawski w piśmie do biskupa przemyskiego obwiniał rozagitowanych ruskich księży. Stwierdził, że po śmierci proboszcza starorusina młody następca zainicjował nastawienie wśród Ukraińców wrogość Polakom. Z tego względu ustalił wspólnie procesję na Jordan i Boże Ciało. Wzrost liczby parafian obrządku rzymskokatolickiego był w owym czasie praktycznie niemożliwy, ze względu na obecność w parafii 11 ruskich księży. Ksiądz Michał Poprawski nadmienił w swoim sprawozdaniu, że ich agitacja jest szalona, „bo oni uważają te strony za swoje kresy, a władzom naszym jakoś nie bardzo zależy na wzroście polskości. Zupełnie nie odczuwamy, że jesteśmy

Maciej Oziębłowski i Małgorzata Oziębłowska

Ziemia Przemyska

Ludność parafii rzymskokatolickiej w Niżankowicach w okresie międzywojennym

(Artykuł opracowano na podstawie pracy magisterskiej Małgorzaty Oziębłowskiej pt. „Historia parafii rzymskokatolickiej pod wezwaniem Świętej Trójcy w Niżankowicach w latach 1918-1945”, Wrocław, 2002 r.)

Niżankowice to dawne miasteczko kresowe położone 13 kilometrów na południe od Przemyśla przy drodze na Dobromil wiodącej dawniej na Węgry. Czasy świetności tej miejscowości będącej kiedyś królewską przystanką już przeminęły, zaś los tak sprawił, że po drugiej wojnie

światowej Niżankowice (jako ostatnia miejscowość regionu) zostały przyznane Związkowi Radzieckiemu. Nie wykluczone, że za jakiś czas może tu powstać drogowa przebiegająca Malhowice-Niżankowice znacznie skracająca drogę do Chyrowa, Sambora, Drohobycza czy Strzyska.

w Polsce". Były też kłopoty z katechizacją w szkołach na terenie parafii, m.in. ze względu na nieprzychylny stosunek ukraińskich wójtów. Problemem tamtych czasów było również przynęcenie z powodu panujących stosunków oraz ogromna bieda – z powodu kryzysu, który według księdza Poprawskiego bardziej odczuwała ludność polska. Do kryzysu dołączały się również „ustawiczne awantury i kolizje z Rusinami”.

Ludność wyznania rzymskokatolickiego

Liczba wiernych wyznania rzymskokatolickiego na terenie parafii w okresie dwudziestolecia międzywojennego była na mniej więcej ustalonym poziomie, zaś roczny przyrost naturalny wahał się w zakresie od -13 (ujemny) do +42 (dodatni). Chociaż w latach 1918-1937 odnotowano na terenie parafii łączny dodatni przyrost w ilości 456 osób to realnie na terenie parafii w 1937 roku nie mieszkało o 456 osób więcej aniżeli w 1918 r., gdyż liczby te nie odzwierciedlają migracji ludności (najczęściej zarobkowej „za chlebem” np. do Ameryki). Niemniej jednak na podstawie analizy przyrostu naturalnego na terenie parafii można zauważyć pewne prawidłowości zwłaszcza w aspekcie historycznym. I tak przykładowo ujemny przyrost naturalny miał miejsce w roku 1918 (koniec I wojny światowej oraz wybuch walk polsko-ukraińskich) oraz w roku 1920 (wojna polsko-sowiecka). W latach 1922-1931 przyrost naturalny na terenie parafii był dodatni i wynosił około 20-40 osób rocznie. Zdecydowane załamanie nastąpiło w 1932 roku (prawdopodobnie jako echo ekonomicznego kryzysu światowego).

Życie religijne

Warto przedstawić krótką charakterystykę życia religijnego „łaciników”. Otóż w niedzielę odprawiane były dwie Msze Święte – o godzinie 8.00 oraz o 10.30. Wcześniejsza msza (o 8.00) była tzw. „cichą” mszą odprawianą po łacinie, podczas której ludzie śpiewali z organistą godzinki do NMP. Przed następną mszą (sumą o godz. 10.30) czterej „Starsi Bracia” (wybrani mężczyźni o dobrej reputacji) śpiewali z ludźmi 1 część różańca. Uroczystie wprowadzano chorągwie oraz niesione przez dziesięć osób obrazy, zaś ksiądz kropił ludzi wodą święconą. Po sumie śpiewano Suplikacje. Po południu odbywały się nieszpory, na których śpiewano psalmy¹⁾.

W Nowy Rok (1 styczeń) msze św. odprawiane były jak w każdą niedzielę. Noworoczna msza była dziękczynno-błagalna, podczas której śpiewano m.in. „Te Deum”.

Na św. Marka miały miejsce tzw. „Dni Krzyżowe”. Procesja wychodziła z kościoła w kierunku krzyża znajdującego się na polu. Śpiewano po drodze litanie do Wszystkich Świętych, niesiono obrazy i chorągwie, a procesję prowadził ksiądz. Zatrzymywano się na końcu polnej drogi przy krzyżu, tam odmawiano modlitwy, a następnie wracano do kościoła. Podczas tych trzech dni krzyżowych nie wolno było sadić w polu.

W Niedzielę Palmową ludzie przynosili do kościoła palmy – tzw. „baški”. Później część palm palono w kościele, zaś otrzymany z nich popiół wykorzystywano w następnym roku podczas Środy Popielcowej. W Wielkim Tygodniu ludzie gromadzili się na uroczystościach w następujących godzinach: Wielki Czwartek – 8.00, Wielki Piątek – 7.00, Wielka Sobota – 6.00.

W tym dniu miało miejsce święcenie pokarmów na zewnątrz kościoła, niemniej jednak do niektórych parafian (na ich zaproszenie) ksiądz przychodził osobiście do domu. Grób Pański znajdował się na środku kościoła, przy którym trzymano straż. Ludzie zapisywali się na specjalną listę (po dwie osoby) na adorację Przenajświętszego Sakramentu. W Wielkanocną Niedzielę Rezurekcja miała miejsce o 5.00. Msza była bardzo uroczysta, były dzwony, zaś procesja z chorągiewami trzykrotnie obchodziła kościół. W tym czasie chłopcy strzelali „z moździerzy”. Tradycja nakazywała, aby podczas Wielkanocy nie spać, bo będą „grządki zarastać”²⁾.

W maju przez cały miesiąc odbywały się majowe nabożeństwa z litaniami loretańską, w czerwcu były nabożeństwa do Serca Pana Jezusa, zaś w październiku – różaniec. W parafii było również koło różańcowe, dla którego zmiana tajemnic Żywego Różańca odbywała się w każdą drugą niedzielę miesiąca. Karteczki z tajemnicami losowano w kościele przy ołtarzu „Matki Boskiej”. Każda karteczka miała inicjały zelatorki danej piętnastoosobowej grupy po to, aby uniknąć ewentualnych pomyłek, gdy w jednym domu było kilka osób należących do różnych róż. Samych róż w parafii mogło być około 12-15. Grupowały one osoby w podobnym wieku, zaś zelatorką była osoba w porównywalnym wieku. Poniżej przedstawiono przykładowo listę dwóch róż z połowy lat trzydziestych z Niżankowic (w oryginalnej kolejności i pisowni nazwisk):

Pierwsza róża: Zuzanna Urbanówna (zelatorka), Zofia Tokarzowi (pomocnica pierwsza), Helena Cichocka (pomocnica druga), Zofia Kałyńska, Maria Podbilska, Stefania Podbilska, Maria Urbanówna, Zofia Cichocka, Emilia Oziębłowska, Maria Osadzińska, Cecylia Oziębłowska, Zofia Gererzdofówna, Emilia Kowalowa, Stanisława Bikowa, Stanisława Solkowa.

Druga róża: Maria Cichocka, Władysława Cichocka, Matylda Finikówna, Maria Korzeniowska, Zofia Linkowa, Janina Łapicka, Maria Siatkowska, Maria Skwarczyńska, Aniela Strzałkowska, Helena Szuberla, Zofia Osadzińska, Helena Urbanówna, Stanisława Wrzaskówna, Bronisława Zielińska, Janina Ganczarska.

W każdy pierwszy piątek miesiąca miały miejsce nabożeństwa do Serca Jezusowego. Przy bocznym ołtarzu „Pana Jezusa” znajdowała się makieta zegara, przy którym była lista, gdzie ludzie wpisywali się na modlitwę w domu.

Na terenie parafii co roku miała miejsce I Komunia Święta, do której przystępowały dzieci z II klasy. Raz na kilka lat miało miejsce Bierzmowanie. Do przyjeżdżającego biskupa wyjeżdżano naprzeciw konno i uroczystie witano.

Na Boże Ciało uroczysta procesja wychodziła na ulice Niżankowic i szła do Rynku do miejsca, gdzie znajdował się Dom Ludowy. Cztery ołtarze polowe znajdowały się przy kościele, przy szkole, przy budynku sądu oraz obok Domu Ludowego³⁾.

W sierpniu miała miejsce pielgrzymka Lwowska, która szła do pobliskiej Kalwarii Paclawskiej. Przechodzącym przez Niżankowice pielgrzymom mieszkańcy wynosili jedzenie oraz napoje.

W parafii były dwa odpusty – na Świętej Trójcy (pierwsza niedziela po Zielonych Świątkach) oraz na Matki Bożej Różańcowej (pierwsza niedziela października).

Na Wszystkich Świętych miała miejsce procesja, która po nabożeństwie żałobnym szła z kościoła na cmentarz. Miało to miejsce wczesnym popołudniem około godziny 14.00. W procesji były tylko dwie czarne chorągwie. Na cmentarzu przystawano w czterech miejscach i ksiądz odmawiał modlitwy.

Pasterka miała miejsce o godz. 24.00. Na Święta Bożego Narodzenia porządek mszy świętych był jak w każdą niedzielę. W drugi dzień świąt na Świętego Szczepana święcono w kościele owies, zaś ludzie na pamiątkę ukamienowania pierwszego męczennika rzucali niewielką ilością owsa w księdza⁴⁾.

W ostatni dzień roku (na Sylwestra) miało miejsce w kościele pożegnanie Starego Roku. Była uroczysta Msza Święta, podczas której ksiądz mówił ile w danym roku było chrztów, ślubów, pogrzebów oraz ilu udzielono Komunii Świętych. Po wyjściu z kościoła ludzie składali sobie noworoczne życzenia.

W parafii chrzty udzielane były najczęściej w niedzielę. Zapowiedzi przed ślubami ogłaszane były z ambony przez 3 tygodnie. Same śluby odbywały się w kościele parafialnym w soboty. Nowożeńcy z wiosek przyjeżdżali ze swoimi muzykantami na ślub do kościoła w soboty rano, zaś państwo młodzi z Niżankowic – w soboty wieczorem.

W Niżankowicach na cmentarzu nie było kaplicy, więc zmarły do pogrzebu znajdował się w domu (najczęściej 2 dni). Wieczorem ludzie gromadzili się w domu żałoby aby odmawiać różaniec. Śmierć parafianina obwieszczały wszystkie dzwony kościelne, w odróżnieniu np. od „Aniela Pańskiego”, kiedy to dzwonił tylko jeden dzwon (dwa razy dziennie). W lecie wszystkie dzwony, obwieszczając śmierć, dzwoniły codziennie przez 1-2 dni, zaś w zimie codziennie nawet do 3 dni. W dniu pogrzebu do domu żałoby przychodził ksiądz i procesyjnie z dwoma czarnymi chorągiewami zabierano zmarłego do kościoła, gdzie miała miejsce Msza św. żałobna. Od chwili wyjścia konduktu z kościoła, aż do momentu gdy żałobnicy dotarli na cmentarz były wszystkie dzwony.

Zwyczaj miejscowej ludności

Gdy miała miejsce pierwsza orka ludzie zegnali się i robili znak krzyża w kierunku pola. Termin żniw nie był wspólny dla całej miejscowości, gdyż każda rodzina zaczynała żniwa, kiedy uważała za stosowne. Zboże z dużych pól koszone najczęściej kosami, zaś z małych zazwyczaj sierpami. W okresie żniw na rynku w Niżankowicach pojawiali się „biedni ludzie z gór” nazywani „górniami”, których można było wynająć na czas żniw. Gospodarze, którzy brali do pomocy „górników”, zapewniali im na ten czas nocleg w stodole, wyżywienie oraz skromne wynagrodzenie, np. 1 zł za dzień. Praca w żniwa trwała prawie cały czas od wschodu do zachodu słońca z przerwami na posiłki i dłuższą przerwą w południe. Przykładowo w domu rodziny Urbanów wynajmowano około 8 osób na 3 dni. Dożynki każdy gospodarz sobie robił na własny rachunek. W dniu tym robiono np. wieniec ze zboża i kwiatów i uroczystie ze śpiewami niesiono go do domu gospodarza⁵⁾.

Panny miały możliwość przeprowadzenia sobie wróżb na św. Jana oraz na Andrzejkę. Na św. Jana panny robiły sobie wianki z kwiatów i rzucały je do rzeki Wiar. Jeśli jakieś wianki się połączyły to wróżono sobie, że ich właścicielki wyjdą wkrótce za mąż. Na wianki

stawiano też świece i obserwowano czy aby która nie zgaśnie. Na Andrzejkę było wiele wróżb, kiedy to oprócz lania wosku, pisano np. na karteczkach imiona chłopców. Jeśli któraś się odwinęła to wróżono sobie zamążpójście właśnie za tego kawalera. Inna wróżba polegała na położeniu igieł na wodzie. Igły obrazowały dane osoby i jeśli się połączyły to wróżyły ich ślub.

Na Wigilię gospodarze kładli na podłodze w kuchni słomę, zaś snopek zboża w kącie – był to ostatni snopek niemłóconego zboża zebrany podczas żniw. Pod białym obrus na stole dawano się siano, które po wieczorze otrzymywały zwierzęta. Drzewko było przystrojone w różne ozdoby oraz świeczki. Gdy do izby wchodziły dzieci gospodyni wołała „husiusiu”, co miało w następnym roku zapewnić dobry rozwój kaczkom i gęsiom, zaś przed samą wieczorną wigilią (składającą się z 12 potraw) odmawiano modlitwę⁶⁾. Dawano m.in. kutię, barszcz z uszkami, grzyby, kapustę z grochem. Robiono też tzw. „kwasówkę”, czyli sok z kiszonej kapusty, do którego dodawano suszone grzyby, zaprawiano śmietaną i gotowano, a potem dodawano uszka z grzybami. Popularne były pierogi z ziemniakami i serem (nienazywane wówczas „ruskie”), śledzie z cebulą, naleśniki z serem oraz karp cieszący się nieco mniejszą popularnością ze względu na swoją stosunkowo wysoką cenę. Na stole wigilijnym bywały też „postne” (czyli bez mięsa) gołąbki z ryżem, cebulką i masłem. Do zwyczajów należało rzucanie kutii na sufit – jeśli jej dużo przywarło to wróżono sobie szczęśliwy Nowy Rok. W trakcie spożywania wigilii często chodzili kołędniczy – dzieci w wieku 10-12 lat – z obracającą się gwiazdą betlejemską na kiju, w środku której paliła się świeczka. Ludzie dawali takim kołędnikom drobne datki pieniężne. W zwyczaju było również, że po wigilii gospodarze owijali słomą drzewka w sadzie⁷⁾.

Kapliczka na Wychadowie – niemy świadek wojennego terroru

Na Wychadowie (przedmieściu Niżankowic) przy skrzyżowaniu dwóch uliczek przecinających główny trakt stała kapliczka. Jedna uliczka biegła na północ w kierunku Młodowic, druga kończyła się na tarasie płaskowyżu ciągnącego się od miejscowości Sierakość. Kapliczka była murowana, z wieżyczką na dachu, który pokryty był blachą. Przy kapliczce stały cztery świerki. Wewnątrz znajdował się mały ołtarzyk, przy którym w czasie święta Wniebowstąpienia Pańskiego ksiądz odprawiał nabożeństwo przy licznych udziałach parafian. W miesiącu maju gromadzono się przed kapliczką, aby wspólnie odmówić litanie i śpiewać pieśni maryjne. Okolica kapliczki oprócz kultu religijnego była miejscem spotkań młodzieży, która nieopodal przeprowadzała różne gry i zabawy. Kapliczka była świadkiem wielu wydarzeń historycznych. Tędy późną jesienią 1939 roku wojska sowieckie pędziły polskich patriotów do Dobromila, aby tam ich pozabijać, a ciała wrzucić do okolicznych starych solnych sztolni. Obok kapliczki od lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. wieziono samochodami i furmankami rodziny polskie na stację kolejową, skąd w bydłych wagonach wywożono ich na Syberię. W lipcu 1941 roku obok kapliczki nacjonaliści ukraińscy z organizacji OUN w bestialski sposób zamordowali Adama Bartochę. 24 października 1942 roku niemieccy żandarmi prowadzili obok kapliczki około 260 Żydów

z okolic Niżankowic w kierunku pobliskiego cmentarza żydowskiego, gdzie wszystkich stracono⁸⁾. Kapliczka była więc niejako świadkiem martyrologii mieszkańców Niżankowic podczas strasznego czasu II wojny światowej. Podczas rządów sowieckich kapliczka uległa znacznemu zniszczeniu. Dawny mieszkaniec Niżankowic – Adam Bosek, którego dom rodzinny znajdował się naprzeciwko kapliczki, w latach dziewięćdziesiątych XX wieku własnym kosztem odnowił zaniedbaną kapliczkę.

Polacy żyjący obecnie w Niżankowicach

Można stwierdzić, że na początku XXI wieku w Niżankowicach mieszka stosunkowo niewielka ilość Polaków. Część z nich zmarła, część wyjechała, niemniej jednak wskazać można nazwiska związane z Polakami zamieszkującymi dawne Zabłotce, będące obecnie częścią Niżankowic (ul. Szewczenki): Adam Kwiatkowski (zm. ok 1992 r.), Przybyłko Adela i Staszka, Pipski Filip (zm. ok 2001 r.), Eleonora (po mężu) Fedorczyńska, Stanisław Piwowar z Prikuta (ożeniony w Niżankowicach), Maria Artymowska i jej syn Andrzej, Urszula Pipska, Janina Stach z domu Harlacz.

Z samych Niżankowic można wymienić m.in. następujących Polaków: Emilia Kusio, Bażanowa z domu Malinowska, Helena Kapucjanowa i córka Teresa Moroz, Helena Adamska, Aleksander Porębny (nieurodzony w Niżankowicach), Maria Hyk z domu Jarosińska, Urszula Artymowska (po mężu), Janina Zielińska oraz Eugeniusz Oziembłowski z rodziną (w tym m.in. jego syn Marian Oziembłowski z dziećmi).

Żyć można nadzieję, że nowa rzeczywistość europejska po 1 maja 2004 roku nie spowoduje zatrzęsienia nowej żelaznej kurtyny pomiędzy rodzinami, znajomymi oraz ludźmi dobrej woli żyjącymi po obydwu stronach obecnej polsko-ukraińskiej granicy.

Przypisy:

- 1) Relacja ustna: Z. Demkowicz, 2000.
- 2) Relacja ustna: Z. Demkowicz, 2000.
- 3) Relacja ustna: C. Pipska, 2002.
- 4) Relacja ustna: Z. Demkowicz, 2000.
- 5) Relacja ustna: Z. Demkowicz, 2001.
- 6) Relacja ustna: M. Bator, Przemyśl 2002.
- 7) Relacja ustna: Z. Demkowicz, 2001.
- 8) Fakty dotyczące kapliczki zebrano na podstawie relacji: A. Bossek, 2002. □

Leszek Sawicki

Stanisław Lem, lwowianin

Z żalem przeczytałem wiadomość o śmierci Stanisława Lema, lwowianina, najwybitniejszego polskiego pisarza science-fiction, futurologa i filozofa. Lem, urodzony we Lwowie (12.9.1923 r.), nie opuszczał miasta aż do ekspatriacji w 1946 roku. Jego odejście uczciły wszystkie periodyki kulturalne kraju esejami, wspomnieniami i fragmentami prozy. Tak uczynił również i „Tygodnik Powszechny”, poświęcając mu połowę treści swego egzemplarza z dnia 9.4.2006 r. Znalazły się tam też i nekrologi podpisane przez budzące szacunek instytucje i osoby.

Jakież było jednak zdziwienie czytelników, gdy przeczytali w jednym z nekrologów, nadesłanym przez konsula generalnego Ukrainy w Krakowie pana Mychajła Brodowycza, że zmarł „STANISŁAW LEM, WYBITNY POLAK, KTÓRY URODZIŁ SIĘ, STUDIOWAŁ I SPĘDZIŁ CZĘŚĆ SWEGO ŻYCIA NA UKRAINIE”.

Takie zdefiniowanie miejsca urodzenia i młodości Lema jest zaprzeczeniem najoczywistszych faktów. Czy można na przykład pisać, że „Immanuel Kant urodził się i całe życie spędził w Kaliningardzie”? – tylko dlatego, że Königsberg (Królewiec) od 1944 roku stał się częścią innego kraju i przy okazji zmienił nazwę?

Mam komputer z możliwością wysyłania poczty e-mailowej. Tegoż dnia (9 kwietnia) wysłałem do redakcji „Tygodnika” następujący list e-mailowy:

„Wyrzuciliście Państwo wielką krzywdę Stanisławowi Lemowi, umieszczając nekrolog podpisany przez konsula Ukrainy w Krakowie, w którym pisze on o Lemie jako człowieku, który urodził się i spędził część swego życia na Ukrainie. Lem urodził się i wychował w Polsce, wykształcenie swoje zawdzięczał polskiemu otoczeniu i polskiej kulturze, opisuje miasto, które ma w swojej przeszłości sześćset lat polskiej przynależności, w którym za życia Pisarza żyło nie więcej, niż 16 procent Ukraińców. Nekrolog ma treść prowokacyjną. Czy musieliście go umieszczać? Chyba, że jest to płatne ogłoszenie – a, to wtedy mogę Was zrozumieć, bo podobno „pecunia non olet”. Mam nadzieję, że osoba, która zdecydowała o umieszczeniu nekrologu, przeczyta kiedyś też „Wysoki Zamek” i zapozna się z wypowiedziami Autora na temat Lwowa, gdzie pozostawił On swoje serce i nadzieje na powrót do Polski miasta dziś ukraińskiego.

Nie można czegoś, co jest „dzisiaj”, siłą wtłaczać do „wczoraj”, nawet jeśli chce się zachować „poprawność polityczną” wbrew przyzwyczajeniom, o którą wszak Lem tak dbał. Mam o to żal do Redakcji. Z wyrazami poważania – Leszek Sawicki, Wrocław, ex: Lwów, Łyczakowska 143”.

Odpowiedzi nie otrzymałem. □

Zofia Żółkiewicz

Moje odwiedziny Lwowa po dwudziestu latach

Po ostatnim pobycie we Lwowie – jeszcze razem z moimi Rodzicami, którzy już „odeszli” ode mnie – nieustannie tęskniłam za ponownym odwiedzeniem tego mojego, naszego, niezapomnianego Miasta. Ale wiele smutnych przeżyć i doświadczeń nie pozwalało mi na realizację tych serdecznych moich pragnień. Aż wreszcie po dwudziestu latach spełniło się moje marzenie. W sierpniu 2005 roku pojechałam

do Lwowa na kilkudniową wycieczkę. Głównym celem mojego wyjazdu do Lwowa nie było – niestety – zwiedzenie tego pięknego Miasta, lecz sprawy rodzinne, to jest zobaczenie się z moją Ciocią staruszką i odwiedzenie rodzinnych grobów. Jednak mimo tych ważnych dla mnie spraw ogromnie pragnęłam aby chociaż na krótko zobaczyć, oglądnąć ukochany Lwów i rodzinne miejsca, drogi i ścieżki mojego dzieciństwa. I tak się też stało.

I tym co zobaczyłam, ujrzałam pragnę się podzielić z Czytelnikami Semper Fidelis i moimi Krajani, którym – być może – także są bliskie i znane te miejsca, o których tu opowiem, jakie one są obecnie.

Po przyjeździe do Lwowa 27 sierpnia około godziny 16 zakwaterowano uczestników naszej wycieczki (17 osób) w hotelu Żorża (George’a), pięknym przedwojennym hotelu. W tym dniu postanowiłam skorzystać z programu wycieczki. I tak z grupką kilku osób i przewodnikiem wybraliśmy się na spacer po centrum Lwowa, a więc Wały Hetmańskie, Rynek, ulica Akademicka i kilka ulic bocznych. Moje pierwsze po dwudziestu latach odwiedziny były serdecznie przygłębiające – tak to muszę określić. Bo to drogie sercu centrum Miasta Lwowa, które wchłaniałam całą sobą, była bardzo brudne! Te przepiękne planty spacerowe, z wysokimi po obydwu stronach drzewami, ławki z siedzącymi na nich starszymi ludźmi i młodzieżą – bo pogoda była piękna – wśród – niestety – śmieci i niedopalków wokół siebie. I tak było co krok, przed teatrem także! Mojego rozżalenia i oburzenia nie mogłam ukryć i głośno je wyrażałam. I powiększyło się ono jeszcze bardziej widokiem, w nieco bocznych ulicach, szeregu kamienic, często o pięknej architekturze, ale w stanie oplakany, chyba przeznaczone do całkowitego unicestwienia, bo poczemiale, obdarłe z tynków, z oknami otwartymi bez szyb. I dalej, o zgrozo! Królewskie Kamienice rynku mocno podniszczone i jakieś po prostu brudne. Kaplica Boimów – rozpacz! – całkowicie zaniedbana, tu i ówdzie odpadający tynk. Tak stojąc przy tym beczennym zabytku chciało mi się płakać. Przed Katedrą, która była zamknięta o tej porze dnia, siedziała jakaś staruszka żebrząca z wyciągniętymi rękami.

Po kilku godzinach wróciliśmy do hotelu na obiadokolację. W pięknej i obszernej sali jadalnej estetycznie nakryte czteroosobowe stoliki. Również estetycznie wyglądający młodzi kelnerzy sprawnie serwowali nam posiłek. Po kolacji powiadomiłam telefonicznie – z pokoju hotelu (3-osobowego), do którego zostałam przydzielona – moich krewnych o przyjeździe moim i umówiłam się na spotkanie na dzień następny, to jest na niedzielę na godzinę 10.

Niedziela we Lwowie! Poszłam na godzinę 7.30 na Mszę św. do Katedry!

(Tu muszę powiedzieć, że kiedy wyszłam z hotelu na ulicę zostałam bardzo mile zaskoczona czystością ulic! Kamień spadł mi z serca! Widocznie w nocy z soboty na niedzielę „gospodarze Miasta” raczyli wysprzątać ulice.)

Już kiedy wchodziłam do Katedry, do jej wnętrza, ogarnęło mnie niesamowite wzruszenie. Szłam powoli od ołtarza do ołtarza, pochłaniałam wszystko co mnie otaczało duszą i sercem, aż doszłam do Ołtarza Głównego. Ukłękłam na klęczniku, tuż przed Ołtarzem Wielkim i głęboki płacz, szloch zaczął mną targać. Nie mogłam się opanować, to było silniejsze ode mnie, trwało chwilę. Wciąż trudno mi było uwierzyć, że jestem we Lwowie, w Katedrze Lwowskiej! Kiedy się uspokoiłam poszłam do ławek. Wszystkie już były zajęte, przeważnie starszymi osobami. Msza święta była piękna i wzruszająca. Dla mnie była przeżyciem, którego nigdy nie zapomnę.

W Katedrze spotkałam Siostrę Zakonną ze Zgromadzenia św. Józefa, z którym to zgromadzeniem nawiązałam od pewnego czasu, już w Katowicach, kontakt korespondencyjny i telefoniczny w sprawie pewnego rodzaju opieki nad moją Ciocią i Jej odwiedzania, bo zakon ten we Lwowie opiekuje się takimi starszymi osobami. Bardzo ucieszyłam się z tego spotkania z tą Siostrą Zakonną, która już była powiadomiona o moim przyjeździe do Lwowa. Prosiłam Ją o spotkanie u mojej Cioci.

Kiedy wróciłam z Katedry do hotelu czekali tam już na mnie moi krewni.

Miałam nadzieję, że będziemy jechać (mikrobusem) na Persenkówkę, to jest miejscowości, przedmieścia Lwowa, gdzie mieszka moja Ciocia i miejscowości mojej rodzinnej i lat dzieciństwa mego – znanymi mi ulicami, tak jak dawniej jeździłam z centrum Miasta na moją Persenkówkę. Jechaliśmy prawdopodobnie ulicą Stryjską, po przeciwnej

stronie Parku Stryjskiego-Kilińskiego. Piszę: prawdopodobnie, bo nie nie poznałam. Żadnego znajomego mi widoku, same jakieś bloki, zabudowania, obce! Aż w końcu dojechaliliśmy nareszcie do czegoś co zaczęłam poznawać – to była boczna droga z szosy stryjskiej na Persenkówkę, poznałam ją chociaż tak jak wszystko przesmutnie zmienione!

I wiem, że ta droga prowadzi koło naszego Kościoła Ojców Karmelitów Bosych, ale idąc tą drogą nie widziałam kościoła! Węzię pytam się: A gdzie jest kościół? A ten kościół, mój Boże!, zasłonięty od przodu, od wejścia, jakimś wielkim gmachem! I stał się niewidoczny, wielki kościół. Przez wiele lat komuniści używali ten kościół jako garaż na autobusy, samochody ciężarowe, a duży klasztor przy kościele również na swoje potrzeby. Ale widocznie ten jego widok, tego kościoła, najwyraźniej przeszkadzał, drażnił i obecne władze, więc postanowiły go zasłonić jakąś wielką budową.

Wkrótce doszliśmy do budynku zwanego dawniej kolejowym, bo znajduje się tuż przy torach kolejowych na Persenkówce. Jest to jedyny budynek w tej części Persenkówki – pozostały budynek, w którym właśnie mieszka moja Ciocia.

Spotkanie z moją Ciocią po dwudziestu latach (proszę wybaczyć, że wprawdzie bardzo zwęziłam, ale i tym doznaniem dzielę się z Państwem) było z jednej strony bardzo radosne, lecz ogromnie mnie przygnębiło. Ciocia moja ma lat 92. Zmarł mi bardzo Jej stan chorobowy – jest po prostu obłożnie chora. Po południu, ku mojej radości – jedynej w tym dniu – przyszła do mojej biednej Cioci Siostra „Józefitka”, ta którą spotkałam w Katedrze. Po kilkugodzinnej, bardzo serdecznej wizycie Siostry poprosiłam kuzyna, aby mnie oprowadził po Persenkówce.

I tu znowu, jak to wszystko zobaczyłam, ogarnęło mnie wprost bezdenne uczucie smutku!! Persenkówka, moja Persenkówka, tak bardzo szczęśliwych lat dzieciństwa, już nie istnieje! Ta ulica, droga, gdzie po jednej i drugiej stronie za domem kolejowym był dawniej cały szereg domów parterowych, piętrowych, a przy każdym domu sady i ogrody ukwiecone. A teraz? Jakież wysokie drzewa, niektóre powalone, po obydwu stronach drogi. Tylko gdzieniegdzie między tymi drzewami jakiś zapadający się i rozwalony domek. Pozostałość tragiczna wprost! Tu i ówdzie betonowy, wysoki jakby bunkier między zaroślami.

Idziemy dalej. Patrę w kierunku, za torami kolejowymi już, zbliżającego się miejsca mego dawniej Domu Rodzinnego. I tutaj na całej przestrzeni, gdzie przed wieloma laty były domy, sady i ogrody, gęste zabudowania jakichś betonowych, mniejszych i większych, o małych okienkach, magazynów. Obrzydliwe to!

Wciąż idziemy równiną, a przecież wkrótce zaczynały się przed szosą doliny, pagórki (debrę – jak się u nas mówiło), a tu znowu zaczyna się las, wysokie drzewa. Nigdy tam takich nie było! Okazuje się, że tutejsi „gospodarze” zasypali, zrównali z szosą te wszystkie pagórki i wzniesienia, doliny, które nadawały tyle urody i malowniczości temu przedmieściu Lwowa.

Zapytuję kuzyna: A gdzie jest Nowy Lwów, bo tu już powinien być widoczny Nowy Lwów – dawniej piękna dzielnica willowa. I tu znowu niesamowity widok! Po jednej i drugiej stronie szosy z Nowego Lwowa aż do Własnej Strzechy gęsty, wysoki las! A zaczynające się przed tym lasem koszmarnie wyglądające budynki, kamieniczki to Nowy Lwów (?!), tylko nie wiadomo o jakiej nazwie teraz. Stałam tak chwilę przed kilkoma w pierwszym rzędzie koszmarnymi, choć w nich przypomnieć sobie dawny ich wygląd, tak dobrze mi znany, ale to było niemożliwe! Każdy z tych budynków-willi został gruntownie przerobiony, dachy spadziły, jakieś balkoniki poprzymocowane z wszystkich stron i paskudne kolory – pomarańczowe, czarne, istne szaleństwo brzydoty!

Dalej przeszliśmy szosą między tym lasem z obydwu stron szosy w kierunku Własnej Strzechy (przedwojenne, jednakowe, piętrowe budynki z ogródkami po obydwu stronach ulicy, prywatne własności –

stąd nazwa Własna Strzecha tej ulicy i miejsca). A więc Własna Strzecha jeszcze istnieje, tylko domy w różnym stanie, zaniedbane. Ale znowu drzewa wysokie, przy chodnikach. Być może, że kiedy wyjeżdżaliśmy ze Lwowa to te drzewa były, tylko jeszcze młode, małe.

Również kamienice Nad Jarem (obok, z jednej strony Własnej Strzechy) także istnieją jeszcze. I nawet ta dosyć stroma dolina-jar nie została jeszcze zasypała, tylko w dole tego jaru znowu gęsto od jakichś baraków, widoczne ich dachy z szosy.

Wracając do domu mojej Cioci przechodziliśmy koło elektrowni. Elektrownia dawniej to był wielki obiekt i znaczący w swojej działalności, o bardzo znanej i ważnej użyteczności. Dawna elektrownia odznaczała się też rozmiarem swoich zabudowań w swoim obrębie. Była też znaczna swoją wielkością przy znajdujących się w jej pobliżu budynkach mieszkalnych, parterowych i piętrowych i była miła dla mieszkańców Persenkówki. A teraz smutny widok: budynki przyległe zniknęły, obiekt ten stał się znacznie zmniejszony, smutnie inny! Trudno byłoby odgadnąć czy dalej spełnia swoje zadanie.

Na drugi dzień miałam w planie pojechać na cmentarz do miejscowości Wołków. I udało się też zrealizować plan. Tam także byłam 20 lat temu z Rodzicami moimi. Wtedy znowu moje wzruszenie i niesamowite przynębanie. Wtedy naprzód na cmentarz odwiedzić drogie i mojemu sercu groby. W związku z tymi grobami powzięłam pewne zamiary ich odnowienia, aby zapobiec całkowitemu ich zniszczeniu. Z cmentarza udaliśmy się następnie w kierunku kościoła pod wezwaniem Marii Magdaleny, niegdyś też pięknego kościoła. A już wtedy kiedy tam byłam z moimi Rodzicami to już był bardzo zniszczony ten kościół i co przerażające wewnątrz zanieczyszczony nawozem. Bardzo więc pragnęłam zobaczyć obecny stan tego kościoła. Tym razem drzwi – wielkie, masywne, przedwojenne drzwi – były zamknięte. Wtedy pocieszyło mnie to, że może wreszcie wysprzątano kościół z tych nieczystości. Zaglądnęłam przez dziurkę od klucza i dojrzałam jakieś deski, więc albo zrobiono tam ich skład, albo może miał tam być przeprowadzony jednak jakiś remont. Ale jest to wątpliwe ponieważ kościół ten jest już bardzo zniszczony i chyba „dla nich” nienadający się już do odbudowy, nawet na cerkiew. Tak więc następny kościół katolicki, polski, przeznaczony został na zagładę! Udaliśmy się dalej w stronę rynku Wołkowa. Przechodziliśmy obok budynku dawnej szkoły powszechnej, która, jak można było wnioskować z jej wyglądu, była czynna, użytkowana. Zobaczyliśmy kilka nowych budynków mieszkalnych, a więc i były przypuszczalnie dzieci. A rynek Wołkowa pusty i zarośnięty chwastami. A w moich wspomnieniach, kiedy tam byłam swego czasu mając lat 8 z moim jeszcze wtedy bardzo młodym Ojcem na odpuszczenie Marii Magdaleny, Rynek był ludny i gwarowy od mieszkańców Wołkowa i tak wesoły i kolorowy. Powoli wracamy z powrotem, z górki, bo przecież Wołków położony jest na takim wzniesieniu.

Wchodzimy na drogę, która prowadziła nad rzeczkę (zapomniałam jej nazwy), ale tej rzeczki już także nie ma w dole przy uliczce, koryto skrócone w znacznej odległości, wprost zanikające i mało widoczne.

Odjeżdżamy z Wołkowa. A w moim sercu coraz więcej smutku i żalu. Było jeszcze dosyć dużo czasu do wieczora, więc poprosiłam kuzyna abyśmy pojechali do kościółka św. Zofii.

Tam, do kościółka, droga prowadziła od Własnej Strzechy, najpierw przez niewielki las, a potem przez Zofiówkę. Ale obecnie i tutaj nastąpiły niesamowite zmiany. Dawna polana spadziasta, przed lasem, stała się wielkim lasem, który ciągnie się już chyba do dawnej Zofiówki. A w tym lesie, trochę głębiej, pojawiły się bardzo wysokie bloki mieszkalne, było ich kilka, a prowadziły do nich uliczki-serpenty, a były one tak kręte, że jadąc samochodem zaczęliśmy błądzić. Trzeba się było co trochę pytać jak się wy dostać stamtąd. Nareszcie wydostaliśmy się z tego wielce zagadkowego dla mnie lasu znajdując się nagle na głównej ulicy, którą dawniej jeździł tramwaj nr 10.

I już wkrótce zaczynała się ulica św. Zofii, cała rozkopana, bo roboty drogowe. I również ta droga pod górki do kościółka św. Zofii była także rozkopana. Znalazłam się przed kościółkiem św. Zofii, obecnie cerkwią. Drzwi do kościółka były zamknięte – szkoda. Podeszłam potem do znajdującego się obok Krzyża polskiego, bo jednoramienne, był oparkiony, cały w kwiatach. Przed Krzyżem klęcznik, ukląkam i rozplakałam się.

Troszeczkę poniżej kościółka stoi jak dawniej taki piętrowy biały dom. To „nasze Sodaliskowo” – jestem i teraz i byłam we Lwowie Sodaliską. Tam w tym domku odbywały się nasze sodaliczne spotkania, takie radosne, młodzieżowe, rozśpiewane! Obok tego domu była droga wśród bzu i jaśminów prowadząca w dół spadziście na kort tenisowy. Tamteży można było przejść na ulicę Dwernickiego (?) i do podziemia budującego się kościoła św. Wincentego a Paulo. Tej drogi i tego wszystkiego już nie ma. Przy domu obok kościółka oparkiona działka.

Udaliśmy się w drogę powrotną. Ale jeszcze dłuższa chwila zadumy na dole przed kamienicami ulicy św. Zofii. Kamienice jak dawniej, na razie jeszcze stoją wszystkie, jedna przy drugiej szeregiem, ale na pewno i one się kończą, bo kto by takie stare kamienice odnawiał? Tylko tę ulicę św. Zofii asfaltowali, bo jeszcze był przewoźny bruk, to się już chyba prosił o to! Istnieje jeszcze ta uroczą, krętą uliczką i też tak pod górki, wiodąca z ul. św. Zofii na Targi Wschodnie! I także jest jeszcze przy tej uliczce kilka domów-wilii. Jedną z nich, taki pałacyk, wysoko stojący. Znowu wzrokiem to wszystko, dawne, pochłaniałam. Stamtąd odjechaliśmy na Persenkówkę.

Było dwudzieste dziewiąte, więc przedostatni dzień mojego tam pobytu i z moją kochaną Ciocią, bo nazajutrz już około 12 godzinny miał nastąpić odjazd ze Lwowa. Wtedy jeszcze tylko parę godzin przy mojej drogiej Cioci. A potem – pożegnanie było tak bolesne, że za nic nie byłabym w stanie tego opisać.

Tak więc czara mojego smutku, żalu i bólu, bezdenne wprost bólu, została wypełniona po brzegi!

Wyjeżdżając ze Lwowa wycieczka wstąpiła jeszcze do Żółtki na parę godzin. A potem już prosto do domu.

Ten bardzo krótki pobyt we Lwowie, w ramach którego – jak na początku wspominałam – miałam zaplanowane bardzo ważne dla mnie sprawy, nie pozwolił mi na odwiedzenie wielu miejsc i zabytków wspaniałych i m.in. pójść na Wysoki Zamek, o czym śnię po nocach, aby objąć wzrokiem i sercem widok całego ukochanego Lwowa. Tak więc śnić i tęsknić będę dalej za tym. □

Nowe książki

1) Mieczysław Szustakowski – „Wspomnienia zburskie i inne 1934-2006”.

Autor jest profesorem Politechniki i Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Swoje wspomnienia zaczyna od prezentacji miejsca swojego urodzenia – Zbursza i okolic. Następnie stara się odpowiedzieć na pytanie, kim byli Polacy na Ukrainie, aby na koniec wspomnień ogarnąć dom rodzinny, rodzinę oraz własne koleje życia.

Wydawnictwo Wrocław 2006.

2) Emil Chlib

a) „Piosenki lwowskie i ballady” – część II.

b) „Moje chodzenie po Lwowie” – część II.

Autor kontynuuje swoje lwowskie i rodzinne wspomnienia. Zasadniczy trzon tego tomiku stanowią bystre i żywo opisane obserwacje niestrudzonych wędrówek po mieście i okolicach, które autor odbywa w czasie wielogodzinnych pobytów we Lwowie, dokąd od lat corocznie pielgrzymuje do dziś, mimo przekroczenia już osiemdziesiątki. Gna go tam nieustająca nostalgia za rodzinnym miastem. (H. Ostrowski)

Lista Ofiarodawców w miesiącach VIII-IX 2006 r.

1. Bogumiła Zajac, Rzeszów, pomoc świąteczna ... 50.-
2. Józef Wojciechowski, Legnica 50.-
3. Andrzej i Elżbieta Poraj-Malina, Warszawa 200.-
4. Zofia Jazwiecka-Bochińska, Warszawa 100.-
5. Barbara Piwko, Sandomierz 50.-
6. Adam Nikorowicz, Dębica, pomoc dla dzieci 50.-
7. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica 200.-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy
najserdeczniejsze podziękowania.

Errata do nr. 4 (93) / 2006

W umieszczonym w poprzednim (93) numerze artykule Leszka Sawickiego „Studnia w Gawareczynie” na str. 38 przedostatnie zdanie (pr. szp. w. 21 od dołu) powinno brzmieć: „Przypomniał się tytuł przeczytanej kiedyś ukraińskiej powieści-sagi Włodzimierza Odojewskiego: „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Pana Włodzimierza Odojewskiego, autora pięknych powieści kresowych, autor artykułu i redakcja czasopisma za pomyłkę serdecznie przeprasza.

Na str. 2 pr. szp. 5 w. od góry jest **Ryszard Andrzejczak**, a ma być **Andrzejak**.

Przepraszam JM Rektora Akademii Medycznej we Wrocławiu za pomyłkę (A.K.).

Contents

Stanisław Srokowski – Do our politicians remember what was Polish East Borderland to us and to Europe? ...	1
Jerzy Duda – Borderland teachers as the pioneers of education in the Opole Silesia	3
Piotr Franków – "Kresoviana 2006" – festival of borderland songs at Gorzów Wielkopolski	8
Alfred Janicki – The anniversary of Borderlanders' expatriation commemorated at Węgliniec	10
Kazimierz Wesołowski – Worrying Christ from Lwów in the temple at Tarnów	11
Maria Pawłowiczowa – Commemorative Book of M. Romanowski State Grammar-School at Stanisławów	12
Jan Woźniak – Adventurous war vicissitudes of the Kopkowicz family	15
Wincenty Zdzitowiecki – My afterviews (I)	17
Zbigniew Grata – The fourteenth meeting of the former Brody inhabitants	20
Xth years Borderland in Koźuchów	23
Józefa Sady – Charmed with Lwów	23
Eugeniusz Zychowicz – "Sonet fidelis..." – a poem	25
Andrzej Kaminski – Wanda Mazanowska (11.6.1874 Lwów – 7.1.1951 Kraków)	25
Leszek Sawicki – My grandfather's well at the village of Gawareczyna	30
Zbigniew Umański – Borderland Chronicle	35
Mira Bodak – Medal of Gratitude awarded to Rev. Archbishop Stanisław Nowak in Częstochowa	39
Łukasz Wylegała – Gródek Jagielloński, a historical town west of Lwów	40
Bolesław Broś – A historical draft of Polish Scouting (I)	42
Mieczysław Kowal – War vicissitudes of Mrs Helena Kotowicz	45
350th anniversary of King Jan Kazimierz's pledges taken in Częstochowa	47
Feliks Cały – My scouting year 1939	47
Maciej Oziębłowski and Małgorzata Oziębłowska – The community of Roman-Catholic parish at Niżankowice in the interwar period	50
Leszek Sawicki – Strange obituary on the death of Stanisław Lem inserted in "Tygodnik Powszechny"	54
Zofia Żółkiewicz – My visit to Lwów after twenty years	54
New books	56
List of Donors	57
Errata to No 4/2006	57



*Pomnik Orłom Lwowskich na cmentarzu Świętej Rodziny
we Wrocławiu. 22 listopada każdego roku tradycyjnie spotykają
się przy nim wrocławscy lwowiaczy i kresowiaczy,
aby oddać hołd pamięci bohaterskich Orłom Lwowskich.*

Fot. Andrzej Kaminski